MAGAZYN OPINII

Pismo.

WRZESIEŃ 2026 | NR 9 (105)

RODZICIELSTWO

Kto ogląda zdjęcia naszych dzieci

PORTRET

Werner Herzog: faktom trzeba pomóc

KULTURA

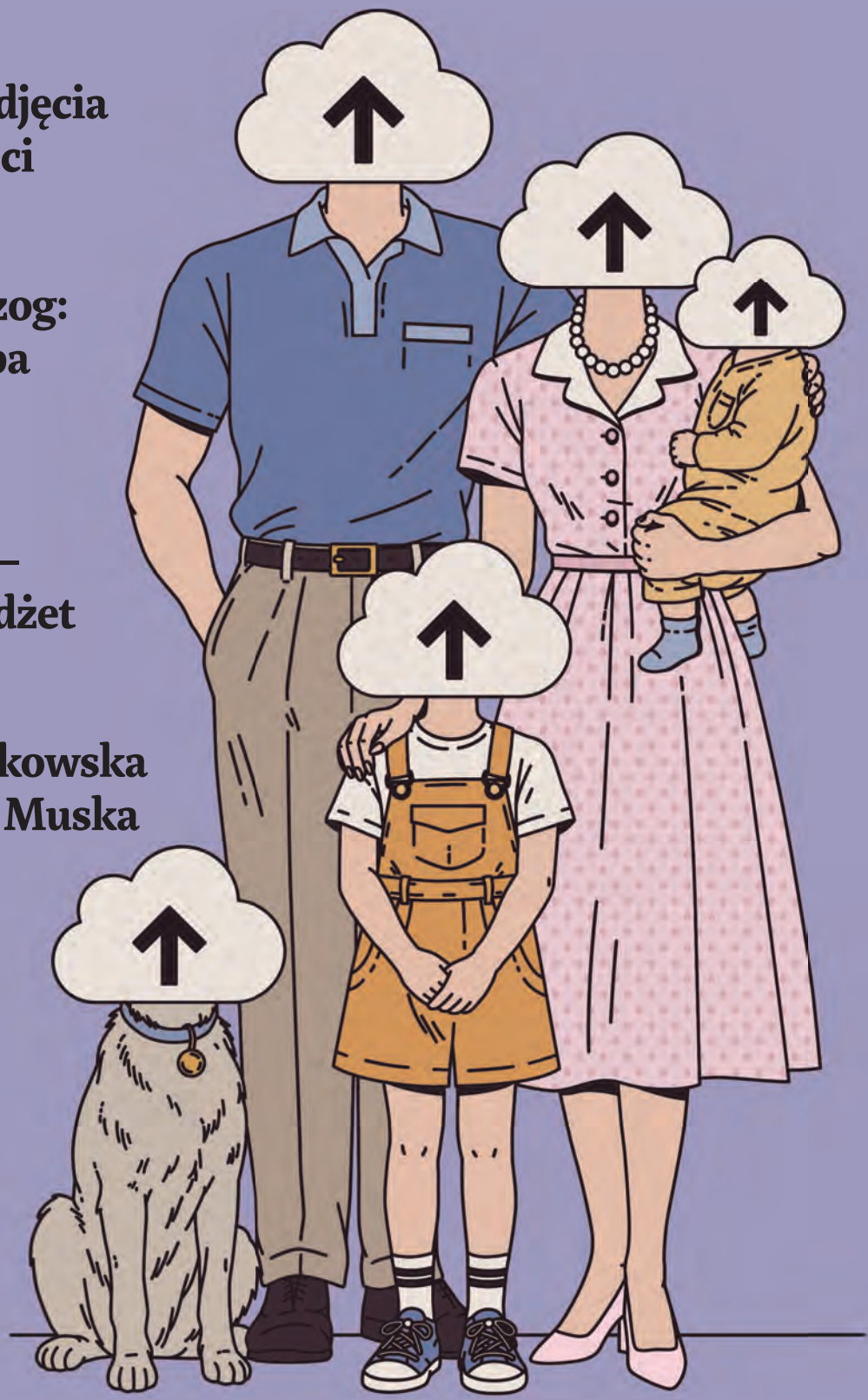
Frida Kahlo – z ikony w gadżet

BIG TECH

Sylwia Czubkowska pyta o Elona Muska

KOMIKS

Czy ptaki to drony?

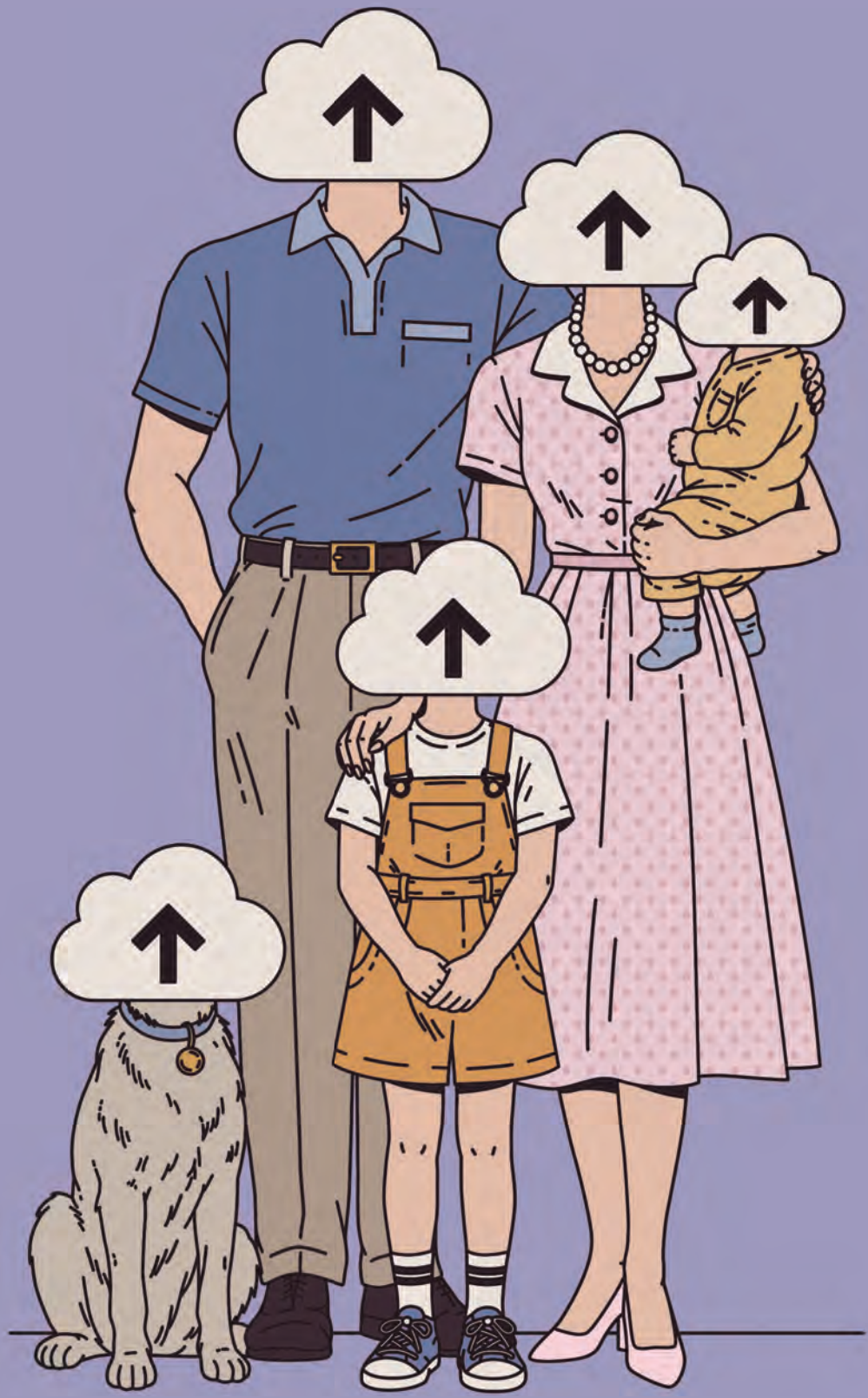


CENA: **24,99 zł** (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
09>
9 772544 502609

MAGAZYN OPINII

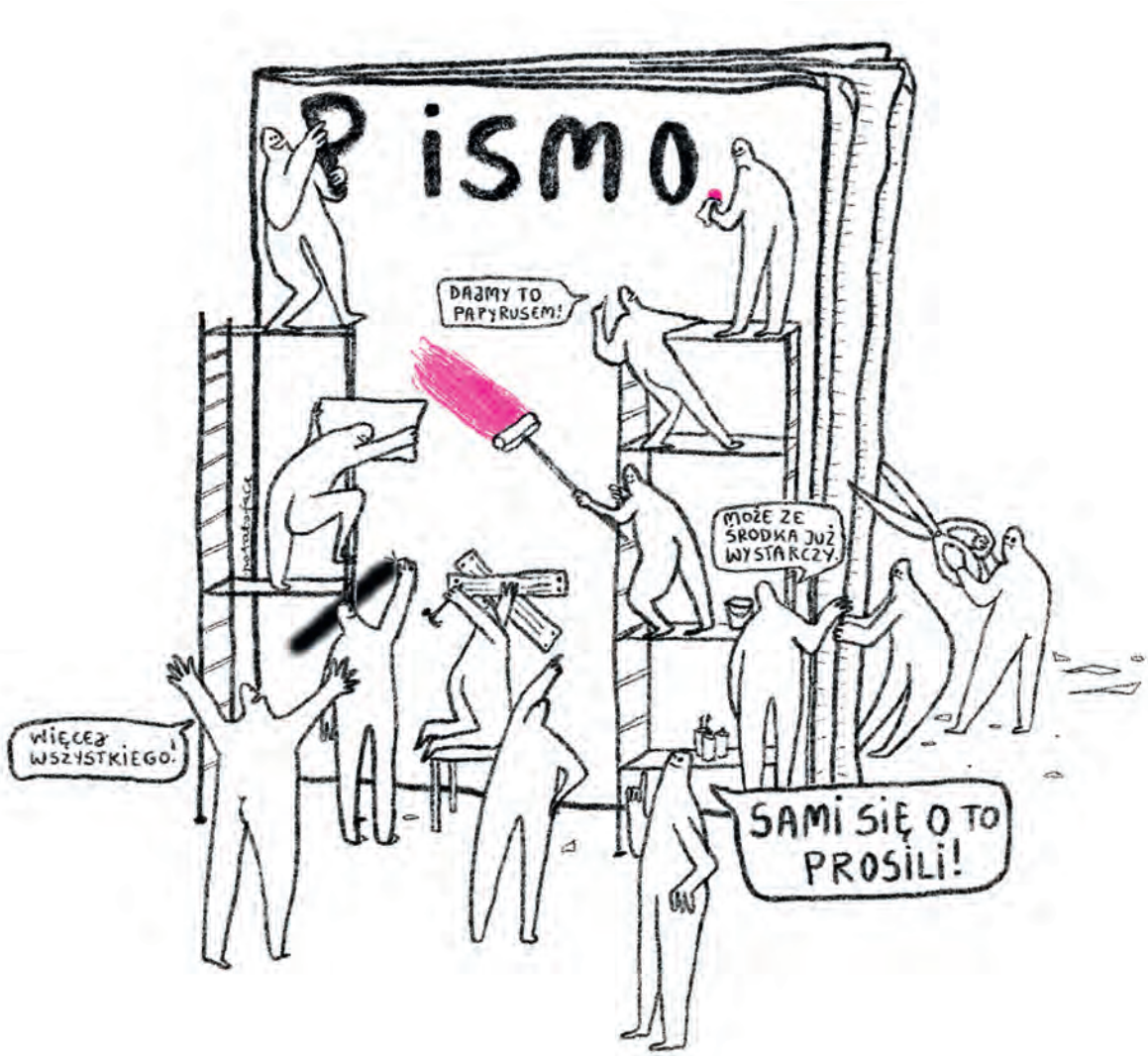
Pismo.

WRZESIEŃ 2026 | NR 9 (105)



MAGAZYN OPINII
Pismo.

Wypełnij ankietę!
Buduj „Pismo” razem z nami.



rysunek KATARZYNA BELCZYK

Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/ankieta i weź udział w badaniu. W podziękowaniu otrzymasz od nas prezent. Odpowiedzi zbieramy do 30 września 2026.

MAGAZYN OPINII
Pismo.
WRZESIEŃ 2026

PROZA

Cukrzycowa rocznica | 6
JOANNA LECH

Yesteryear | 86
CARO CLAIRE BURKE

POEZJA

W przejściu | 3
KRZYSZTOF CZYŻEWSKI

wczesna jesień | 11
AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

Przygodzice | 93
ADRIAN SINKOWSKI

APTECZKA

Co w niej trzyma… | 85
SHIRLEY MANSON, pyta MATEUSZ ROESLER

W KADRZE

Korzenie i gigant | 4
ARTEM HUMILEVSKYI

FOTOREPORTAŻ

Zamrożone konflikty pod palącym słońcem | 40
LEA GREUB

KOMIKS

Źródło | 66
BARTEK GLAZA, MARCIN CZAJKOWSKI

ŻARTY RYSUNKOWE
GABA PALICKA

OKŁADKA

Rodzina w chmurze
ADELA MADEJ

TEKST OKŁADKOWY

12 | **Jaka piękna córeczka**
LENA GONTAREK o niebezpiecznych konsekwencjach sharentingu

ROZMOWA

24 | **Forrest Gump naszych czasów**
SYLWIA CZUBKOWSKA rozmawia z BENEM TARNOFFEM o książce *Muskizm*

PODRÓŻ

32 | **Dlaczego chodzimy?**
MICHAŁ ZABŁOCKI na tropie historii w Sudetach

Z PISMEM U...

50 | **Wernera Herzoga, złodzieja kamery**
ADAM ROBIŃSKI rozmawia z bawarskim reżyserem o wartościowym kłamstwie

HISTORIA OSOBISTA

60 | **Zabierz to, zanim stąd wyjedziesz**
ALEKSANDER HUDZIK wraca do rodzinnego Bielska-Białej, dziś Polskiej Stolicy Kultury

ESEJ KULTURA

76 | **Frida w każdym z nas**
SYLWIA ZIENTEK opowiada o twórczości kobiety, która stała się ikoną

FELIETON

2 | **Wszechświat, który czuje**
KAROLINA LEWESTAM // MYŚLI ZNIKĄD

74 | **Autoportret bez tytułu**
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o CLAUDE CAHUN // W RAMACH

94 | **O języku nieobliczalnym i ludzioslopach**
MAGDALENA BIGAJ // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

96 | **Jesienny bukiet**
AGATA ROMANIUK // COŚ NA RZECZY

ILUSTRACJE W TYM NUMERZE: ANNA GŁĄBICKA, JADWIGA LEMAŃSKA, OLGA NOWOTNIK, MICHAŁ ROMAŃSKI, PAWEŁ SMARDZEWSKI

Pismo.
Pismo. Magazyn Opinii
magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja „Pismo”
ul. Świeradowska 47,
02-662 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezeska zarządu: Urszula Kifer
Członkini zarządu: Inez Jaworska

Redaktorka naczelna: Urszula Kifer **Zastępczyni redaktorki naczelnej:** Katarzyna Kazimierowska
Redaktorka prowadząca: Magdalena Kicińska **Redaktor ds. fact-checkingu:** Marcin Czajkowski
Felietony: Magdalena Bigaj, Karolina Lewestam, Agata Romaniuk **Redakcja:** Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Julia Pańków, Zofia Sawicka, Ilona Turowska **Korekta:** Tatjana Krajowska-Kukiel, Katarzyna Rogowska, Dorota Śrutowska
Dyrekcja artystyczna: Karolina Mazurkiewicz **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz
Wydanie cyfrowe: Ewa Pluta (wydawczyni) **Menedżerka pozyskiwania przychodów i marketingu:** Inez Jaworska
Marketing: Anna Galewska **Media społecznościowe:** Marta Szymczyk **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, Łukasz Tofil **Koordynator projektów i współprac:** Mateusz Roesler

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



KAROLINA LEWESTAM,
dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma".

FELIETON // MYŚLI ZNIKĄD

Wszechświat, który czuje

Jak patrzeć na książki, filmy, media i świat, kiedy coraz trudniej ułożyć sobie tożsamość? Opinie i przekonania, które próbują się nie przejmować, że płyną coraz bardziej znikąd. Więcej na **magazynpismo.pl/**mysli-znikad

Nie sądziłam, że na stare lata mi odbije, ale jednak odbiło: zostałam panpsychistką. Od razu wyjaśniam, że nie spodziewałam się tego zupełnie i byłam zdziwiona swoim zachowaniem. Bardziej chyba niż przykładny ojciec rodziny, który z pierwszym błyskiem łysiny kupuje czerwony kabriolet i odjeżdża nim w stronę życia, które go ominęło; bardziej nawet niż ekomatka z kontem o drewnianych zabawkach na Instagramie, która sądziła, że piękno jest w nas, a 45. urodziny zastały ją przemykającą do kliniki na lifting; doprawdy ze wszystkich kryzysów wieku średniego ten wydaje mi się najwstydliwszy.

Bo widzicie, do tej pory miałam niewiele bardzo mocnych przekonań, ale jednym z nich zawsze było, że świat składa się z fizycznej materii. Dotykalnej i widzialnej – nawet jeśli tylko przez mikroskop albo w postaci danych wypluwanych przez monitor Wielkiego Zderzacza Hadronów. Spędzałam spotkania, kłócąc się na śmierć i życie z dualistami (tymi, którzy jak Kartezjusz myślą, że są ciała, ale też i dusze; jest ich zdecydowana większość); panteistami (potomkami Spinozy twierdzącymi, że ostatecznie rzecz biorąc, wszystko jest Bogiem, a Bóg jest duchem nieskończonym, wiecznym i niezmiennym, więc i my jesteśmy tylko duchem; co więcej są nim też stoły, bociany, dęby, studnie głębinowe i niebo), a także całą tą filozoficzną drobnicą, która nie chce przyjąć do wiadomości, że świadomość tak po prostu nagle wyskakuje z neuronów i że musi być w tym jakiś dodatkowy myk.

„Jak to, neurony wam nie wystarczają? – kłóciłam się. – Chcecie jeszcze boskiej iskry, która dotyka was różdżką metafizyczną jak matka chrzestna Kopciuszka i z mózgowej galaretociapy robi nagle was, zapala w was światła, a wy dopiero wtedy czujecie i jesteście? To głupie! Nie potraficie przyjąć faktu, że nic się nie różnicie od krzesła czy martwej mrówki! Cała ta świadomość, cały ten umysł, którym się tak szczycicie, to nic innego jak wypracowany przez milenia ewolucji program do przenoszenia DNA drogą płciową. Po prostu zwierzęta, które odczuwają, są wydajniejsze od biologicznych maszyn bez świadomych doświadczeń, więc się wam teraz wydaje, że istniejecie jeszcze na jakiś drugi, pozaneuronalny sposób, ale niestety nie ma w was nic poza ową mózgociapą i kupą kości!"

Tak właśnie krzyczałam. Nie wiem, co mnie przekonało, że nie miałam racji – może trafiłam na jakiś wykład fizyka Àlexa Gómeza-Marína. A może podcast Annaki Harris *Lights On*, w którym zastanawia się nad tezą, że świadomość jest nieredukowalną właściwością wszechświata, a ja jej słuchałam, czekając przed szkołą na dzieci. Może, ale żeby w ogóle dostrzec inne argumenty, trzeba być gotowym. A jak przyszła ta gotowość? Z uświadomieniem sobie, że większość moich Wielce Racjonalnych Przekonań wynika najzwyczajniej w świecie z lęku przed rozczarowaniem.

Bo jeśli wyobrazisz sobie kosmos jako materialistyczny, jednorodny, a wszystkie przejawy jego cudowności – na przykład fakt, że mózgociapa czuje, widzi, słyszy i jest świadoma – zbagatelizujesz, to czujesz się niezwyciężona. Nie tkną cię nagłe egzystencjalne lęki typu: „A jeśli wszechświat jest pusty i nieczuły?" albo „A może nie mamy stabilnej jaźni, może to złudzenie?", nie mówiąc już o „Śmierć to koniec" – ty już się tego spodziewasz, zabiłaś rozczarowanie brzytwą Ockhama. I nie dasz się zaskoczyć. Mieszkając na warszawskiej Sadybie, prawie nie chodziłam wokół Jeziorka Czerniakowskiego, bo panicznie się bałam, że ono w końcu wyschnie (trąbią o tym ekolodzy), więc wolałam założyć, że już wyschło, że nigdy nie było cudownego ekosystemu w samym środku miasta. Tak samo nigdy nie dotykałam żadnej teorii świadomości, która naprawdę akceptuje istnienie tego cudu, jakim jest fakt odczuwania świata, i nie chce go od razu sprowadzić do zwykłości – bo jeśli zachwyt wyschnie, zostaniesz z większym bólem, niż gdybyś nigdy nie miała nadziei na żaden cud.

A teraz pozwoliłam sobie wyobrazić świat przesiąknięty świadomością, świat czujący. Pozwoliłam sobie na obraz wszechświata, który jest piękny i tajemniczy, i nieodkryty. I chciałam wam o tym napisać, a także o tym, że ostatnio poszłam na spacer wokół jeziorka i bałam się, że zniknie, ale szłam dalej, niech będzie, że nawet i do ciemnego kresu, ale szłam i będę iść dalej.

Cykl *Myśli znikąd* sponsoruje **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku.

Przeczytaj lub wysłuchaj innych tekstów tej autorki na **magazynpismo.pl/**lewestam-karolina

rysunek ANNA GŁĄBICKA

POEZJA

W przejściu

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI

—

Spojrzenie. Patrzy mi w oczy,
zapuszczając w duszy ruch wahania.

Zbliża się kres starego. Wysprzątałem pokój,
zapiąłem się na ostatni guzik. Stanęło w progu.

Na półkach równo poukładałem zwycięstwa,
odkurzyłem spokój, zaścieliłem bezsenne noce.

Nieruchome, coraz głębiej we mnie sięga.
Próbowałem się bronić, wywalczyć przejście.

Lustro miałem za tarczę, z nagród budowałem barykady.
Liczyłem na uciułane sukcesy, zaskarbione sympatie.

Z półek ściągałem posiłki uznania i dokonań.
Byle tylko odwrócić jego uwagę.

Ogołociłem ściany, opróżniłem szuflady. Nic już nie
mam.
Tylko bałagan, tylko siebie. I to Spojrzenie.

Nagi, bez lustra, patrzę sobie
prosto w oczy.

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI

praktyk idei, poeta i eseista, tłumacz, wydawca, reżyser. Współtwórca Fundacji Pogranicze i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów" w Sejnach oraz Międzynarodowego Centrum Dialogu w Krasnogrudzie. Ostatnio opublikował książki eseistyczne: *Małe centrum świata*, *W stronę Xenopolis* i *Dobre słowo na śmierć*, a także zbiory poezji *Żegaryszki. Wiersze najmniejsze* oraz *Tykot*.

W KADRZE

zdjęcie i tekst

ARTEM HUMILEVSKYI

KORZENIE – PODRÓŻ W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI

cykl z lat 2022 – (2026)

Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji zacząłem pracować nad nową serią zatytułowaną *Korzenie*. Wspólne nieszczęście obudziło w Ukraińcach jakiś nieuświadomiony kod – wszyscy, nawet ci mieszkający w najodleglejszych zakątkach świata, poczuli zew swojej ojczyzny, swojej tożsamości i wolności.

Cykl powstał podczas wojny i dotyczy ducha, siły korzeni i więzi między nami. W nowych pracach kontynuuję podróż do odkrywania wewnętrznej jaźni, którą rozpocząłem w poprzedniej serii *Gigant*. W *Korzeniach* zastanawiam się nad nią na innym poziomie, teraz jako częścią społeczności, i szukam nowych skojarzeń tożsamości, które nie będą wynikać wyłącznie z koncepcji narodu. Proponuję nowe obrazy ideologii opartej na fantazji, w których ujawniam podświadome symbole duchowe i pokazuję, jak subtelnie są w nas wplecione.

Zdjęcia z serii *Gigant* oraz rozmowa z autorem na **magazynpismo.pl/korzenie-i-gigant**



ŻNIWA (2026)

Żadna apokalipsa nie jest w stanie odwołać pory zbiorów na tej ziemi. To ostateczny triumf naszych korzeni: na próbę całkowitej zagłady odpowiadamy nie strachem, lecz radosnym, upartym i nieuniknionym narodzeniem nowego życia.

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na **magazynpismo.pl/w-kadrze**

ARTEM HUMILEVSKYI, fotograf, ekonom, inżynier. Członek szkoły fotografii artystycznej i konceptualnej MYPH. Laureat wielu nagród, m.in.: Global Peace Photo Award 2022, PinchukArtCentre Prize 2022, finalista Rotlicht Festival 2023, Kolga Tbilisi Photo Award 2025, Rovinj Photodays Award 2025. Urodził się w Mikołajowie w Ukrainie.



Cykl *W kadrze* sponsoruje **Fotofestiwal – Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Łodzi**.

FOTOFESTIWAL
SZTUKA | WSPÓŁPRACA | SPOŁECZNOŚĆ

Cukrowa rocznica

tekst JOANNA LECH

—

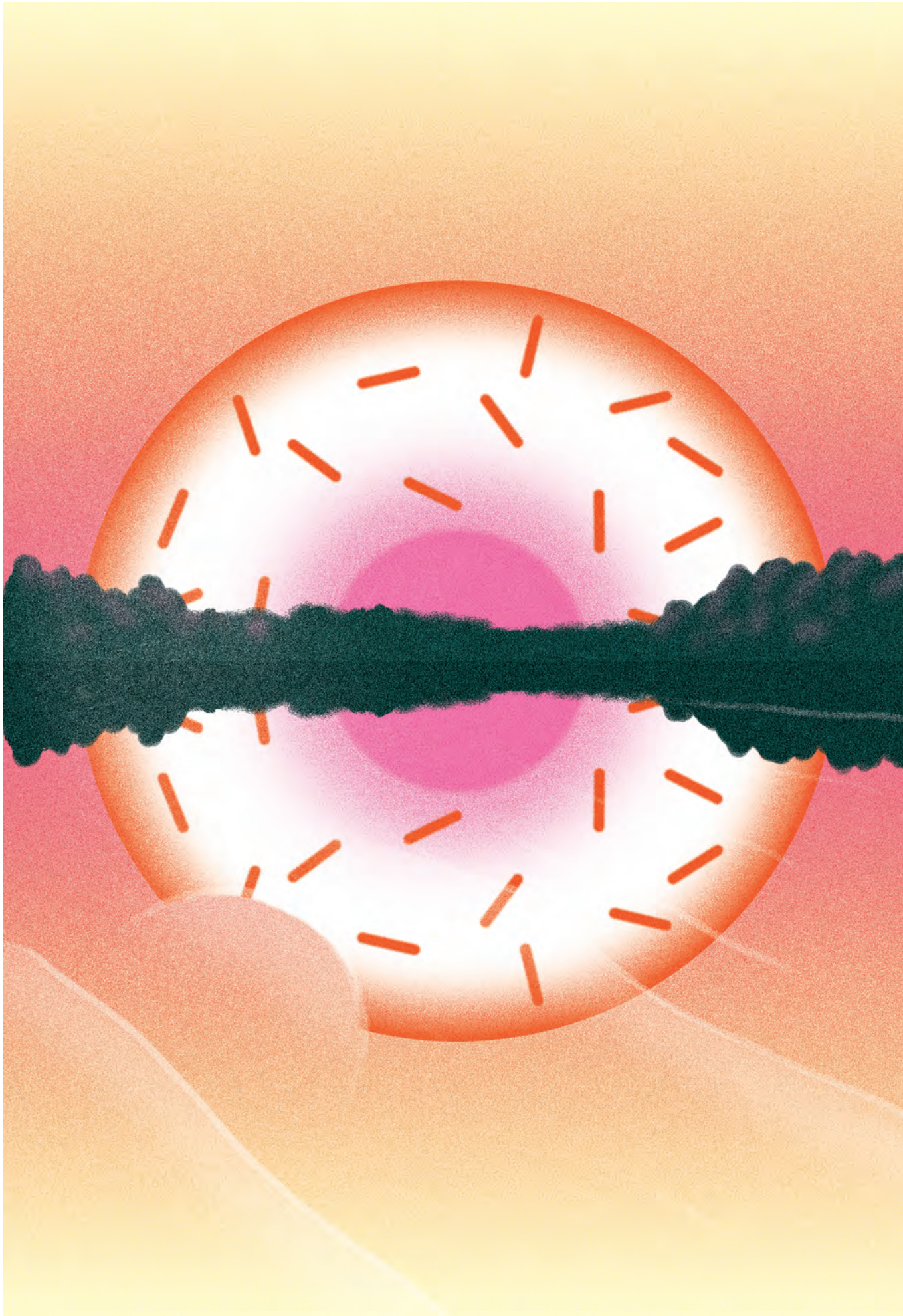
Przedostatniego dnia wypożyczyli łódkę. Nie wiedzieli, gdzie popłynąć, więc dryfowali przy brzegu, kołysani lekkimi falami i podmuchami wieczornego wiatru. Pili i oboje nie odzywali się w gasnącym upale, jakby krótkie wakacje wyciągnęły z nich wszystkie siły. Wpatrywali się w białe żaglówki i zarośla, roztarte smugami od słońca, które zsuwało się tak powoli w jezioro. Po wodzie niosło się dudnienie muzyki z barów, gdzie pijani, niczym trzepoczące ćmy, gromadzili się przy światłach zapalonych wzdłuż deptaków. Co chwilę przepływały obok nich jachty, a wtedy tańczący na pokładach krzyczeli i zawzięcie do nich machali, jak gdyby potrzebowali naocznych świadków swojej dobrej zabawy. Szybko jednak cichli, zawiedzeni, na widok zmęczonej pary, która siedziała ze zwieszonymi głowami tuż przed zmrokiem. Jakby oboje wiedzieli, że coś tracą. I jakby nie mogli tego zatrzymać.

—

NAGRZANY ASFALT, KOLOROWE leżaki i ręczniki porozkładane wzdłuż plaży. Niebieskie toalety i czerwone huśtawki na placu zabaw. Szarość jeziora i ciemna, jadeitowa zieleń lasu. Wszystko tu miało nasycone kolory, zauważył Szymek, przeciągając się w porannym słońcu. Może to pod zmrużonymi rzęsami stawały się mocniejsze, ozłocone blaskiem nieba, które przeglądało się w wodzie. Nawet samochody na parkingu miały jaskrawe barwy. Budy z jedzeniem i stoliki, zbite byle jak z palet, pomalowane w pasy. Kosze, z których wysypywały się śmieci. Ostry zapach sosen i wędzony dym z grilli, gofry i perlisty śmiech. Kolory, głosy i zapachy mieszały się ze sobą, kręciły mu w nosie. Szymek ziewnął szeroko i przetarł zmęczoną twarz. Od kaca i z niewyspania szumiało mu w głowie. Mimo to uśmiechał się czule na widok siostry, która pluskała się z dziećmi w płytkiej wodzie. Co chwilę poprawiała strój kąpielowy, który wrzynał się w fałdy na jej bladych, pokrytych cellulitem biodrach, jakby to miało coś pomóc. Długie linie rozstępów, niczym dawno zagojone blizny; z każdym dzieckiem przybywało ich coraz więcej, zauważył i napił się, jakby chciał spłukać gorzki posmak, ale piwo w plastikowym kubku było rozgazowane, za słabe i tylko wzmagało ochotę, żeby się napić.

—

UPAŁ ZACZYNAŁ SIĘ tu od wczesnego popołudnia, aż swędziały od niego powieki. Pot spływał mu po czole i zasychał wraz z małymi, klejącymi się do skóry włoskami, a ramiona piekły od ukąszeń komarów. W powietrzu wisiała duszna, leniwa cisza, jak przed burzą, choć wcale nie zanosiło się na deszcz. Niebo było bezchmurne, a po wodzie roznosił się jego złoty poblask niczym garść rozrzuconych iskier. Celka w białej sukience wyglądała jak samotny żagiel. Zapomniała ciemnych okularów i mrużyła oczy tak mocno, że jej twarz pod makijażem pokryła się drobnymi liniami zmarszczek. *Jakby pękała gliniana maska* – pomyślał sennie. Weszła do wody w klapkach, być może o nich zapomniała. Po prostu tam stała i pozwalała, żeby owiewał ją lekki wiatr. Lato dodało jej rumieńców, zauważył, że miała nowe piegi rozsiane po policzkach, a krótkie włosy wiły się nad jej czołem. Bezwiednie je poprawiała i szukała kieszeni z papierosami, zupełnie jakby stała w domu na balkonie i wzdychała przed zmierzchem. Nie wpatrywała się w połyskującą taflę, ale w linię tuż nad wodą, w jej rażący blask. Zastanawiał się, czy już powiedziała Martusi, że chce go porzucić. *W końcu to są rzeczy, o jakich mówią ze sobą kobiety na takich wyjazdach* – pomyślał Szymek sennie, zapadając się głębiej w leżaku, znużony upałem i nasilającym się szumem w głowie. Woda już była nagrzana i wydawało mu się, że delikatne fale, które wyczuwał na stopach, zachodziły teraz dalej, jakby jezioro zamierzało zabrać kolejny skrawek lądu, zagarnąć go do siebie ramieniem. *Widocznie chciała oślepnąć* – pomyślał jakiś czas potem.



rysunek MICHAŁ ROMAŃSKI

JOANNA LECH, pisarka. Debiutowała powieścią *Sztuczki* (2017) nominowaną w 2017 roku do Nagrody Literackiej Nike i Nagrody Literackiej Gdynia. Autorka powieści *Kokon* (2019) i *Drapieżcy chmur* (2025) oraz pięciu tomów wierszy, nominowanych m.in. do Nagrody Poetyckiej Silesius i Nagrody literackiej Nike. Redaktorka antologii *Znowu pragnę ciemnej miłości* (2018).

—

PO OBIEDZIE DZIECI Martusi niosły na plażę zabawki do pływania:, różowe flamingi i łabędzie z długimi szyjami owinięte wokół ich drobnych, opalonych ciał jak martwe zwierzęta. Wbiegały z nimi w wodę z piskiem i przez chwilę się chlapały, a potem kładły na materacu lalki i popychały go przed siebie. *Jakby to była ofiara dla bogów jeziora, przekąska na talerzu* – pomyślał, zdziwiony, skąd mu to przyszło na myśl. Przekręcił się na leżaku. Takie same koła sprzedawali na straganach. Wisiały pękami przy stoiskach, już nadmuchane, jak ogromne kolorowe balony. Wczoraj się w nie wpatrywał, cierpliwie czekając na Celkę, która przymierzała okulary. Narzekał, że nie ma sensu kupować plastikowych i bez filtra tylko na kilka dni wakacji, ale i tak kolejno je mierzyła. Podobnie usiłował przekonywać sam siebie, że nie warto kupować koła. Jednak coś go do tych dmuchanych zabawek ciągnęło, wyobrażał sobie, że mogliby tak z Celką pływać. Popychałaby go z boku, a on leżałby na kole, nie przejmując się głębokością. Jak pary, które obserwował, gdy w ten sposób dryfowały na materacach na środku jeziora, całując się i chlapiąc, z radosnym śmiechem, który niósł się nad wodą. Jak coś z ich przeszłości, jej odległe echo.

—

DZIWNIE BYŁO WCIĄŻ tak o niej myśleć: *Martusia*. W szkole tyle biegała, że prawie jej nie widywał; widocznie musiała uciec od wielu rzeczy. Wyrośnięta i chuda, z długaśnymi nogami i kucykiem, który podskakiwał za nią w tym samym rytmie. A teraz przypatrywał się jej, gdy głośno wrzucała zabawki do wiaderka. Buch! Buch! Nerwowa i nisko pochylona, jak napuszona kwoka. Nawet nie próbowała odganiać dzieci, które się na niej uwieszały. „Skąd one mają tyle energii?" – pytała rozpaczliwie, odkąd tu przyjechali, choć nikt jej nie odpowiadał. „Wata cukrowa! Lody! Huśtawki!" – wykrzykiwały, rozpaczliwie szukając wzrokiem kolejnej atrakcji, żeby zabić nudę. Nostalgiczna, drżąca melodia końcówki lata. Sam znał ją aż za dobrze, myślał, przypatrując się ich wyścigom po deptaku. Krzyczały przy wózku z watą cukrową, ale sprzedawca nie zwracał na to uwagi. Opalał się na niskim murku i niechętnie wstawał, gdy przy stoisku przystawali dorośli. Martusia usiadła obok Szymka, żeby pożyczyć papierosa. „Nie kupię im – oświadczyła, nachylając się w jego stronę. – Gość ma plamę potu na tyłku i co chwilę się drapie. A potem tą samą ręką kręci watę. – Skrzywiła się z obrzydzeniem. – Zresztą to sam cukier, już bym wolała im drugie lody kupić". Zaciągnęła się i z ulgą wydmuchała smugę dymu. „No i znowu tu biegną! Skąd one biorą tyle siły?" – Jęknęła i opadła bezwładnie na piasek. Szymek zaśmiał się i wzruszył ramionami, choć siostra już nie zwracała na niego uwagi. Zapatrzyła się w niebo, dziwnie jasne, bezchmurne. On także spojrzał w tamtym kierunku i przymknął oczy. Zupełnie jak wtedy, gdy byli dziećmi i godzinami leżeli na trawie, wpatrując się w chmury, próbując odnaleźć w nich znajome kształty. Jak w te dni, gdy chcieli uciec jak najdalej.

—

MARTUSIA JUŻ WTEDY dobrze pływała, choć nie wiedział, kiedy się nauczyła. Nie jeździli nad wodę. Szymek pamiętał tylko te rzadkie wyprawy na ryby. Ukryte w lesie jezioro, porośnięte zielenią, jakby na nich łypało orzęsionym okiem. „Nie jesteś z cukru, może się nie rozpłyniesz!" – Śmiał się ojciec, gdy wrzucał go na głębinę z pomostu. Stąd musiał wziąć się w Szymku ten strach, nieustępliwy i dławiący, gdy płakał i rozpaczliwie przebierał rękami, próbując wydostać się na powierzchnię. Blady chłopiec, długi jak szczupak, łapczywymi haustami chwytający powietrze. Gdy tylko udawało mu się wynurzyć, uciekał, żeby trząść się gdzieś w sitowiu. Ojciec obracał się z wędką pod słońce, więc nie było widać jego twarzy. Matka uspokajająco głaskała syna po głowie, ale wyczuwał w niej ten sam lęk i wstręt, co u ojca – ich cierpki zapach. Niepewność, czy można się sprzeciwić ojcu. Tak samo miała z rybami, gdy ojciec obierał je krótkim nożem, a potem wyciągał wnętrzności, śliskie i gładkie, między palcami. Noce, gdy kazał szykować ogień.

—

DESKI DO PŁYWANIA były pokryte szarym nalotem i przy każdym dotyku wydawały świszczący dźwięk przyprawiający go o gęsią skórkę. Tak samo gwizdki i wrzaski ratowników. Smród chloru, od którego piekły go oczy mimo zakładania plastikowych okularów. Nie znosił tego, ale przecież sam wyprosił u mamy kurs nauki pływania. Słuchał instrukcji, wykonywał ćwiczenia i całkiem dobrze mu szło, dopóki nie trzeba się było zanurzyć. Martusia też chodziła na lekcje, ale dla zaawansowanych. Zamiast pływać na swoim torze, podtrzymywała go, gdy próbował nurkować. Mimo to nie mógł się przemóc, po prostu za bardzo bał się wody. Gdy tylko znalazł się pod powierzchnią, panikował i zaciskały mu się płuca, jakby kurczowo ściskały między sobą tętniące głośno serce. W końcu przestali go zmuszać. Ratownik dosłownie machnął na niego ręką w drodze do szatni i Szymek już tam nie wrócił, choć kurs był opłacony na cały rok. Tego dnia stracił tyle w oczach ojca, że stał się mniejszy – zamiast rosnąć, coraz bardziej się kulił. Już dawno pogodził się z tym, że nie dorośnie do ich oczekiwań. A także z tym, że nigdy nie zazna tej chłodnej, kojącej ulgi, jaką sobie wyobrażał, kiedy myślał o pływaniu. Ale przecież był taki zajęty, wmawiał sobie, że miał tyle zajęć, i rzadko o tym myślał.

—

WYDAWAŁO MU SIĘ, że zawsze tak dryfował, bezradny i bezsilny, niesiony przez życie tam, gdzie poniesie go prąd. Został w tej samej pracy, od której zaczął staż, i choć jej nie znosił, nie miał siły, żeby nauczyć się czegoś od nowa. Nie myślał o dzieciach i Celka też o tym nie wspominała; uznał więc za naturalne, że zestarzeją się razem w dusznej samotności – w wynajętym mieszkaniu, bo nie spieszyło im się do kredytu, dekorowania wnętrz i użerania z wykonawcami; zwyczajnie nie mieli do tego głowy. Nie urządzali sobie życia, po prostu przyzwyczaili się do tego, które było im dane. Teraz, gdy chciała odejść, powracał do niego ten sam strach dławiący w gardle, tak że nie mógł nabrać oddechu. Jakby został zupełnie sam. Albo jakby był rozbitkiem na pełnym morzu i już zaczynał tonąć.

—

OGROMNE KOŁO udające oponę wydawało mu się zabawne, ale teraz, gdy niósł je przez plażę, miał wrażenie, że wszyscy się na

niego gapią. „Może jestem na to za stary" – pomyślał ze smutkiem, nagle świadomy przyciasnych kąpielówek, swojego bladego, spoconego brzucha i klaskania klapków. W dodatku koło syczało. *Może nie zostało dobrze nadmuchane albo było nieszczelne* – pomyślał i zawrócił do domku, żeby znaleźć automatyczną pompkę. Dziewczyny leżały na kocu w cieniu drzewa. Gdy się przysiadł i podłączył urządzenie, zaskoczyło go, jak głośno warczy, kilka osób zwróciło na niego zdziwiony wzrok. Wziął kawałek arbuza, żeby zająć czymś ręce, ale owoc był za słodki, a lepiący sok ciekł mu po palcach. Mógłby pójść do łazienki albo po kolejne piwo, ale wciąż siedział, jakby za karę. Łączył się w cierpieniu z tymi, którzy musieli pilnować swojego skrawka cienia. Milcząco pogodzili się z hałasem pompki, jakby była to cena odpoczynku, tak samo jak szum motorówek i krzyki dzieci. On także cierpiał, czekał, aż koło się dopompuje, choć trwało to tak długo i coraz bardziej tracił ochotę na pływanie. Wiedział, że Celka już nie będzie chciała wracać do wody. Obrzuciła koło niechętnym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Może dlatego, że okulary zsuwały jej się po spoconym nosie i co chwilę je poprawiała. Widocznie nie mogła wytrzymać i kupiła ogromne, ciemne szkła połyskujące na błękitno jak u muchy albo ważki. Nie widział przez nie jej oczu i pomyślał, że mogłaby teraz zacząć płakać, a nikt nie zauważyłby łez na jej policzkach, bo w upale od razu by wyschły.

—

TAK BARDZO przypominało mu to ich rocznicę. Cukrową, szóstą. Mdlącą, rozpływającą się w ustach, pozostawiającą posmak zjełczałego kremu do opalania i rozwodnionych drinków. Pojechali razem tylko na jedyną wycieczkę, Celka wykupiła ją jako prezent dla nich obojga. Szymek całkowicie o tym zapomniał, a potem wszystko przespał. Zasnął na plaży już pierwszego dnia po przyjeździe. Celka mówiła, że chrapał jak niedźwiedź. Potem pokazywała mu zdjęcia, na których spał z materacem w objęciach, albo te, gdzie układała mu na brzuchu muszelki. Szymek ziewał ze zdumieniem i przecierał oczy. Co dzień przy śniadaniu wmuszała w niego mocną kawę, a po południu drugą, ale to nic nie pomagało, bo nudził się na plaży i był tak ociężały, jakby coś go przytłumiało, dusiło. Wilgoć i szum morza sprawiały, że oczy same mu się zamykały. Był przemęczony od tylu lat, że po prostu zasypiał jak wielki, blady wieloryb wyrzucony na brzeg. Dopiero po zachodzie słońca zaczynał się budzić. Celka czekała na niego opalona, pachnąca po prysznicu i zmęczona samotnym pływaniem. Spacerowali wzdłuż brzegu, trzymając się za ręce albo brodzili po kostki w wodzie. Całował jej ciepłe ramię, z którego nie zmyła do końca kremu do opalania, łaskotał ją, ale ona odtrącała jego rękę, jakby to była natrętna mucha. Osłaniała twarz dłonią i obracała się bokiem, jakby się chciała przed nim schować. Szła zamyślona, coraz wolniej, a w końcu zawracała, czasem celując



stopami we własne ślady, jakby to miało coś odczynić. Pamiętał, jak ostatniego dnia tak długo stała na brzegu, wpatrzona milcząco w zachód słońca, który nawet nie był zjawiskowy. Wyblakłe kolory nie rozpościerały się nad wodą, a za wieżowcami hoteli i dyskotek, od których przez całą noc niosły się śmiechy i dudniąca muzyka.

—

KRÓTKI DESZCZ podmył zamek, który dzieci zbudowały z mokrego piasku. Kolorowe foremki, łopatki i babki: wszystko wyglądało teraz jak zatopione miasto. Zniechęcone dzieci, zwyczajnie je porzuciły. Szymek poczekał, aż odejdą, dopiero wtedy wszedł do wody. Między palcami stóp poczuł drobny, ostry żwir. Tafla pod wieczór była chłodna i mętna.

Przez chwilę chodził wzdłuż brzegu, gdzie wciąż dryfowały łódki. Zamoczył ręce, a potem ochlapał szyję i ramiona, żeby przyzwyczaić ciało do zimna. Powoli wszedł głębiej, prawie po kolana. Tuż obok niego pojawiła się dziewczynka na różowym flamingu. Jej matka przytrzymywała ptaka za szyję, jakby go dusiła. „Nie wypływaj tak daleko, przecież w kole może być dziurka – pouczała. – Co zrobisz, gdy nie sięgniesz stopami do dna?" – spytała, ale dziewczynka nie zwracała na nią uwagi. Szybko machała nogami i wkrótce flaming przepłynął wzdłuż linii czerwonych boi. *Utopisz się* – odpowiedział jej w myślach. Minęła go, ale jeszcze długo unosił się za nią ślad białej piany.

—

ZANURZYŁ SIĘ po szyję i poczekał, aż woda zrobi się kojąco ciepła. Oparł łokcie na kole i przez chwilę brodził, wyczuwając stopami dno. Trzymał się blisko brzegu, ale woda tu była za płytka i ciągle znosiło go na plażę. Wiedział, że przeszkadza dzieciom, a te, które wbiegały do wody, chlapały na niego z każdej strony. Dlatego odepchnął się mocno od pomostu i popłynął kawałek dalej. Teraz nabrał odwagi i wspiął się na oponę, żeby ostrożnie się na niej ułożyć. Dryfował lekko w przyjemnym rozluźnieniu. Nad nim było tylko szarawe niebo z przebłyskami słońca. Popychał go lekki prąd, ale zauważył, że coraz bardziej oddala się od plaży. Z tej odległości wyglądała jak na wakacyjnej pocztówce: złoty piasek, kolorowe fotele i ręczniki nasączone lekką poświatą. Chłodna bryza łaskotała go w mokre ramiona. Oparł głowę na krawędzi opony i przymknął oczy. Może dlatego nawet nie zauważył, jak daleko go zniosło.

—

OCKNĄŁ SIĘ DOPIERO, gdy wpadł na grupę chłopców. Pili w okręgu, zanurzeni po ramiona. Szymek przebierał nogami, próbując się od nich odsunąć, ale wydawało się, że nie rusza się z miejsca, wzbijał tylko pianę. Gdy zaczęli protestować, wyznał zawstydzony, że nie potrafi pływać i poprosił, aby go popchnęli. Wiedział, jak żałośnie musiał wyglądać w ich oczach, więc przebierał na oślep rękami i nogami, żeby odpłynąć jeszcze dalej. Jednak teraz prąd był silniejszy i momentalnie go porwał. Szymek próbował zawrócić koło, ale i tak znosiło go coraz dalej, na środek jeziora. Wciąż miał w zasięgu wzroku pijącą grupę i pływających przy

brzegu ludzi, ale wahał się, czy ich zawołać, a oni nie zwracali uwagi na jego niezdarne manewry. Nagle wyobraził sobie zmęczonego ratownika, który będzie musiał za nim popłynąć, a potem przywlecze go wraz z kołem na plażę. Ta cała niezręczność drogi powrotnej, to, jak wszyscy by się na niego gapili. Jak Celka odwracałaby wzrok. Na samą myśl o tym Szymek się zaczerwienił i opadł bezsilnie na koło. Przez długą chwilę dryfował, popychany wiatrem i silnym prądem. Wkrótce był już za daleko. Nawet gdyby teraz zaczął wołać o pomoc, nie mogliby go usłyszeć. Z głębokim żalem pomyślał, że przez krótki moment wstydu stracił ostatnią szansę. Koło wydawało się solidne, ale przez cały czas uchodziło z niego powietrze, nawet teraz mógł usłyszeć cichy syk. Szymek rozglądał się, przestraszony. Nie widział już brzegu ani pomostu, wokół była tylko woda. Szara nicość, pełna drżącego światła. Odległy szum drzew.

—

DAWNIEJ CZUWAŁA nad nim, gdy zbliżał się do wody. Nawet jeśli tylko zanurzał stopy, Celka co chwilę unosiła wzrok znad książki i rozglądała się, sprawdzając, gdzie się znajdował. W jakiś sposób to sprawiało, że czuł się bezpieczny. Teraz jednak Szymek był sam, dziewczyny nie zwróciły uwagi, gdy wszedł do jeziora. Był pewny, że i ratownicy nie będą go wypatrywać. W końcu nie było nic dziwnego w dryfowaniu na kole, a nikt nie wiedział, że nie umie pływać. Celka nie zdziwiłaby się nawet, gdyby nie wrócił na noc, bo już mu się zdarzało zasnąć w hamaku na plaży. Wiedział więc, że nikt nie będzie go szukał, a przynajmniej nie tak szybko. Utonie i nic nie zdoła go uratować – uświadomił sobie nagle z przejmującą rozpaczą.

Obrócił się niezgrabnie na brzuch, kurczowo trzymając się koła. Z całej siły przebierał nogami, próbując przypomnieć sobie ruchy wyuczone dawno temu podczas nauki pływania. Jednak szybko się zmęczył i wydawało mu się, że wcale się nie przesuwa. Nie próbował już walczyć z prądem, który znosił go coraz dalej, zresztą nie było jak. Wciąż miał nadzieję, że zauważy go ktoś z łodzi albo pływacy, którzy czasem zapuszczali się tak daleko z bojami przywiązanymi do pasa. Starał się wypatrzeć je na powierzchni wody, ale wzrok mu się rozmywał i raziło go słońce. W końcu zauważył kogoś, poderwał się, zaczął krzyczeć i wymachiwać rękami, ale tamta sylwetka szybko się oddaliła i Szymek znów został sam. Wyobraził sobie ciemną głębinę, która dzieliła go od dna, i przeszedł go lodowaty dreszcz. *Żeby tak się utopić ostatniego dnia wakacji* – pomyślał z gorzkim smutkiem. Rozpaczliwie wołał o pomoc, ale zdawało mu się, że woda pochłaniała te dźwięki, że od razu rozpraszały się w szarości i nikły.

—

PRZYSZŁA MU do głowy ostatnia myśl, której uczepił się z całej siły – że gdyby go jednak wyciągnęli, mógłby przylgnąć do jej ramienia i jak na wzruszających filmach wyznać, że wciąż ją kocha, błagać, żeby nie odchodziła. Ale szybko przeklął się za tę żałosną, ckliwą bezradność. Próbował odsunąć od siebie ten obraz jak najdalej, zapomnieć o niej, o sobie. Zaciskał oczy w słabnącym świetle. Przecież wiedział, że nie miało to najmniejszego znaczenia i tylko by się zawstydziła, bo już dawno temu podjęła decyzję i nic nie mogłoby jej teraz zmienić. Może zostałaby z nim kilka dni dłużej z litości, ale patrzyłaby na niego z rosnącą niechęcią. Więc tylko jeszcze bardziej rozciągnąłby ich rozstanie w czasie. Naostrzyłby je dla siebie na brzegach.

—

POZA GRANICĄ FAL tafla była spokojna, a jej powierzchnia wyglądała jak brudne lustro. Szymek leżał zrezygnowany na kole i od dłuższego czasu wpatrywał się w niebo. Ono też było szarawe, ciemniejsze po deszczu i odbijało się w wodzie. Właściwie przenikały się nawzajem. Czasem zanurzał palce, żeby sprawdzić, gdzie przebiega między nimi granica; wydawały się tak nierzeczywiste. Jego ciało robiło się coraz cięższe, a przynajmniej tak mu się zdawało. Wiedział, że utonie, to była tylko kwestia czasu. Koło syczało, gdy uchodziło z niego powietrze. Lekko uginało się pod jego ciężarem i wiedział, że długo go nie utrzyma. Będzie się spłaszczać, aż całkiem straci kształt. Szymek był zbyt zmęczony na dalszą walkę. Wyobraził sobie, że jeszcze przez długie godziny będzie kurczowo trzymać się skrawka plastiku, aż w końcu po prostu osunie się nagle w ciemną, lodowatą wodę. Długo będzie opadał na dno w upiornej, napiętej ciszy. Ale zaraz po tym znów rozlegnie się cichy szum drzew, jakby nic się nie stało. *Bo nic się poza tym nie stanie* – pomyślał ze zdziwionym uśmiechem. – *Nic innego, nic więcej niż zawsze*.



rysunek GABA PALICKA

Żarty w tym numerze powstały w ramach współpracy promocyjnej z **Braćmi Sadownikami**.

POEZJA

wczesna jesień

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

—

Lato trzymało nas w cieple.
Deszcz pod arkadami i wyszliśmy na słońce,
żeby napić się kawy, pogadać.
Watę z brody Mikołaja na szkolnym korytarzu
pobrudziliśmy czerwonym flamastrem – coś
kobiecego, co było podniecające i straszne.
Dałeś mi goździki pierwszy raz.
Wołali na mnie goździkowa dziewczyna.
Wypełniliśmy knajpę o zielonych i rudych butelkach
i widziałam jak niosą tego chłopaka
do pani Styś, żeby mu zaparzyła ziółek,
bo ziółka są dobre na wszystko.
Dzwoniły twoje buty nabijane miedzią:
złapię ci koguta na zupę
z głową w dół będzie bił skrzydłami
za każdą minutę mojego spóźnienia
i prądy będą skubały nam kości.
Czy nadal jesteś żywy? Masz jeszcze
coś w głowie? Niejeden jest piękny,
wysoki jak ty, zrobiony z tych młodych
syntetycznych perfum. A jednak do ciebie
mogę wyjść jak stoję,
żeby potrząsać drzewami i kurzem zasypane
ulice rozgrzebywać nożem
i sadzić tam rodzynki, które mam w kieszeniach

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

poetka, autorka powieści, opowiadań i sztuk teatralnych. Dyrektorka Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania. Współzałożycielka i redaktorka społeczno-poetyckiego magazynu „Zakład" i redaktorka „Notatnika Literackiego". Członkini zespołu badawczego Archiwum Kobiet IBL PAN. Od trzech lat prowadzi interdyscyplinarne seminaria humanistyczne we Wrocławiu. Ostatnio wydała *Wiersze dla twojej córki*.









rysunki JADWIGA LEMAŃSKA







REPORTAŻ

Jaka piękna córeczka

tekst LENA GONTAREK

NIEWINNE ZDJĘCIE, zabawne wideo, pamiątka na całe życie, choć niekoniecznie taka, do której wszyscy wrócą z sentymentem. Rodzice (i nie tylko) wciąż wpadają w pułapkę sharentingu, ale to ich dzieci mogą w przyszłości ponosić konsekwencje tego zjawiska.

LENA GONTAREK, dziennikarka freelancerka, redaktorka, absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Publikowała m.in. w „Wysokich Obcasach", „Gazecie Wyborczej", „Tygodniku Powszechnym", portalu Weekend.gazeta.pl i Onet.pl.

Post pierwszy. Zdjęcie z dzieckiem, małą dziewczynką. W opisie – wiek mamy, córeczki, ich imiona, miasto, w którym mieszkają.

Post drugi, tego samego dnia. Relacja z rodzinnej wycieczki.

Post trzeci, dwa dni później. Rumiane policzki, wielkie oczy. Na nagraniu dziewczynka gaworzy.

Post czwarty, kilka dni później. Ta sama dziewczynka, ubrana w cieplutki kombinezon, buja się na huśtawce.

To nie jedyne tego rodzaju wideo i zdjęcia na tym profilu. Pamiątki po wspólnie spędzonych dniach, kadry z rodzinnych wyjazdów, zajęć rozwijających malucha, na basenie, refleksje na temat rodzicielstwa. Wszystko z przymrużeniem oka i ewidentną miłością do dziecka, które jest uwiecznione w obiektywie.

Kiedyś było ich więcej, ale część materiałów została przez mamę dziecka usunięta.

– Kiedy zaczynałam prowadzić na Instagramie konto nietypowa.kowalska, czyli około dwóch lat temu, pokazywanie twarzy córeczki wydawało mi się naturalne. Większość twórców profili parentingowych tak robiła. Nie zastanawiałam się nad tym głębiej – przyznaje 34-letnia Marta, autorka instagramowego konta. Dziś jej profil obserwuje ponad 16 tysięcy osób, wtedy jednak dopiero raczkował. Ale od początku rósł szybko.

– Po pewnym czasie mój mąż powiedział, że nie czuje się komfortowo z tym, że pokazuję nasze dziecko. Zwrócił uwagę, że to, co publikujemy w mediach społecznościowych, przestaje być wyłącznie nasze, i przyznał, że wolałby, żebyśmy nie pokazywali twarzy córki w internecie. Zaczęliśmy o tym rozmawiać, a ja obejrzałam kilka kampanii społecznych dotyczących prywatności dzieci i cyfrowego śladu. To dało mi do myślenia. Od tamtej pory, jeśli pokazuję którąś z córek, to tak, żeby nie było widać jej twarzy – opowiada.

—

TO, CO WYDARZYŁO SIĘ na profilu Marty, nazywamy sharentingiem. Termin nie jest nam obcy – powstał z połączenia angielskich słów: *share* (dzielić się) oraz *parenting* (rodzicielstwo) i oznacza udostępnianie zdjęć oraz nagrań z wizerunkiem swojego dziecka w internecie. Ale czy tylko?

– O sharentingu mówimy dziś w dużo szerszym kontekście. To także wpisy na blogu czy treści audio, w których rodzice ze szczegółami opisują życie swojej pociechy. Nie chodzi więc o sam wizerunek, ale o wszystkie dane i informacje wrażliwe, które trafiają do przestrzeni publicznej – zwraca uwagę Aleksandra Rodzewicz, ekspertka edukacji, pedagożka, twórczyni profilu Facetka z Poradni, która od lat zajmuje się kwestią ochrony wizerunku dziecka w sieci. – Początki tego zjawiska przypadają na lata 90., kiedy na popularności zyskiwały różnego rodzaju blogi i serwisy, w których można było budować wokół siebie pewną społeczność. Nie bez znaczenia jest jednak kontekst. A ten zupełnie inny był w 2001 roku, gdy w Polsce nie było nawet Naszej Klasy, inny w 2008 roku, gdy weszła polska wersja Facebooka, i inny jest dziś, gdy sztuczna inteligencja pozwala „rozbierać" zdjęcia użytkowników portali społecznościowych, a uczeń podstawówki potrafi stworzyć deepfake'a.

– Z perspektywy naukowej muszą być spełnione trzy warunki, żebyśmy mogli mówić o sharentingu – tłumaczy doktorka Anna Brosch, pedagożka z Uniwersytetu Śląskiego, która badania nad sharentingiem prowadzi od 2016 roku. – Po pierwsze, dziecko nie może być anonimowe. Nie oznacza to, że musimy podpisać materiał imieniem i nazwiskiem. Wystarczy, że rodzic używa imienia swojego dziecka na profilu, łatwo połączyć kropki. Po drugie, musi być podana lokalizacja. I tu znów nie trzeba napisać: „mieszkamy w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej". Wystarczy pokazać zdjęcie świadectwa, dyplomu, na którym widać nazwę szkoły, albo wspomnieć, do jakiej placówki nasze dziecko chodzi na zajęcia dodatkowe. I w końcu po trzecie – widownia. Jeśli rodzice dzielą się zdjęciami pociech na zamkniętym czacie z najbliższymi osobami, nie nazwałabym tego sharentingiem. Żeby tak było, dane dziecka muszą być dostępne dla szerszego grona osób.

Zjawisko sharentingu od lat jest powszechne wśród rodziców. Pierwszy polski raport na ten temat powstał w 2019 roku na zlecenie agencji Clue PR. Wynikało z niego, że 40 procent rodziców korzystających z mediów społecznościowych dokumentowało tam dorastanie swoich dzieci. Średnio rocznie wrzucali do sieci 72 zdjęcia i 24 nagrania z ich udziałem, przy czym 21 procent robiło to raz w tygodniu lub częściej.

Następnie nad problemem pochyliła się Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa – Państwowy Instytut Badawczy NASK, wydając w 2023 roku raport *Nastolatki 3.0*. Aż co drugi badany nastolatek zadeklarował wtedy, że rodzice lub opiekunowie umieszczali w mediach społecznościowych jego wizerunek. Co ciekawe, pytanie o udostępnianie informacji na temat swoich dzieci zadano też rodzicom. Do publikowania takich materiałów przyznało się około 30 procent badanych.

W 2025 roku Fundacja Orange wydała drugą edycję raportu *Dojrzeć do praw*. Wynika z niego, że wizerunkiem swoich dzieci na Facebooku, Instagramie czy TikToku dzieli się 44 procent Polaków. Tylko co dziesiąty z nich nie pokazuje twarzy dziecka. Największą grupą są rodzice dzieci w wieku 5–8 lat (60 procent, z czego 14 procent zasłania twarz). Robi to również prawie co drugi rodzic mający dzieci, które jeszcze nie ukończyły czwartego roku życia, około jedna trzecia rodziców 9–12-latków i 37 procent rodziców dzieci z przedziału 13–17 lat. We wszystkich tych trzech grupach zaledwie 9 procent zasłania twarz dziecka.

—

CZY ZATEM upływ czasu przyniósł zmianę? W liczbach tego nie widać, ale eksperci dostrzegają, że zmienia się charakter zjawiska – bo na przestrzeni lat sharenting zaczął przybierać różne formy. Jedną z nich jest oversharenting, czyli nadmiarowe, nieustanne dzielenie się wizerunkiem swojego dziecka i informacjami na jego temat.

– Kiedy dziesięć lat temu zaczynałam analizować to zjawisko, świadomość była dużo mniejsza, a co za tym idzie, takich przykładów istniało mnóstwo. Na potrzeby badań przeanalizowałam wtedy 158 profili zupełnie obcych mi osób, które miały konta z ustawieniami publicznymi i regularnie dzieliły się życiem swoich dzieci w sieci. Rekordzistka opublikowała 1100 zdjęć w ciągu sześciu miesięcy życia dziecka – opowiada Brosch.

W artykule *Sharenting – nowy wymiar rodzicielstwa?* z 2017 roku pedagożka dokładnie przygląda się dziewięciu profilom w mediach społecznościowych (sześciu matek i trzech ojców). Wspomniani rodzice ujawnili informacje wrażliwe, takie jak imię, wiek, płeć, a nawet waga urodzeniowa dziecka czy lokalizacja. Jedna z kobiet opublikowała 936 zdjęć dwojga swoich pociech, z czego jedna miała niecałe trzy lata, a druga niewiele ponad pół roku.

Z inną formą sharentingu większość z nas się zetknęła, choć pewnie nie umieliśmy tego nazwać. Pamiętacie wiralowy trend #EggCrackChallenge, który polegał na tym, że rodzice rozbijali surowe jajka na głowach swoich pociech i sprawdzali, jaka będzie ich reakcja? To właśnie troll parenting.

„To zachowanie rodziców polegające na dzieleniu się w sieci treściami, które kompromitują dzieci, ośmieszają je lub pokazują trudne dla nich, wstydliwe czy wręcz upokarzające momenty. Pseudozabawne zdjęcia lub filmy przedstawiają płaczące, bezradne, przestraszone bądź przebrane dla żartu w dziwaczne kostiumy dzieci. Niemowlę włożone do garnka na płycie kuchennej, dziecko z plamą na spodniach, bo nie zdążyło do toalety, płacząca dziewczynka w stroju kwiatka podlewana konewką przez tatę to tylko kilka przykładów bezrefleksyjnego zachowania niektórych rodziców w internecie" – podawał NASK w poradniku dla rodziców *Sharenting i wizerunek dziecka w sieci* z 2020 roku.

Przykład z polskiego podwórka, który odnalazłam w odmętach YouTube'a: dorosła kobieta – zakładam, że mama lub inna bliska członkini rodziny – nagrała, jak około czteroletnie dziecko zaczyna recytować alfabet, po czym się zacina, a w końcu wyrzuca z siebie: „Ja chcę kupę". Filmik na koncie, na którym go znalazłam, jest od 2022 roku, dziś ma ponad 4,7 miliona wyświetleń, 48 tysięcy polubień i 1000 udostępnień.

– Jeszcze kilka lat temu dostawaliśmy bardzo dużo zgłoszeń dotyczących troll parentingu – przyznaje Marta Wojtas, koordynatorka poradni Dziecko w Sieci przy Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. – Dziecko z papierosem, z powiązanymi między nóżkami śpiochami, z butelką alkoholu, nagrania, na których dzieci są specjalnie straszone lub robi się w ich towarzystwie coś, co wywołuje silne emocje... Każda taka sytuacja zaburza poczucie bezpieczeństwa dziecka. Ono może odczuwać lęk, dezorientację, zagrożenie. O ile nie zdarza się to notorycznie, to widzę ryzyko, że największe znaczenie taka sytuacja może mieć, gdy dziecko podrośnie i zobaczy, co rodzic robił. To może realnie szkodzić relacji, burzyć poczucie zaufania, ale też wpłynąć na poczucie wartości u dziecka – zauważa pedagożka.

> *W opracowaniu* Nastolatki 3.0 *z 2023 roku NASK wskazuje, że dzielenie się zdjęciami i nagraniami z udziałem dzieci wynika z naturalnej potrzeby rodziców – taką odpowiedź wskazała ponad połowa badanych.*

– Troll parenting to nic innego jak instrumentalne traktowanie dziecka. Ono nie jest od tego, żeby rozbawiać dorosłych – stwierdza kategorycznie Aleksandra Rodzewicz. – Wielu rodziców wciąż nie zdaje sobie sprawy, że wszystko, co wrzucamy do sieci, pozostawia ślad cyfrowy, którego nie da się usunąć. Za to łatwo można nad nim stracić kontrolę – podkreśla.

CZYM JEST ŚLAD CYFROWY? – Każde nasze polubienie, komentarz, wizyta w sklepie internetowym, zamówienie, każdy link, w który klikamy, każde dodane zdjęcie, wrzucone nagranie, udostępniony post, rozmowa z AI. Nic z tego nie znika w przestrzeni internetowej. Nie trzeba być specjalnie przygotowanym, aby zebrać te nasze „okruchy" i zdobyć mnóstwo informacji na nasz temat – tłumaczy Kinga Szostko, prezeska Fundacji Prospołeczna, twórczyni aplikacji alertowej dla rodziców KidsAlert i portalu Bezpiecznedziecko.org, edukatorka i ekspertka w zakresie bezpieczeństwa dzieci w internecie.

W 2010 roku temat śladów cyfrowych analizowała firma AVG Technologies w międzynarodowym badaniu *Digital Birth* (*Cyfrowe narodziny*). Wynikało z niego, że rodzice nawet 23 procent dzieci dzielą się w internecie zdjęciami USG z ciąży, a wizerunek jednej trzeciej maluchów jest dostępny online od pierwszych dni ich życia. Ślad cyfrowy miało również aż 81 procent dzieci poniżej drugiego roku życia. Sześć lat później swoje wyniki badań na ten temat opublikowała Anna Brosch – zgodnie z nimi około co dziewiąty polski rodzic decydował się na podzielenie fotografią z sonogramu. W badaniu opublikowanym w 2024 roku Gabriela Tofil i Dominika Jagielska wskazują, że aż 23 procent dzieci pozostawia swój pierwszy ślad cyfrowy jeszcze przed narodzinami.

W przestrzeni publicznej nadal można to obserwować – przykładem są Aleksandra i Sławosz Uznańscy-Wiśniewscy, którzy 2 stycznia 2026 roku ogłosili, że spodziewają się dziecka. Wpis opatrzyli zdjęciem USG.

DLACZEGO W OGÓLE rodzice decydują się udostępniać wizerunek dziecka w sieci? Motywacje – o ile nie mówimy o troll parentingu – są najczęściej niewinne.

– W rozmowach z rodzicami bardzo często pojawia się wątek zachowania wspomnień i robienia wirtualnego albumu. Za publikacją materiałów z dzieckiem stoi też rodzicielska duma. Chcemy się pochwalić pierwszym dniem szkoły naszej pociechy czy wygraną w konkursie recytatorskim. I w końcu może być to dla niektórych forma utrzymywania kontaktu z rodziną i znajomymi – tłumaczy doktor Kamil Janowicz, psycholog z Centrum Badań nad Rozwojem Osobowości Uniwersytetu SWPS w Poznaniu, twórca Ojcowskiej Szkoły Rodzenia.

Potwierdzają to badania. W raporcie Clue PR najpopularniejszą motywacją rodziców była chęć wyrażenia dumy ze swojego dziecka (65 procent). To również sposób na dzielenie się informacjami z najbliższymi (57 procent) i zachowanie wspomnień w wirtualnym pamiętniku (35 procent). W opracowaniu *Nastolatki 3.0* z 2023 roku NASK wskazuje, że dzielenie się zdjęciami i nagraniami z udziałem dzieci wynika z naturalnej potrzeby dumnych rodziców – taką odpowiedź wskazała ponad połowa badanych.

Ale to nie wszystko.

– Udostępnianie zdjęć, nagrań czy informacji na temat dziecka często wiąże się też

z potrzebą poszukiwania wsparcia w rodzicielskim trudzie. Na przykład kiedy piszemy, że maluch nie przesypia nocy albo że ma niepokojące objawy, i wrzucamy przy tym zdjęcie czasem nawet półnagiej pociechy, żeby pokazać wysypkę na brzuszku. Szukamy także w ten sposób akceptacji u innych rodziców. I kiedy odbieramy dużo pozytywnych reakcji, to nas w naszej roli wzmacnia, ale też zachęca do publikowania kolejnych materiałów – wyjaśnia doktor Janowicz. Na to wskazują również badania Anny Brosch z przełomu lat 2017/2018. Zgodnie z ich wynikami sharenting jest bardziej skorelowany z poziomem zaangażowania w wirtualną społeczność niż na przykład z wiekiem rodzica. Co ciekawe, to kobiety częściej dzielą się wizerunkiem dzieci i informacjami o nich w mediach społecznościowych.

Jednocześnie badania *Sharenting: Characteristics and Awareness of Parents Publishing Sensitive Content of Their Children on Online Platforms* (*Sharenting. Charakterystyka i świadomość rodziców publikujących wrażliwe treści na temat swoich dzieci na platformach internetowych*), opublikowane w 2024 roku w „Italian Journal of Pediatrics" wykazały, że rodzice decydujący się na sharenting częściej są bezrobotni lub zatrudnieni w niepełnym wymiarze czasu, legitymują się niższym poziomem wykształcenia, mają mniej niż 35 lat i ponad 500 osób obserwujących.

– Pokazując nasze dziecko, pokazujemy też siebie. Jest w tym więc element autokreacji. Prezentujemy się jako dobry, czuły rodzic, zainteresowany rozwojem dziecka, mówimy o swoim podejściu do wychowania, rozwiązywania problemów. Trochę szukamy dla tego potwierdzenia, trochę pragniemy się poczuć częścią grupy, bo nie chcemy być w rodzicielstwie samotni. Budujemy w ten sposób naszą tożsamość rodzicielską – dodaje doktor Janowicz i zaznacza, że jest jeszcze jeden ważny aspekt tego zjawiska. – Chodzi o sharenting komercyjny, czyli sytuację, kiedy rodzic zarabia na obecności dziecka w jego mediach społecznościowych. Tu pojawia się motywacja przede wszystkim finansowa.

—

WŚRÓD INFLUENCERÓW, których obserwuję w mediach społecznościowych, również wielu upublicznia wizerunek swojego dziecka. Jedni z dbałością o ochronę jego tożsamości – od tyłu lub z naklejką na twarz, inni – bez ogródek dzielą się szczegółami z życia swojej pociechy. Wysłałam wiadomości różnymi kanałami, prosząc kilka osób o rozmowę do tekstu – żadna nie zareagowała.

Przeprowadzam więc mały eksperyment. Przeglądam tablicę jednej z influencerek, której wpisy regularnie mi się wyświetlają. Już dawno zauważyłam, że w tworzenie treści chętnie angażuje swoje dzieci. Jedno z nich często bierze udział w reklamach, drugie pojawia się w materiałach



Zdjęcia i nagrania dzieci trafiają na serwisy pedofilskie, do grup zamkniętych, na przykład na Telegramie. Zgodnie z badaniami francuskiej Fondation de l'Enfance połowa zdjęć i nagrań dzieci na forach pedofilskich pochodzi z mediów społecznościowych rodziców.

lifestylowych. Odnoszę wrażenie, że to tylko kwestia czasu, aż zagra w swoim pierwszym spocie. Skupiam się na nim, bo jest młodsze. Cofam się o kilka miesięcy, analizuję wyłącznie posty (nie patrzę w relacje). Po około 20 minutach wiem już, jak dziecko ma na imię, znam dokładną datę urodzenia, wiem, w jakim mieście mieszka, czym się pasjonuje, jakiej słucha muzyki, co robi w wolnym czasie, gdzie było na wakacjach, z kim się przyjaźni i jakie są jego ulubione słodycze. W głowie rodzą mi się pytania. Ile warta jest tożsamość dziecka? I co z tymi informacjami mogłaby zrobić osoba o nieczystych intencjach?

O tym pierwszym wątku rozmawiam z Anitą Serafin z grupy mediowej WPP Media, która pracuje z influencerami na co dzień.

– Udział dziecka w jednej reklamie w mediach społecznościowych rodzica jest wart szacunkowo od kilku do kilkunastu tysięcy złotych. Wszystko zależy od tego, jak duże zasięgi ma influencer. To oczywiście on przygotowuje wycenę, bo to z nim podpisujemy umowę – tłumaczy.

Z jej obserwacji wynika, że coraz częściej influencerzy nie chcą angażować w materiały reklamowe dzieci albo robią to tak, żeby nie ujawniać ich twarzy. Są jednak i takie osoby, które nie widzą w tym większego problemu. Anita Serafin nie chce podawać przykładów, szukam ich więc na własną rękę. Angelika Trochonowicz, znana jako Andziaks, Izabela Janachowska, Klaudia Halejcio… Sylwia Bomba zdradziła w wywiadzie dla serwisu o2.pl, że jej ośmioletnia dziś córka między innymi dzięki swojej pracy przy reklamach w mediach społecznościowych ma już odłożone pieniądze na studia.

– Zaangażowanie dziecka do realizacji materiałów otwiera nowe możliwości współpracy. Co więcej, kampanie z udziałem dzieci zazwyczaj są pozytywnie odbierane, nawet jeśli nie dotyczą produktów dziecięcych. Taka reklama wydaje się lżejsza, bardziej przyjazna. A udział dziecka dodatkowo może dodawać influencerowi wiarygodności, bo odbiorcy myślą w ten sposób: „Jeśli daje coś/pozwala na coś swojemu dziecku, to przecież musi to być sprawdzone, bezpieczne, dobre" – wyjaśnia Serafin.

– Praca dziecka w internecie, podobnie jak praca influencera w ogóle, nie jest w żaden sposób uregulowana prawnie. To sprzyja patologiom, bo dom szybko może stać się planem filmowym, na którym nikt nie pilnuje, w jakich warunkach i w jakim zakresie dziecko pracuje ani co się dzieje z zarobionymi przez nie pieniędzmi – zwraca uwagę Aleksandra Rodzewicz. – Na ten moment, jeśli rodzic chce angażować dziecko w ten sposób, to po prostu ma do tego prawo, bez żadnych dodatkowych warunków czy obostrzeń. Warto jednak się zastanowić, czy to na pewno służy dobru dziecka, czy może jednak dobru rodzica – podkreśla.

O WĄTEK POTENCJALNYCH zagrożeń pytam Kingę Szostko. Regularnie zgłaszają się do niej rodzice, których dzieci doświadczyły cyberprzemocy. Razem z zespołem KidsAlert ekspertka monitoruje również polski internet pod kątem niebezpiecznych trendów i zachowań wśród dzieci. – To, co najczęściej obserwujemy, a co wiąże się bezpośrednio z sharentingiem, to wykorzystywanie materiałów z udziałem dzieci przez drapieżców seksualnych. Zdjęcia lub nagrania wideo są pobierane, czasem przerabiane za pomocą narzędzi AI, a czasem nie, i udostępniane w serwisach pedofilskich, na zamkniętych grupach, na przykład na Telegramie – mówi. I dodaje: – Zgodnie z badaniami francuskiej Fondation de l'Enfance połowa zdjęć i nagrań dzieci na forach pedofilskich pochodzi z mediów społecznościowych rodziców.

– Widzimy bardzo duży wzrost liczby treści pokazujących dzieci w kontekście seksualnym, tworzonych na podstawie zdjęć z użyciem algorytmów sztucznej inteligencji. Przy współczesnej technologii wrzucenie do generatora AI zdjęcia przypadkowego dziecka i przerobienie go jest bardzo proste – zaznacza Martyna Różycka, szefowa Dyżurnet.pl, zespołu działającego w ramach NASK, który reaguje na zgłoszenia dotyczące nielegalnych treści w internecie. Tylko w 2025 roku do Dyżurnetu zgłoszono 9298 materiałów przedstawiających seksualne wykorzystanie dziecka. Spośród nich 2866 zawierało treści typu CSAM [*child sexual abuse material* – przyp. red.], czyli prezentujące wykorzystywanie seksualne dziecka, z czego 250 z nich powstało z użyciem AI. To niemal trzy razy więcej niż rok wcześniej. – To są tylko zgłoszenia, które do nas dotarły. Przestępcy coraz lepiej się kryją, trudniej natrafić przypadkiem na takie treści. A ile z nich do nas nie dotarło? – zastanawia się Różycka.

Prawdopodobnie bardzo dużo, biorąc pod uwagę statystykę UNICEF-u i Interpolu, które przeanalizowały dane z 11 krajów i poinformowały, że tylko w 2025 roku co najmniej 1,2 miliona dzieci stało się ofiarami deepfake'ów o charakterze seksualnym.

– Oprócz deepfake'ów popularne, zarówno wśród sprawców, jak i młodzieży, są aplikacje typu nudify, które rozbierają osoby widoczne na zdjęciach – zwraca uwagę Dominika Bartoszak, seksuolożka, autorka książki *Sharenting a seksualizacja dzieci i młodzieży*. Jednocześnie zaznacza, że sharenting to woda na młyn dla groomerów, czyli dorosłych, którzy nawiązują kontakt z dzieckiem przez internet, zdobywają jego zaufanie, żeby ostatecznie wykorzystać je seksualnie lub zmusić do popełnienia innych przestępstw. – Wyobraźmy sobie, że ktoś wziął na celownik nasze dziecko. Jeśli publikujemy materiały z nim w internecie i udostępniamy informacje na jego temat, to wystarczy, że taka osoba przez jakiś czas będzie obserwować naszą aktywność w mediach społecznościowych. Zapamięta, czym interesuje się nasze dziecko, na jakie zajęcia chodzi, gdzie lubi spędzać czas. Kiedy już zbierze te informacje, zyska narzędzia, aby budować relację z naszym dzieckiem przez internet. Nagle się okaże, że ma z nim tyle punktów wspólnych, że ono dużo łatwiej mu zaufa, otworzy się przed nim. Będzie bardziej podatne na manipulację – opisuje schemat Bartoszak.

Już dane z Polski są alarmujące. Według raportu NASK-u z 2025 roku co dziewiąty nastolatek spotkał się z osobą dorosłą poznaną w internecie. Co czwarta osoba z tej grupy z nikim tą informacją się nie podzieliła. Jednocześnie 25 procent z 577 postępowań prowadzonych w 2025 roku przez Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości (CBZC) dotyczyło materiałów CSAM.

– Regularnie prowadzimy działania mające na celu walkę z wykorzystaniem seksualnym dzieci w sieci. Od 2022 roku, kiedy CBZC rozpoczęło działalność, przeprowadziliśmy osiem dużych realizacji, w tym jedną międzynarodową. I tylko podczas tych ośmiu skoordynowanych działań zabezpieczyliśmy już ponad 3 miliony takich plików i zatrzymaliśmy 624 osoby, a areszt tymczasowy zastosowano wobec 251 osób [to równoznaczne z postawieniem zarzutów – przyp. red.]. Coraz częściej mamy do czynienia z materiałami wygenerowanymi lub przerobionymi przez AI, ale znaczną część stanowią nagrania i zdjęcia pozyskane w wyniku groomingu lub ukradzione z sieci – relacjonuje rzeczniczka prasowa CBZC, starszy aspirant Monika Przestrzelska.

FESTIWAL ŁÓDŹ WIELU KULTUR

MUZYKA
TANIEC
PERFORMANCE
TEATR
SZTUKI WIZUALNE
SPOTKANIA

DŁUGI WEEKEND FESTIWALOWY
[17–20 WRZEŚNIA 2026]

DATY FESTIWALOWE:

WRZESIEŃ	22–27.09 tydzień z kulturą Głuchych
PAŹDZIERNIK	15–17.10
LISTOPAD	5–10.11, 14–15.11

- premierowy koncert Współgłosy (z gościnnym udziałem Tomasza Kota i Błażeja Króla)
- premiera spektaklu Agnieszki Przepiórskiej i Mai Kleczewskiej „Pola Nireńska. Próba otwarta"
- Tydzień z kulturą Głuchych (Daniel Kotowski, Dominika Kozłowska, Marek Lasecki i inni)

wejdź do świata festiwalu

@LODZWIELUKULTUR
LODZWIELUKULTUR.PL

– Zagrożenie dotyczy nie tylko świata online. W podobny sposób informacje, które można odczytać ze zdjęć, z nagrań i postów, którymi się dzielimy, przestępcy mogą wykorzystać w realu. Sprawca przestaje być obcą osobą, bo wie, gdzie mieszkam, kiedy mam urodziny i jakim samochodem jeżdżą moi rodzice. Wersja o tym, że jest kolegą z pracy taty albo znajomym mamy, zaczyna brzmieć wiarygodnie – zwraca uwagę Różycka.

—

PRZESTĘPSTWA SEKSUALNE to nie jedyne zagrożenia, które niesie za sobą sharenting. Równie realna jest kradzież tożsamości.

– Zdarza się, że zdjęcia dzieci pozyskane z kont rodziców służą do stworzenia całkiem nowych profili w serwisach społecznościowych, z nową tożsamością, najczęściej w celu przyciągnięcia osób o zaburzonych preferencjach seksualnych lub popełnienia oszustwa finansowego, na przykład fałszywej zbiórki. Zjawisko to nazywamy cyfrowym porwaniem [*digital kidnapping* – przyp. red.] – wyjaśnia Kinga Szostko. – Ale to nie wszystko. Obawiam się, że niewiele osób czyta regulamin Facebooka czy Instagrama, ale to, co tam wrzucamy, staje się własnością Mety. Nigdy nie mamy pewności, jak w przyszłości zostanie to wykorzystane – dodaje.

I przywołuje historię z Wielkiej Brytanii z 2025 roku, kiedy algorytmy AI Mety zaczęły promować aplikację Threads z użyciem zdjęć dziewczynek w mundurkach szkolnych, nawet 13-letnich, często z widoczną twarzą, a nawet imionami i nazwiskami. Posty z fotografiami zostały opublikowane na kontach ich rodziców. Reklama wyświetliła się między innymi 37-letniemu mężczyźnie, który zaalarmował o sprawie. Jak podaje „The Guardian", Meta stwierdziła, że zdjęcie nie narusza polityki platformy, a także że algorytm nie używa do promocji aplikacji postów dzieci, zaś zdjęcia, które zostały użyte, pochodziły z materiałów opublikowanych przez dorosłych.

– Musimy też pamiętać, że konsekwencje sharentingu mogą być odroczone w czasie i ujawnić się dopiero po latach. Kiedy nastolatka lub nastolatek zaczną tworzyć własny profil w mediach społecznościowych, to wcześniejsze publikacje rodziców staną się dostępne nie tylko dla niej czy dla niego, ale również dla ich rówieśników. Ile z tych chwil, którymi dzielą się rodzice, dziecko chciałoby zachować dla siebie? Ale to nie tylko zawstydzające treści mogą stać się przyczynkiem do wyśmiewania i cyberbullyingu [dręczenia z użyciem internetu lub telefonu – przyp. red.]. W dobie sztucznej inteligencji nawet niewinne, neutralne zdjęcie może zostać wykorzystane przeciwko drugiej osobie – przestrzega Dominika Bartoszak.

Skala problemu jest ogromna. Z najnowszego raportu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę *Rówieśnicy 2026* wynika, że 75 procent dzieci w wieku od 10 do 17 lat doznaje cyberprzemocy rówieśniczej. Co piąty badany doświadczył cyberbullyingu. Najczęściej wskazywane formy cyberprzemocy to otrzymywanie nieprzyjemnych wiadomości w internecie (56 procent) oraz wykluczenie z grupy lub aktywności w sieci (53 procent). Wskazywano również na zmuszenie do zrobienia czegoś niechcianego (34 procent) oraz groźby i rozsyłanie złośliwych treści (po 27 procent).

Jak będzie za kilka, kilkanaście lat?

—

JUSTYNA od kilku lat mieszka za granicą. Przeprowadziła się tam tuż przed pandemią, a niedługo potem zaszła w ciążę – nie mając w pobliżu rodziców, rodzeństwa i przyjaciół, nie mogąc podjąć pracy i nie znając języka.

– Kiedy pojawiły się dzieci i stały się najważniejszą częścią mojego życia, chciałam się dzielić tą radością z bliskimi, którzy przecież byli daleko. Traktowałam Instagram jak swego rodzaju rodzinny album. Od początku było dla mnie jasne, że nie będę pokazywać twarzy maluchów, ale publikowałam tych materiałów dużo, sporo pisałam o naszej codzienności. Mam kilkaset obserwujących, więc niedużo, ale konto ma ustawienia publiczne – opisuje swoje pobudki.

Przyznaje, że refleksja na temat tego, kto widzi i czyta jej posty, pojawiła się po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie. – Komentowałam tę sytuację od czasu do czasu, a to przyciągnęło do mojego profilu zupełnie obce mi osoby z tamtych stron. Wiele z nich do mnie pisało i prosiło o pomoc finansową, wpłaty na różne zbiórki. Z jednej strony zrodziła się myśl, że to nie jest fair, że dzielę się swoimi radościami, kiedy tak wiele osób cierpi. Z drugiej – obawa, kto tak naprawdę ogląda zdjęcia moich dzieci.

Justyna zaczęła powoli ograniczać ich obecność w sieci. Większą uwagę zwracała na kadry, które wrzuca, publikowała rzadziej, a jeśli już – to tylko w relacji, która



rysunek GABA PALICKA

Żarty w tym numerze powstały w ramach współpracy promocyjnej z **Braćmi Sadownikami**.

znikała po 24 godzinach. – Z perspektywy czasu myślę jednak, że dużo informacji dało się z tych fotografii wywnioskować. A na pewno sporo dało się wyczytać z moich postów – przyznaje.

—

WŚRÓD RODZICÓW rośnie świadomość potencjalnych zagrożeń sharentingu (choć wciąż za wolno – alarmują eksperci). Część z nich przekonują akcje profilaktyczne – a tych nie brakuje, wystarczy wpisać hasło w wyszukiwarkę, żeby o takich przeczytać. Część trafia na poruszające spoty w ramach kampanii społecznych, takie jak *Pause Before You Post* (*Zatrzymaj się, zanim opublikujesz*) irlandzkiej Komisji Ochrony Danych (Data Protection Commission, DPC). W nim mała dziewczynka, ku przerażeniu rodziców, co chwilę jest zaczepiana przez obcych, którzy zaskakująco dużo na jej temat wiedzą.

Niektórzy rodzice musieli przekonać się o zagrożeniach na własnej skórze.

– Znam wiele przykładów rodziców, którzy uprawiali sharenting i w pewnym momencie coś ich przestraszyło na tyle, że zaprzestawali tak otwartego publikowania materiałów z dziećmi. Jedna z mam opowiadała, że pod zdjęciem jej córki obcy mężczyzna napisał: „Jaka piękna córeczka!". Zmroziło ją, bo przecież nie miała takiego celu, a jednak nieznany facet patrzył na jej dziecko i oceniał je w niepokojący według niej sposób. Od razu usunęła fotografię – mówi Aleksandra Rodzewicz.

Są i tacy, którzy próbują upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i dzieci pokazywać, ale tak, żeby zapobiec ewentualnej krzywdzie. Zasłaniają im więc twarze naklejkami, robią zdjęcia od tyłu albo symbolicznie – jakiejś części ciała w konkretnych okolicznościach.

Czy to wystarczy, aby ochronić dziecko?

– Częściowo – odpowiada Kinga Szostko. – Na ten moment narzędzia AI nie są w stanie odanonimizować dziecka, po zdjęciu naklejki model generuje losową twarz. Ale po pierwsze wydaje się dość prawdopodobne, że za jakiś czas możliwe będzie odkrycie realnego wizerunku. Po drugie ważne jest też to, co znajduje się w tle na fotografii oraz jakie inne informacje na temat pociechy i rodziny publikuje rodzic – tłumaczy.

– Na co może patrzeć potencjalny przestępca? Szuka informacji o miejscu i czasie. Wcale nie trzeba oznaczać lokalizacji, żeby ją zdradzić. Wystarczy udostępnić zdjęcie na tle znanego budynku, przy konkretnej restauracji. Złoczyńca wychwytuje tropy, które pozwalają ustalić szczegóły dotyczące na przykład wieku obserwowanego – klasę, świeczki na torcie, liczby na balonach.

> *Na brak zgody rodziców na wykorzystanie wizerunku dziecka w sieci niektóre przedszkola i szkoły reagują, wykluczając dziecko z aktywności, udostępniając wizerunek mimo sprzeciwu lub przymuszając do podpisania zgody na upublicznienie.*

Interesować go będą również wszystkie informacje o zainteresowaniach dziecka, trybie życia rodziny – wyjaśnia starsza aspirantka Monika Przestrzelska. – Jeśli takie dane obca osoba jest w stanie wyczytać z materiałów na naszych mediach społecznościowych, zasłonięcie twarzy małoletniego naklejką lub zrobienie zdjęcia od tyłu czy z boku nie ochroni go przed wszystkimi możliwymi zagrożeniami – zaznacza funkcjonariuszka.

—

SHARENTING to tylko jedna strona medalu. Po drugiej są żłobki, przedszkola, szkoły, kluby sportowe, poradnie psychologiczno-pedagogiczne, które również w niefrasobliwy sposób udostępniają wizerunki dzieci i często wręcz nadmiarowo publikują treści z ich udziałem.

– Zaproponowałam używanie terminu „eduoversharing" – komentuje Aleksandra Rodzewicz, która w czerwcu złożyła podpisaną przez setki rodziców petycję do Ministerstwa Edukacji Narodowej (MEN) o ustawowy zakaz promocyjnego wykorzystywania wizerunku dzieci przez szkoły i przedszkola. Poparł ją również prezes Urzędu Ochrony Danych Osobowych (UODO) Mirosław Wróblewski. – To są często setki zdjęć i nagrań z widocznymi twarzami dzieci, niejednokrotnie przy czynnościach pielęgnacyjnych, na basenie, w sytuacjach, które godzą w godność dzieci, a mogą też zainteresować pedofilów – wskazuje.

Jeden z najbardziej jaskrawych przykładów z ostatnich miesięcy to sprawa z placówki integracyjnej w Łomży.

– Przedszkole opublikowało nagranie z okazji Dnia Kobiet, na którym chłopcy z niepełnosprawnościami, przebrani za dziewczynki, tańczą do motywu z *Jeziora łabędziego*. Ich twarze były w pełni widoczne – opowiada Kinga Szostko, której fundacja interweniowała w tej sprawie między innymi u Rzecznika Praw Dziecka. – Filmik został zdjęty, ale zanim to nastąpiło, stał się wiralem. A ta sytuacja to tylko wierzchołek góry lodowej – dodaje z ubolewaniem.

Z podejściem placówek edukacyjnych borykają się też ci bardziej świadomi rodzice, którzy nie chcą upubliczniać wizerunku swoich pociech.

– Na początku roku podczas zebrania w szkole nie wyraziliśmy zgody na wykorzystanie wizerunku naszej córki – opowiada Alicja (40 lat, imię zmienione na prośbę bohaterki). – Niedługo potem zaczęły być organizowane różne zabawy i konkursy między klasami. Nie padła informacja, że jeśli rodzice nie podpisali tej zgody, to dziecko nie może wziąć udziału w zabawie. Ale ostatecznie tak wyszło – wspomina. – Spędziłam z córką cały wieczór na szykowaniu stroju na Dzień Jesieni, była bardzo podekscytowana. Ale ze szkoły wróciła zapłakana, spytała: „Mamo, po co mnie przebierałaś, skoro nie zgodziłaś się na zdjęcia?". Okazało się, że panie po prostu odsuwały ją od każdego zdjęcia i mówiły, że mama się nie zgodziła. Jakby nie mogły po prostu zamazać jej twarzy albo wykadrować fotografii – dodaje.

Alicja z mężem wytłumaczyli córce, że zgodzili się na zdjęcia, ale nie na ich publikowanie w mediach społecznościowych, gdzie każdy może je zobaczyć. – Ostatecznie decyzję zmieniliśmy i zgodę podpisaliśmy. Czuliśmy się trochę przymuszeni przez sytuację, ale nie chcieliśmy fundować córce powtórki – podsumowuje.

Od rodziców przedszkolaków i uczniów słyszę kilka podobnych historii. W większości przewijają się te same wątki: wykluczanie

dziecka z aktywności, udostępnianie wizerunku mimo sprzeciwu rodzica tłumaczone na przykład nieuwagą i poczucie bycia przymuszonym do podpisania zgody na upublicznienie.

Ministerstwo Edukacji Narodowej dostrzega problem. „W naszej ocenie nie każda aktywność szkoły wymaga publikacji zdjęć dzieci w otwartych mediach społecznościowych. W wielu sytuacjach lepszym rozwiązaniem jest korzystanie z zamkniętych kanałów komunikacji z rodzicami lub rezygnacja z publikowania wizerunku uczniów. W przypadku dzieci ostrożność powinna być zawsze ważniejsza niż zasięgi" – przekazała mi Ewelina Gorczyca, rzeczniczka prasowa MEN-u. Jednocześnie zaznaczyła, że aktualne przepisy zapewniają ochronę wizerunku i godności dziecka, a placówki edukacyjne są zobowiązane do ich przestrzegania. „Warto pamiętać, że nawet najlepsze przepisy nie zastąpią odpowiedzialności dorosłych" – dodała.

– Walka o klienta nie może się odbywać kosztem dziecka – zaznacza Rodzewicz. – W placówkach edukacyjnych obowiązują dzisiaj Standardy Ochrony Małoletnich i tam powinny znaleźć się zapisy chroniące prawo dzieci do prywatności. Rozporządzenie o ochronie danych osobowych (RODO) nakłada na nas obowiązek uzyskania zgody rodzica przed publikacją, dbałość o godność dziecka na zdjęciach, nieujawnianie danych wrażliwych. Praktyka pokazuje, że z respektowaniem tego prawa bywa bardzo różnie. Moja rada dla placówek na dziś: zawsze, zanim cokolwiek opublikujemy, zapytajmy sami siebie jako pedagodzy, jaki jest tego cel, czy to jest zgodne z zasadą minimalizowania zbierania danych osobowych i czy publikując daną treść, podchodzimy do dzieci z szacunkiem. A jeśli nie jest to konieczne, to po prostu zrezygnujmy z publikacji. Świat naprawdę będzie istniał dalej bez zdjęć ze Święta Pieczonego Ziemniaka – dodaje.

—

W JAKI SPOSÓB prawo odpowiada na zjawisko sharentingu? Jak zaznacza mecenas Agata Dawidowska, radczyni prawna, rzeczniczka praw uczniowskich w Poznaniu, która przygotowywała ekspertyzy prawne dotyczące ochrony wizerunku dziecka w sieci dla sejmowej Komisji do spraw Dzieci i Młodzieży, istnieją już zapisy, na które można się powoływać w tej kwestii.

– Konstytucja RP, Ustawa o ochronie danych osobowych, Prawo autorskie, Kodeks karny, w którym są zapisy dotyczące utrwalania wizerunku nagiej osoby i osoby w trakcie czynności seksualnych, czy Kodeks cywilny traktujący wizerunek jako dobro osobiste, któremu należy się ochrona. Mamy też zagwarantowane przez unijne RODO prawo do bycia zapomnianym – wymienia ekspertka. – Ale na drugiej szali jest Kodeks rodzinny i opiekuńczy, w którym znajdziemy zapisy o władzy rodzicielskiej. Wynika z niego obowiązek i prawo rodziców do sprawowania pieczy nad osobą małoletnią, jej majątkiem, również wizerunkiem, oraz obowiązek wychowywania dziecka z poszanowaniem jego godności i praw. Rodzice muszą się kierować dobrem dziecka. I tu zaczynają się schody – twierdzi Dawidowska.



Media społecznościowe pełnią dziś, zarówno dla nastolatków, jak i dorosłych, ważną funkcję tożsamościową. A my, rodzice, zaczynamy budować tożsamość dziecka w internecie bez jego zgody, zanim samo zdecyduje, jak chce tę narrację poprowadzić.

Dlaczego?

– To „dobro dziecka" jest bytem prawnie niezdefiniowanym. Należy je interpretować indywidualnie w każdej sytuacji, ale w praktyce można je różnie rozumieć. Niejednokrotnie zdarzały się sytuacje, że rodzice i sąd inaczej oceniali to, co jest dla dziecka dobre – tłumaczy moja rozmówczyni i jako przykład podaje pracę dzieci w materiałach rodziców influencerów, która – jak już wiemy – inaczej niż praca artystyczna dzieci (na przykład na planach filmowych) w żaden sposób nie jest uregulowana. – Rodzic może uważać, że umożliwiając dziecku takie działania, dba o jego dobro, bo ono może już w młodym wieku zarobić duże pieniądze, budować kapitał, również wizerunkowy, na przyszłość. Ale czy te korzyści na pewno przeważają nad zagrożeniami? – zastanawia się prawniczka.

Zwraca uwagę, że w kwestii sharentingu pojawia się więcej nieoczywistych sytuacji. – Bardzo trudnym zagadnieniem jest upublicznianie wizerunku chorych dzieci przy okazji zbiórek na ich leczenie [ten temat poruszał Mirosław Wlekły, „Pismo" nr 4/2021 – przyp. red.]. Zdjęcie nie powinno naruszać ich godności, epatować cierpieniem, ale rodzice często czują, a czasem dostają takie instrukcje, że powinno być ono jak najbardziej dramatyczne, bo takie będzie skuteczniejsze. Stawką jest zdrowie, a bywa, że i życie dziecka, więc czy to naprawdę ma znaczenie, jakie zdjęcie wybierzemy? Liczy się cel. Ale z drugiej strony, co jeśli dziecko wyzdrowieje, a materiały upublicznione w zbiórkach staną się przyczynkiem do cyberbullyingu ze strony rówieśników? To dylematy, na które nie ma prostych odpowiedzi. I obawiam się, że prawo nam ich nie zapewni.

Dawidowska podkreśla jednak, że należy wprowadzić rozwiązania, które pomogą skuteczniej chronić nasze pociechy w internecie, i takie, które ułatwią egzekwowanie prawa w tym zakresie. Problem dostrzegają również UODO, Rzecznik Praw Dziecka, poszczególne resorty, Państwowa Komisja do spraw przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich poniżej lat 15 i Komisja do spraw Dzieci i Młodzieży, która w grudniu 2025 roku przyjęła dezyderat dotyczący zwiększenia ochrony wizerunku małoletnich w przestrzeni cyfrowej i uregulowania zjawiska sharentingu. Jedną ze zmian, nad którymi toczą się prace, jest nowelizacja Ustawy o przeciwdziałaniu zagrożeniom przestępczością na tle seksualnym i ochronie małoletnich, w której mają znaleźć się zapisy doprecyzowujące obowiązek uzyskania zgody przedstawiciela ustawowego lub małoletniego powyżej 16. roku życia na upublicznianie

wizerunku. „Prace prowadzone w Ministerstwie Sprawiedliwości (MS) nad wskazaną ustawą znajdują się na etapie końcowym uzgodnień wewnątrzresortowych" – poinformowało mnie biuro rzecznika MS.

Trwają również prace nad projektem zmieniającym Ustawę o opiece nad dziećmi w wieku do lat 3. Zawiera on zapis: „podmiot prowadzący żłobek lub klub dziecięcy, podmiot zatrudniający dziennego opiekuna oraz dzienny opiekun prowadzący działalność na własny rachunek nie mogą, nawet w przypadku wyrażenia zgody przez rodzica, udostępniać publicznie wizerunku dziecka objętego opieką w prowadzonym przez ten podmiot żłobku lub klubie dziecięcym albo objętego opieką sprawowaną przez dziennego opiekuna". W drugiej połowie lipca rządowa nowelizacja trafiła do Senatu, który wprowadził swoje poprawki i ponownie skierował projekt do odpowiednich komisji. W momencie finalizowania tekstu oczekiwała ona na podpis prezydenta.

Co jeszcze powinno zostać zrobione?

– Kluczowe w tym kontekście jest nałożenie i egzekwowanie odpowiedzialności platform cyfrowych za brak środków ochrony dzieci oraz uregulowanie prawa pracy dzieci, tak aby zapobiegać wyzyskowi komercyjnemu. Konieczna jest nowelizacja Kodeksu karnego, tak aby odpowiadał na wyzwania cyfrowe, takie jak grooming czy CSAM, ale też surowo penalizował wykorzystanie wizerunku małoletnich bez ich zgody lub z naruszeniem ich dobra. Potrzebne są zmiany w Kodeksie rodzinnym i opiekuńczym, które zaakcentują prawo dziecka do prywatności i wizerunku. I w końcu to, co może zrobić Urząd Ochrony Danych Osobowych, to opracowanie precyzyjnych wytycznych, które określałyby, kiedy publikacja rodzica narusza dobro dziecka – twierdzi prawniczka. – A poza tym potrzebna jest edukacja zarówno rodziców, jak i dzieci, że wizerunek i dane osobowe to są w dzisiejszym świecie największe zasoby młodych ludzi. Bo odpowiedzialność dorosłych jest równie ważna co dobre prawo.

—

AGATA DAWIDOWSKA około dziesięć lat temu w pewnym sensie sama stała się ofiarą sharentingu. – Moja mama zaczęła pisać blog. Jeden z wpisów dotyczył naszego starego mieszkania, mama opatrzyła go zdjęciem moim i brata w kąpieli. Niewiele było widać, bo w wannie było dużo piany, ale zdjęcie było dość intymne, zresztą przez nas wszystkich bardzo lubiane. Ku mojemu zaskoczeniu, jakiś czas później natrafiłam na nie na bardzo podejrzanej stronie, na której zebrane były setki zdjęć dzieci w kąpieli. Poczułam się brudna. Miałam ponad 30 lat, więc byłam w stanie sobie z tym poradzić, jednak to nieprzyjemne uczucie ze mną zostało. Jak poradziłby sobie z tym nastolatek? Lub młody dorosły, którego rodzice takich zdjęć wrzucili do sieci dziesiątki?

– Świadomość, że w przestrzeni cyfrowej rodzice udostępniali materiały z nami w roli głównej, nad którymi nie mamy żadnej kontroli, a nawet nie wiemy, co faktycznie do internetu trafiło, wiąże się z dużą niepewnością, a co za tym idzie niepokojem – tłumaczy doktor Kamil Janowicz. – To naturalne, że każdy z nas pewne kwestie chce zachować dla siebie. Sharenting sprawia, że młodzi ludzie mogą być tego pozbawieni. Widzę ryzyko, że może się to kłaść cieniem na relacjach rodzic–dziecko.

Zgadza się z nim Dominika Bartoszak. – Sharenting często narusza podstawowe wartości w relacji dziecko–rodzic: poczucie zaufania i bezpieczeństwa. Co więcej, media społecznościowe pełnią obecnie, zarówno dla nastolatków, jak i dorosłych, ważną funkcję tożsamościową. Tymczasem to my, rodzice, zaczynamy budować tożsamość dziecka w internecie bez jego zgody, zanim ono samo zdecyduje, jak chce tę narrację poprowadzić. Tak, to może nadszarpnąć relację. Warto więc zadać sobie pytanie, czy na pewno chcemy ją ryzykować dla realizacji własnej potrzeby – radzi seksuolożka.

Bartoszak zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt. – Dziecko w internecie łatwo zacząć seksualizować, bo takie treści wspierają algorytmy. Rodzice robią to nieświadomie, bo nie chodzi tu o pokazywanie dziecka w seksualnym kontekście, ale na przykład o przesadne zwracanie uwagi na wygląd, pozę czy ubiór. To z czasem rodzi przekonanie, że odpowiedni sposób autoprezentacji jest niezmiernie ważny, a nasz wygląd jest naszą największą wartością. Stąd już niedaleko do samoseksualizacji, czyli przekonania,

AUTOPORTRET
Pismo o dobrej przestrzeni



Piszemy o architekturze w kontekstach: politycznym, ekonomicznym i społecznym.

Dajemy przestrzeń do myślenia.

www.autoportret.pl

że moja powierzchowność to najlepsze, co mam do zaproponowania światu – tłumaczy [o seksualizacji nastolatek pisała Karolina Lewestam, „Pismo" nr 9/2024 – przyp. red.].

Eksperci są zgodni co do jeszcze jednej kwestii – dzieci, których prawo do prywatności było wielokrotnie naruszane, w których życiu aparat czy kamera były bardzo często naturalnym elementem rzeczywistości, same nie potrafią rozgraniczyć, co w życiu warto zachować dla siebie, a co może stać się publiczne. – Zabieramy dzieciom prawo do prywatności i życia poza mediami społecznościowymi – podsumowuje Kinga Szostko.

—

KIEDY Z JEDNEJ STRONY edukatorzy i prawodawcy działają, aby ochronić wizerunek dziecka w sieci, z drugiej powstają inicjatywy, które sharenting promują. Należy do nich Fundacja Dzieci Są z Nami założona w lipcu 2025 roku przez Anielę i Tomasza Woźniakowskich. Aniela, znana jako Lil Masti, to influencerka, była zawodniczka freak fightów [w których mierzą się celebryci i influencerzy, niekoniecznie związani na co dzień ze sportami walki – przyp. red.]. Swoją działalność w internecie zaczęła od prowadzenia youtube'owego konta SexMasterka, na którym poruszała temat seksu i szeroko pojętej edukacji seksualnej. Dziś skupia się na treściach dotyczących macierzyństwa. Jej mąż Tomasz to przedsiębiorca, prezes firmy Packfully. Moje próby kontaktu z nimi pozostały bez odpowiedzi, dlatego sięgam do tego, co sami napisali na stronie organizacji.

W pierwszym wpisie zwracają uwagę, że dzieci zaczynają znikać z przestrzeni publicznej i coraz częściej są postrzegane jako przeszkoda. „Naszą misją jest przypominać, że obecność dzieci nie jest luksusem – jest prawem. Dzieci nie przeszkadzają – dzieci żyją. (...) Chcemy, by przestrzeń publiczna była bezpieczna i otwarta również dla najmłodszych, bez próby ich uciszania, ukrywania czy eliminowania. Nie zgadzamy się też na narrację, w której każda obecność dziecka w mediach społecznościowych zostaje od razu potępiona jako «sharenting». Bo nie każda fotografia dziecka to nadużycie. Nie każde opowiedziane wspomnienie to przekroczenie granicy. Można pokazywać dzieci z uważnością, empatią i szacunkiem – i właśnie tego chcemy uczyć".

Jakie więc są obszary działania fundacji? Po pierwsze normalizacja wizerunku dzieci w przestrzeni publicznej. Po drugie edukacja i stworzenie karty dobrych praktyk prezentacji wizerunku dzieci w sieci. Po trzecie wsparcie rodziców decydujących się na sharenting.

Założenie fundacji wywołało sprzeciw ekspertów i edukatorów, a także reakcję instytucji, które podejrzewały, że cele ujęte w statucie mogą naruszać prawa i wolności dzieci, w tym prawo do ochrony wizerunku i prywatności. W sprawie interweniowały UODO i Rzecznik Praw Dziecka, a Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej pod koniec września 2025 roku skierowało wniosek do sądu o ocenę zgodności statutu z obowiązującymi przepisami prawa.

Sprawa jest w toku.

Z sondażu zleconego przez Rzecznika Praw Dziecka w 2024 roku wynika, że 29 procent nastolatków poczuło się gorzej z powodu zdjęć opublikowanych bez ich zgody.

—

KILKA DNI po naszej rozmowie Justyna, mama mieszkająca za granicą, zmieniła ustawienia profilu na Instagramie na prywatny. Zanim to się wydarzyło, opowiedziała mi o jeszcze jednej sytuacji.

– Jakiś czas temu moja kilkuletnia córka, kiedy zrobiłam jej zdjęcie telefonem, poprosiła: „Mamo, ale nie udostępniaj tego nigdzie, okej?". Byłam bardzo zaskoczona tą prośbą, nie sądziłam, że ona w ogóle zaprząta sobie tym głowę. Wytłumaczyłam jej, że nigdy nie publikuję zdjęć, na których jest jej twarz, zaproponowałam, że możemy wspólnie obejrzeć te, które już wrzuciłam. A potem zaczęłam rozmowę, skąd w niej taka obawa. Okazało się, że zauważyła kiedyś, jak jedna z babć bez jej zgody udostępniała gdzieś jej zdjęcie, i poczuła się z tym bardzo niekomfortowo – wspomina.

Badania nie analizują, jak czują się dzieci, gdy ich zdjęcia lub nagrania z nimi publikują dalsi członkowie rodziny, ale w raporcie NASK-u z 2023 roku znajdziemy odpowiedź na pytanie, jaki mają stosunek do takich materiałów na kontach rodziców. Znacznej części jest to obojętne (35,5 procent), ale jedna czwarta nastolatków czuje się tym zawstydzona, a niemal jedna piąta jest z tego powodu niezadowolona. Z sondażu zleconego przez Rzecznika Praw Dziecka w 2024 roku wynika, że 29 procent nastolatków poczuło się gorzej z powodu zdjęć opublikowanych bez ich zgody. Aż 74 procent uważa, że udostępnianie bez zgody zdjęć bądź filmów to jedno ze szczególnie szkodliwych zjawisk w internecie.

– Podobne wnioski wyłaniają się z badań przeprowadzonych w innych krajach, między innymi przez zespół doktor Karen Verswijvel z belgijskiego Uniwersytetu Antwerpskiego, a także przez profesor Annę Sarkadi ze szwedzkiego Uniwersytetu w Uppsali – stosunek dzieci i nastolatków do sharentingu ich własnych rodziców jest przede wszystkim negatywny – podkreśla doktor Kamil Janowicz.

– Dlatego dzieci trzeba pytać o zgodę, nawet te małe. Oczywiście należy im tłumaczyć kontekst w sposób odpowiedni do wieku i nadal to dorosły ponosi odpowiedzialność, bo trudno, żeby kilkuletnie dziecko rozumiało zagrożenia, z jakimi może się wiązać upublicznienie wizerunku. Ale to pytanie jest ważne. Podobnie jak uszanowanie tego, że dziecko może nie chcieć być fotografowane. W ten sposób uczymy je, że jego zdanie ma znaczenie i że „nie" znaczy „nie" – tłumaczy doktor Janowicz.

– Kiedy wrzucamy cokolwiek do internetu, tracimy nad tym kontrolę. To, co pojawia się w relacji na Instagramie, może zostać zachowane w formie screenshota. Ustawienie konta jako prywatnego też niekoniecznie nas zabezpieczy, jeśli w znajomych mamy 500 osób, w tym połowę, których nie widzieliśmy od dziesięciu lat. Udostępnienie fotografii czy nagrania w zamkniętej grupie również niesie za sobą jakieś ryzyko, bo nie mamy pewności, czy czasem ono gdzieś nie wypłynie – zwraca uwagę Monika Przestrzelska. Czy istnieje zatem bezpieczny sharenting?

– Jeśli przestrzegamy podstawowych zasad, czyli nie pokazujemy twarzy, dbamy o to, co jest widoczne w tle, tak aby nie zdradzało zbyt wiele, nie zamieszczamy wrażliwych informacji w postach, udostępniamy zdjęcia i nagrania wąskiemu, zaufanemu gronu osób, a materiały w żaden sposób nie uwłaczają dziecku, to na ten moment jest to w miarę bezpieczne – mówi Kinga Szostko. – Nikt jednak nie zagwarantuje nam, co samo dziecko będzie o tym sądziło za kilka lub kilkanaście lat lub w jaki sposób i do jakich celów zdjęcie czy nagranie zostaną w przyszłości wykorzystane przez portal, na którym je opublikowaliśmy.

—

KOŃCZĘ PISAĆ ten tekst kilka dni po tym, jak Bad Bunny wystąpił na Stadionie Narodowym w Warszawie. Po obejrzeniu przeze mnie jednej rolki z fragmentem koncertu algorytmy Instagrama od razu zaczynają podsuwać mi kolejne materiały dotyczące artysty. Moją uwagę zwraca rolka z 25 czerwca. Wrzuciła ją kobieta, która – jak wynika z opisu na profilu – jest związana z Polską, ze Stanami Zjednoczonymi i z Holandią. Nie znam jej, nie obserwuję, nigdy wcześniej nie trafiłam na jej konto.

Na zmontowanym filmiku widać, w jaki sposób jej 10-miesięczne dziecko reaguje na muzykę Bad Bunny'ego – oczywiście pozytywnie. Nawet gdy płacze, wystarczy puścić mu jedną z piosenek artysty, by się uspokoiło. Chłopiec wyciąga rączkę do góry i zaczyna się zabawnie poruszać do rytmu. Widzimy dziecko w codziennych sytuacjach – na macie podczas zabawy, na łóżku rodziców, na podłodze. W jednym z ujęć jest w samej pieluszce.

Chłopiec jest uroczy, wywołuje uśmiech. I reakcje milionów osób. Dosłownie – do momentu, gdy finalizowałam tekst, rolka została obejrzana przez 21 milionów osób, 2,1 miliona ją polubiło. Konto mamy, która dodała nagranie, obserwuje 7,8 tysiąca osób.

Więcej na ten temat posłuchasz w audycji *Plac na Rozdrożu* w aplikacji **Radia 357**.

Pismo. MAGAZYN OPINII

Zapisz się na nasze newslettery.



Aktualności Pisma

W każdy piątek redaktorka naczelna **URSZULA KIFER** poleci Ci jeden tekst, który warto przeczytać w weekend.

Powody do radości

MAGDALENA KICIŃSKA z bieżących wydarzeń wybiera te, które przywracają wiarę w lepsze jutro.





Wybór zagraniczny

Co w prasie zagranicznej zaciekawiło **MARCINA CZAJKOWSKIEGO**, redaktora i *fact-checkera* „Pisma"?

Zeskanuj QR kod lub wejdź na magazynpismo.pl/newslettery i zapisz się.

Forrest Gump naszych czasów

SYLWIA CZUBKOWSKA *rozmawia z* BENEM TARNOFFEM

ŚWIAT KAŻDEGO DNIA staje się bardziej „muskistowski” – przekonuje Ben Tarnoff, współautor książki *Muskizm. Świat według Elona Muska*.

Dlaczego „muskizm” i czy naprawdę potrzebujemy nowego terminu? Mamy już przecież pojęcia takie jak anarcholiberalizm, kapitalizm nadzoru, kapitalizm platformowy, akceleracjonizm czy wreszcie ciemne oświecenie – wszystkie opisują kierunek, w jakim zmierza świat wielkiego kapitału i wspierającej go władzy. Brakuje nam określeń na to, co się teraz dzieje?

Wraz z Quinnem Slobodianem, współautorem *Muskizmu*, zdajemy sobie sprawę, że w ostatnich latach ukuto wiele terminów, które mają pomóc zrozumieć zarówno siłę sektora technologicznego, jak i sposób, w jaki wydaje się on przebudowywać nasze społeczeństwo, politykę i gospodarkę. Wiele zjawisk typowych dla ery neoliberalnej sprawia wrażenie ustępujących. Wchodzimy teraz w jakąś nową, dość dziwną konfigurację, w której państwa coraz częściej starają się ograniczać swoją zależność od globalnych rynków. Widać to bardzo wyraźnie w kontekście wojny amerykańsko-izraelskiej z Iranem, ale ten trend, znany jako deglobalizacja, trwa już od dekady.

Jednolinijkowa definicja muskizmu, którą podajemy w książce, brzmi: to obietnica suwerenności poprzez technologię. Musk nie zajmuje się przecież samym sprzedawaniem samochodów, rakiet czy satelitów. On sprzedaje raczej ideę, zgodnie z którą w coraz bardziej niestabilnym świecie zarówno jednostki, jak i całe państwa mogą wzmocnić swoją samowystarczalność, podłączając się do jego – Muska – infrastruktury.

W kolejnych krajach obserwujemy ten nowy typ relacji między sektorem publicznym a prywatnym, powrót polityki przemysłowej, a nawet – za czasów administracji Trumpa – eksperymenty z kapitalizmem państwowym. Bo tak przecież można nazwać działania rządu, który zaczął nabywać udziały kapitałowe w prywatnych firmach. Te nowe realia wymagają teoretycznego ujęcia i wielu badaczy już się tym zajmuje. Nasza propozycja to nie tylko dorzucenie kolejnego terminu do i tak już przeładowanego rynku pojęć. „Muskizm” nie ma zastąpić innych użytecznych koncepcji, takich jak choćby „kapitalizm nadzoru”. Chcemy pokazać, że postać Elona Muska daje nam unikatową perspektywę, dzięki której można zrozumieć, jak doszliśmy do obecnego momentu. Wiele dotychczasowych koncepcji nie ma solidnej genealogii, jest w nich pewna nieciągłość.

Czemu punktem odniesienia jest dla was akurat Musk? Mamy przecież Jeffa Bezosa, również ojca wielkiego biznesu, który ze sklepu internetowego wyewoluował w gigantyczne konsorcjum chmurowo-kosmiczno-filmowo-AI-owe. Albo Petera Thiela, który do działań biznesowych dokłada ogromne ambicje polityczno-ideologiczne, budując na nich międzynarodową potęgę Palantira i osobiste wpływy.

Ale to właśnie przebieg kariery Elona Muska pozwala prześledzić ostatnie 40 lat globalnego kapitalizmu. On jest w pewnym sensie jak Forrest Gump: prowadzi nas

BEN TARNOFF, amerykański dziennikarz, współpracuje m.in. z „Guardianem”. Pisze o technologii i polityce. Założyciel magazynu „Logic” i autor książki *Internet for the People: The Fight for Our Digital Future*. Współautor (razem z Quinnem Slobodianem) książki *Muskizm. Świat według Elona Muska*.



rysunki PAWEŁ SMARDZEWSKI

SYLWIA CZUBKOWSKA, dziennikarka ekonomiczna i technologiczna takich tytułów jak „Gazeta Wyborcza", „Dziennik Gazeta Prawna" i „Przekrój", nominowana do wielu nagród dziennikarskich. Twórczyni magazynu Spider's Web+ i współtwórczyni podcastu *Techstorie*. Autorka książek *Chińczycy trzymają nas mocno* oraz *Bóg techy. Jak wielkie firmy technologiczne przejmują władzę nad Polską i światem*.

przez kolejne etapy historii i pomaga uchwycić ich główne kontury. W ciągu trzech dekad z obiecującego startupowca, sprawnego przedsiębiorcy i inspirującego wizjonera wyrósł do rangi jednego z najbardziej wpływowych ludzi na świecie. Oczywiście sam także współtworzył te momenty polityczno-gospodarcze – nie jest pasywną postacią – ale to właśnie jego zdolność do surfowania po falach historii, wykorzystywania ich siły, wchodzenia z nimi w interakcję i ich wzmacniania jest tym, co go wyróżnia. W dodatku najbardziej wyrazisty element tej skomplikowanej układanki stanowią dziś jego poglądy społeczne, gospodarcze, technologiczne oraz oczywiście polityczne. Jest jak pryzmat, przez który możemy przyglądać się chwili obecnej – pełnej chaosu i niepewności – by lepiej zrozumieć, co nas do niej doprowadziło.



Jak to się stało, że Musk nie tylko osiągnął bezprecedensowo silną pozycję, ale też stał się postacią symboliczną?
Myślę, że na to pytanie można odpowiedzieć na dwa sposoby. Jeśli przyjrzeć się biografii Muska – od dzieciństwa i młodości spędzonych w Republice Południowej Afryki w okresie apartheidu, przez uczestnictwo w boomie internetowym w Dolinie Krzemowej, zainwestowanie w przemysł lotniczy, kosmonautykę i produkcję samochodów aż po zwrot ku mediom społecznościowym i sztucznej inteligencji – to widać, że skalą i rozpiętością jego doświadczenie przewyższa wszystko, czym dysponują inni. Jeff Bezos, Peter Thiel czy Mark Zuckerberg nie mają równie niezwykłej mnogości doświadczeń. I to prowadzi nas do drugiej odpowiedzi: Musk to pierwszy bilioner w historii. Jest znacznie bogatszy niż jakakolwiek inna osoba z Doliny Krzemowej.

I tym pierwszym bilionerem stał się pomiędzy momentem, w którym umówiliśmy się na wywiad, a dniem naszej rozmowy. Nie dlatego, że tak długo na tę rozmowę czekałam. Starczyło kilka dni przed debiutem giełdowym SpaceX i po nim, by wycena majątku Muska podskoczyła z niecałych 700 miliardów dolarów do ponad biliona. Nawet jeżeli po kolejnych kilku dniach ceny akcji spadły, a Musk wyleciał z jednoosobowego klubiku bilionerów, to i tak wciąż pozostaje najbogatszym człowiekiem świata. Tyle że, o dziwo, w jego przypadku to wcale nie pieniądze budzą najwięcej zainteresowania, fascynacji i obaw.
Według mnie prawdziwym fundamentem jego sukcesu jest fakt, że imperium, które zbudował, nie opiera się tylko na stronach internetowych, aplikacjach czy bitach. Obejmuje samochody, rakiety, satelity, sztuczną inteligencję… To właśnie rozmach i umiejętność łączenia różnych elementów tego imperium w sprawnie działającą całość naprawdę odróżniają Muska od konkurentów, jednocześnie czyniąc go znacznie bardziej interesującym obiektem analizy.

W jakim sensie?
Można na przykład zapytać, jak udało mu się w ciągu 20 lat o 90 procent zmniejszyć koszt wynoszenia masy na orbitę. By odpowiedzieć na to pytanie, trzeba cofnąć się do pierwszych lat amerykańskiej wojny z terroryzmem. Musk zaczynał od realizowania kontraktów rządowych dla Pentagonu, którego ówczesny szef, Donald Rumsfeld, po 11 września nie tylko promował rozwój nowych technologii wojskowych, lecz także wdrażał koncepcję nowego typu wojny. Ta „wojna sieciocentryczna" w niczym nie miała przypominać tradycyjnych. Żadnych wielkich kolumn czołgów i masowych ruchów wojsk, tylko małe grupy operatorów sił specjalnych przemieszczające się bardzo szybko po całym świecie w pogoni za wrogimi terrorystami. Coś takiego wymaga wsparcia zaawansowanych technologii, szczególnie satelitów niezbędnych do komunikacji na polu walki i naprowadzania pocisków na cel. Satelity, stanowiące krytyczny element infrastruktury wojennej już w latach 90. (zwłaszcza podczas wojny w Iraku), teraz stały się kluczowe. Rumsfeld miał więc problem: chciał prowadzić wojnę opartą na satelitach, ale żeby to było możliwe, potrzebował mieć ich na orbicie znacznie więcej niż dotychczas.

W tym momencie wchodzi Musk ze swoim SpaceX…
I mówi: jesteśmy małą, zwinną firmą, oferujemy technologie prosto z Doliny Krzemowej i pomożemy wam prowadzić tę nową, sieciocentryczną wojnę. Będziemy szybciej budować konstelacje satelitarne i znacznie obniżymy koszty ich wynoszenia na orbitę. I tak właśnie się stało. SpaceX wykorzystało konkretne zapotrzebowanie, stając się kluczowym dostawcą Departamentu Obrony i innych agencji federalnych. Obecnie kontroluje około 90 procent amerykańskiego rynku startów orbitalnych. Niezwykła liczba, w praktyce zapewniająca Muskowi pozycję monopolisty. Ta sytuacja to przykład rosnącej współpracy między instytucjami państwa a sektorem technologicznym. Musk przetarł szlak – następstwem jego działań jest dziś między innymi symbioza, w jaką rządy kilku państw weszły z Peterem Thielem i jego Palantirem.

Czy to dążenie do symbiozy z państwem wynika tylko z kwestii praktycznych, takich jak właśnie kontrakty rządowe z publicznym finansowaniem? A może to zasłona dymna i Musk ma jakiś inny, ukryty cel?
Kiedy badacze mówią o neoliberalizmie czy epoce neoliberalnej mają na myśli zmniejszającą się zdolność państwa do działania, rozmywanie suwerenności, patroszenie aparatu państwowego, ograniczanie władzy rządów – zarówno poprzez politykę wewnętrzną, jak i umowy międzynarodowe regulujące możliwość ingerencji

w rynki i własność prywatną. Muskizm ma ułatwiać nawiązanie innego typu relacji między sektorem publicznym a prywatnym. Stanowi próbę zwiększenia możliwości państwa, choć realizowaną za pomocą środków prywatnych.

A co z tego ma państwo?
Państwo, a konkretnie Pentagon i służby wywiadowcze dostają w zamian możliwość niezwykłego poszerzenia swojego pola działania. Mogą teraz prowadzić wojny i szpiegować w sposób wcześniej niedostępny. SpaceX dostarcza technologii, które zwiększają możliwości państwa w zakresie wykonywania podstawowych funkcji suwerennych. To właśnie mamy na myśli, mówiąc o symbiozie. Nie żyjemy już w epoce neoliberalnej, z jej dążeniem do ograniczenia roli państwa. Przeciwnie – w pewnych aspektach, głównie związanych z prowadzeniem wojen i możliwościami stosowania przymusu, rola państwa ponownie dziś wzrasta. Tyle że kosztem głębszej integracji z niewielką liczbą firm technologicznych.

Skoro już dotykamy tematu ekonomii, to interesującą kwestią są związki muskizmu z fordyzmem. Fordyzm – system organizacji pracy wdrożony na początku XX wieku w zakładach Henry'ego Forda – opisujecie jako pewnego rodzaju dyktaturę uzasadnioną względami przemysłowymi. Według Muska ludzki umysł składa się z trzech warstw: pierwotnego „mózgu zwierzęcego", czyli układu limbicznego rządzącego emocjami i instynktem, kory mózgowej odpowiadającej za rozumowanie oraz zdolność do refleksji i wreszcie nowej, trzeciej warstwy – stale rozwijającego się zestawu „narzędzi cyfrowych", które poszerzają nasze możliwości. Czy w takim razie muskizm byłby dyktaturą uzasadnianą tym nowym „rozumem cybernetycznym"?
O, to bardzo ciekawa metafora. Faktycznie jest wiele korelacji między fordyzmem a muskizmem, tyle że sporo z nich bierze się z faktu, jak przeciwstawne są to idee. Fordyzm to mechanizm masowej produkcji powiązanej z masową konsumpcją. Z jednej strony stawiał na liczne innowacje (choćby ruchome linie montażowe) pozwalające na produkcję dóbr konsumpcyjnych na niespotykaną dotychczas skalę, z drugiej – na nowe rozwiązania społeczne: stosunkowo wysokie płace w sektorze przemysłowym, negocjacje zbiorowe między pracodawcami a związkami zawodowymi i rozwój państwa opiekuńczego. Wszystko to umożliwiało coraz większej części społeczeństwa korzystanie z rosnącego dobrobytu, klasa robotnicza mogła sobie pozwolić na zakup wytwarzanych dóbr. W ten sposób powstało swoiste *perpetuum mobile* konsumpcji i produkcji. Muskizm jest zupełnie inny.

Pod jakim względem?
Już sam sposób organizacji produkcji jest odmienny, bo oczywiście nasz system gospodarczy dziś, w 2026 roku, pod wieloma względami różni się od tego z ubiegłego wieku. Ale różnica, na której wraz z Quinnem Slobodianem skupiamy się najmocniej, dotyczy umowy społecznej. Fordyzm opierał się na kompromisie, którego celem było zapewnienie pokoju społecznego. Stąd wysiłek, by kupić lojalność klasy robotniczej poprzez przyznanie jej udziału w zyskach i tym samym zakończyć wieloletnie konflikty na linii pracownicy–przedsiębiorcy. „Traktat detroicki", słynne porozumienie zawarte w 1950 roku między związkiem zawodowym United Auto Workers a koncernami motoryzacyjnymi, zapoczątkował dekady spokoju społecznego w Stanach Zjednoczonych. Tymczasem muskizm jest nastawiony na coś bliższego raczej wewnętrznej wojnie. Dąży do konfliktu, generuje nowe formy rywalizacji i wrogości. Nie chodzi o zapewnienie pokoju społecznego, tylko o rozwój poprzez tarcie. W tym sensie muskizm jest przeciwieństwem fordyzmu.

Mimo wszystko Elon Musk dla wielu przedsiębiorców, naukowców i polityków z całego świata stał się symbolem przemiany, szansy na lepsze jutro, a przynajmniej obietnicy odważnego poszukiwania nowych dróg. Na przykład poprzez dążenie do cyborgizacji pracy, społeczeństwa i wreszcie samego człowieka.
Musk ma tak mocną pozycję, ponieważ jest postrzegany jako ktoś, kto tworzy i buduje. Nie tylko rakiety i samochody – również nowe sektory gospodarki. Obniżając koszty wynoszenia satelitów na niską orbitę okołoziemską, stworzył cały rynek usług opartych na jej wykorzystaniu. Przede wszystkim system Starlink oferujący dostęp do internetu za pośrednictwem krążących po tej orbicie satelitów. Wcześniej taka usługa nie istniała, dziś to prężnie rozwijający się segment rynku: próbuje na niego wejść Amazon, nad uruchomieniem własnych konstelacji satelitów pracuje wiele krajów. Podobnie rzecz się ma z Teslą. Owszem, eksperymentowano wcześniej z samochodami elektrycznymi, jednak to Musk faktycznie je spopularyzował, on pierwszy zaczął na skalę masową produkować pojazd zasilany akumulatorem litowo-jonowym. Wprawdzie Chińczycy już go w tym wyścigu przegonili, ale skali tej rewolucji nie da się przecenić.

Wiele osób nie podziela poglądów Muska, nie podoba im się jego zwrot na prawo, flirt z ideologiami białej supremacji i białego nacjonalizmu. Mimo wszystko darzą go uznaniem, bo jest bardzo skutecznym przemysłowcem – i buduje coś, co wygląda jak przyszłość.



Jego wizja przyszłości zasadza się przede wszystkim na obietnicy cyborgizacji, coraz ściślejszego połączenia

człowieka z technologią. Przykłady to chociażby humanoidalne roboty produkowane przez Teslę albo technologie takie jak Neuralink, poszerzające możliwości człowieka. Kolejnym etapem muskizmu – jak sami piszecie – ma być powstanie nowej formy zbiorowości, cybernetyczny kolektywizm oparty na wspólnocie trzeciego poziomu ludzkich mózgów wspieranych przed media społecznościowe. Musk już od dwóch dekad mówi o ludzkości jako o cyborgu, coraz bardziej zintegrowanym z technologią, o zacieraniu się granic między człowiekiem a maszyną. Widział w tym proces dezintegracji, który powinniśmy przyjmować z radością, wręcz przyspieszać. Słuchając go, trudno się oprzeć wrażeniu, że po prostu naczytał się za dużo science fiction. Tymczasem to, co głosi, jest w gruncie rzeczy zdroworozsądkowym, tyle że doprowadzonym do skrajności przekonaniem, że technologie sieciowe całkowicie zmienią sposób funkcjonowania człowieka – i że to one są przyszłością. Wobec tego nasze społeczeństwa i gospodarki powinny się przeorganizować, przeznaczać jak najwięcej zasobów na firmy działające w tym sektorze, tak by nasza rzeczywistość ulegała coraz głębszej digitalizacji, żebyśmy jak najwięcej czasu spędzali ze smartfonami i na platformach społecznościowych.

Dzisiaj, ze sporym opóźnieniem, dostrzegamy społeczne, polityczne i emocjonalne koszty takiej integracji. Ale przez całe dekady głośniej wybrzmiewały głosy entuzjastyczne. Wszyscy liczący się politycy, wszyscy biznesmeni utrzymywali, że silniejsze splecenie z internetem, z wszelkiego rodzaju urządzeniami sieciowymi da nam więcej wolności. Musk doprowadził to przekonanie do ekstremum. Działalność Neuralink, jego firmy zajmującej się interfejsami mózg–komputer, można postrzegać wprost jako próbę przyspieszenia fuzji człowieka i maszyny. Ale nie trzeba sięgać po aż tak skrajne przykłady. Przypomnijmy sobie, co się działo, gdy Musk dopiero zaczynał głosić wielkie wizje cyborgizacji. To właśnie wtedy uzależnił się od Twittera. Publikował dziesiątki, a z czasem setki postów dziennie. Stał się superużytkownikiem. Być może wizja cyborgicznej przyszłości wydaje mu się tak wiarygodna właśnie dlatego, że sam stał się niemal jednością z mediami społecznościowymi.

I tego samego oczekuje od zwykłych użytkowników. Cyborgizację naszej cywilizacji widać wszędzie. Nie mogę przejść ulicą w Cambridge w Massachusetts, by nie wpadł na mnie ktoś, kto idzie kompletnie wlepiony w telefon. To sytuacja tak powszechna i powtarzalna, że narzekanie na nią robi się już nudne. Jednak globalnie coraz poważniej myślimy o zakazie smartfonów w szkołach, niepokoimy się ilością czasu spędzanego przed ekranem. Zwrot Muska ku cyborgizacji jest elementem szerszego zjawiska kulturowego. I nie chodzi tu tylko o uzależniający charakter algorytmów. Do niedawna wszystkie oficjalne autorytety przekonywały, że przecież technologie to samo dobro, narzędzie demokracji, wyzwolenia, nowych możliwości gospodarczych. Zwłaszcza w okresie prezydentury Baracka Obamy było to po prostu stanowisko obowiązujące. Musk doprowadził ten sposób myślenia do ekstremum, ale nie był w tym prekursorem.

Na Trumpa głosują ludzie, którzy mieli bliskie relacje z Obamą. Dlaczego? Z powodów biznesowych. Wyższe podatki są sprzeczne z ich interesami.

Amerykańska dziennikarka Kara Swisher w swojej książce *Burn Book* wymieniła dwa punkty zwrotne w poglądach politycznych Muska. Pierwszy to historia z 2018 roku: w zalanej jaskini Tham Luang utknęło kilkunastu młodych Tajów. Próby ich uwolnienia oglądał cały świat, Musk zaangażował się emocjonalnie i zaproponował użyczenie swojej łodzi podwodnej. Gdy grotołaz, który miał chłopców ratować, odrzucił tę propozycję, Elon na Twitterze nazwał go pedofilem. Sprawa skończyła się pozwem o zniesławienie, ława przysięgłych stanęła po stronie pozwanego. Drugim ważnym momentem jest wydarzenie z tego samego roku, kiedy to Musk opublikował bardzo kosztowny w skutkach tweet: „Rozważam wykupienie wszystkich akcji Tesli po 420 dolarów każda. Finansowanie zapewnione". W odpowiedzi amerykańska Komisja Papierów Wartościowych i Giełd wszczęła postępowanie, które doprowadziło do ustąpienia miliardera ze stanowiska prezesa Tesli. Zakup Twittera miał być sposobem na walkę z „wirusem woke". Sygnałów politycznej przemiany było sporo. Jest kilka wydarzeń, które wyraźnie przyczyniły się do prawicowego zwrotu u Muska. Niektóre z nich są osobiste, na przykład tranzycja jego córki. Albo lockdown podczas pandemii COVID-19, przez który fabryka Tesli we Fremont w Kalifornii została zamknięta na około siedem tygodni. Musk w tweecie nazwał obostrzenia faszystowskimi, czym zyskał sobie – również na Twitterze – publiczne poparcie prezydenta Trumpa (jeszcze za jego pierwszej kadencji). W tym właśnie okresie zaczął też coraz intensywniej wchodzić w interakcje z prawicowymi kontami w mediach społecznościowych. Wiosną i latem 2020 roku mamy z kolei protesty po śmierci George'a Floyda, czyli Black Lives Matter, jeden z największych ruchów społecznych w historii Stanów Zjednoczonych. A później początek prezydentury Joe Bidena, który prowadził stosunkowo progresywną politykę wewnętrzną: powołał do Narodowej Rady ds. Stosunków Pracy grupę osób przychylnych pracownikom, bardziej zdecydowanie przeciwdziałał monopolom i nadmiernej koncentracji rynku ze wsparciem takich osób jak szefowa Federalnej Komisji Handlu Lina Khan; rozważał nawet wprowadzenie podatku majątkowego. Musk był rozgniewany i zbity z tropu tymi wydarzeniami. Zresztą nie on jeden. W gronie liderów branży technologicznej

z Doliny Krzemowej, którzy ostatecznie przeszli na stronę Trumpa, znaleźli się także Marc Andreessen, Ben Horowitz i oczywiście od dawna krążący po prawicowej orbicie Peter Thiel.

Ten kolektywny zwrot ku ruchowi MAGA jest wyraźny, ale czy nie wynika po prostu z pragmatyzmu? Chęci opowiedzenia się po stronie władzy otwarcie przychylnej biznesowi, zwłaszcza sektorowi technologicznemu?
Wiele osób o zasadniczo centrowych sympatiach politycznych poszło za Trumpem. Głosują za nim ludzie, którzy naprawdę podziwiali Obamę, a nawet mieli z nim bliskie relacje. Dlaczego? Myślę, że w większości przypadków to faktycznie pragmatyczna decyzja. Wpływowi inwestorzy, tacy jak Andreessen i Horowitz, poparli Trumpa z powodów biznesowych. Uważają, że podejście Bidena – szczególnie w zakresie regulacji AI, ale też polityki antymonopolowej i dotyczącej podatku majątkowego – jest sprzeczne z ich interesami, a administracja Kamali Harris mogłaby utrzymać ten kierunek. Muska wyróżnia więc nie tyle sam zwrot w prawo, ile raczej forma, jaką u niego przybiera.

To znaczy?
Chodzi przede wszystkim o koncepcję *woke mind virus* – atakującego umysły „wirusa woke" (poprawności politycznej), terminu najsilniej kojarzonego z prawicowym zwrotem Muska. Po raz pierwszy użył go w tweecie z grudnia 2021 roku i od tego momentu wspomina o „wirusie" nieustannie, przedstawiając go jako zagrożenie cywilizacyjne. W jednym z tweetów napisał, że „wirus woke musi zostać pokonany, nic innego się nie liczy". Nie chodzi więc tylko o konkretną politykę, z którą można się nie zgadzać. Chodzi o walkę z wrogiem ludzkości.

Tutaj wracamy do cyborgizacji. Dla Muska wirus woke to idea, która niczym choroba przenosi się poprzez sieci mediów społecznościowych. Pełna symbioza z urządzeniami elektronicznymi, którą dekadę temu sam celebrował i chciał przyspieszyć, teraz stała się potencjalnym źródłem zagrożenia, zarażenia. Umożliwia transmisję wirusa zdolnego zainfekować umysły i sprawić, że ludzie zaczną działać w sposób sprzeczny z interesami samego przedsiębiorcy.

Jednak Musk wciąż przecież intensywnie promuje platformy społecznościowe – i nie chodzi tylko o kompulsywne tweettowanie. Posunął się nawet do kupna całego Twittera za zupełnie nierynkową kwotę 44 miliardów dolarów.
Musk często improwizuje, działa intuicyjnie. Akurat Twittera kupił trochę mimo woli. W pewnym momencie próbował się nawet z tego wycofać, ale sąd zmusił go do sfinalizowania transakcji. Gdy już jednak został właścicielem, zaczął przeprowadzać masowe zwolnienia i obsadzać platformę swoimi ludźmi. Przemiana Twittera w X bardzo dobrze ilustruje ideę oczyszczania sieci z zarazy woke. W miejsce wirusa poprawności politycznej należy zaszczepić własny wirus „antywoke". Z tej perspektywy łatwiej zrozumieć także Groka – model sztucznej inteligencji powstały w założonej przez Muska w 2023 roku firmie xAI, od początku przedstawianej jako alternatywa dla „woke'owej" AI.



Piszecie ze Slobodianem, że Musk ma na platformie X wyjątkową pozycję: jest „hiperliderem", którego „superbaza" składa się z użytkowników opłacających subskrypcję X Premium. Co to znaczy? I czy ludzie, którzy płacą za Twittera, faktycznie czują się częścią tej „superbazy"?
Warto tu przywołać postać socjologa Paola Gerbauda, autora fascynującej książki o nowych ruchach politycznych – takich jak włoski Ruch Pięciu Gwiazd – które wykorzystują internet, by mocniej angażować potencjalnych wyborców w swoją działalność. Gerbaudo zwraca tu uwagę na pewien paradoks. Te tak zwane partie cyfrowe,

pozornie nastawione na uczestnictwo, łatwo przekształcają się w struktury skupione wokół hiperlidera. Z czasem staje się on rodzajem autokraty, a rola społeczności sprowadza się niemal wyłącznie do rozpowszechniania jego przekazu, wzmacnianego dodatkowo przez algorytmy. Naszym zdaniem to dobra ilustracja tego, czym stał się dzisiejszy Twitter. Musk polecił swoim inżynierom zwiększanie mu zasięgów, tak by jego wpisy trafiały do jak największej liczby użytkowników. W efekcie stał się dominującym głosem na platformie. (Jeśli zarejestrujesz dziś konto na X i nie zaobserwujesz nikogo konkretnego, na osi czasu ciągle będą ci się wyświetlać tweety samego Elona). Jednocześnie całkowicie zmienił funkcję systemu weryfikacji użytkowników.

W jakim sensie?
Początkowo Twitter wprowadził system weryfikacji po to, by chronić osoby publiczne i marki przed podszywaniem się pod nie. Służyło to przede wszystkim potwierdzaniu tożsamości użytkowników. Musk przekształcił ten system w – z jednej strony – narzędzie monetyzacji: użytkownik może wykupić subskrypcję X Premium i otrzymać plakietkę weryfikacyjną. W zamian zyskuje zwiększone zasięgi, dzięki czemu jego posty docierają do szerszego grona odbiorców. Po przekroczeniu określonego progu sam może zacząć zarabiać na publikowanych treściach. Z drugiej strony jest to sposób na sformalizowanie od dawna krążących w orbicie Muska tak zwanych *reply guys* [użytkowników, którzy regularnie odpowiadają na czyjeś posty, by zwrócić na siebie uwagę lub budować sobie zasięgi – przyp. red.]. Liczne badania ilościowe pokazują, że przeciętnym użytkownikom X najczęściej wyświetlają się wpisy Muska i innych postaci publicznych o zbliżonych poglądach. W praktyce Elon przekształcił więc tę platformę w tubę propagującą jego własny światopogląd.

Lokalne ruchy prawicowe, politycy i hiperliderzy widzą w Musku partnera, który podbije im zasięgi.

Gerbaudo pisze o partiach politycznych, ale mam wrażenie, że to zjawisko dotyczy wszystkich grup skupionych wokół popularnych postaci medialnych – niekoniecznie związanych z polityką, ale z całą pewnością wpływowych. W Polsce mamy Krzysztofa Stanowskiego i jego Kanał Zero, w Rumunii głośna była sytuacja z niedoszłym prezydentem Călinem Georgescu, skrajnie prawicowym kandydatem niezależnym, któremu algorytm TikToka w zasadzie zastąpił organizację partyjną, umożliwiając błyskawiczny wzrost popularności i zwycięstwo w pierwszej (później unieważnionej) turze wyborów. Podobnych hiperliderów można znaleźć właściwie w każdym kraju.
Bo to jest powszechne zjawisko. Gerbaudo zwraca uwagę na to, jaką ironią losu było przekonanie, że internet i media społecznościowe automatycznie będą sprzyjały demokratyzacji. Słyszeliśmy to już w latach 90., podobne nadzieje odżyły podczas arabskiej wiosny, często określanej jako „rewolucje twitterowe" czy „facebookowe", a później przy okazji ruchu Occupy Wall Street. Narracja, zgodnie z którą nowe media mogą stać się narzędziem zmiany porządku politycznego, od lat jest obecna nie tylko w głównym nurcie debaty publicznej, ale też w środowiskach opozycyjnych – zarówno z lewej, jak i z prawej strony sceny politycznej. Technologia umożliwiająca zwykłym ludziom udział w życiu politycznym na zupełnie nowych zasadach, niwelująca hierarchie, zmniejszająca nierówności – to bardzo pociągająca wizja. Ironia, a może wręcz tragedia opisywanego przez Gerbauda fenomenu „cyfrowej partii" (nieograniczającego się – jak sama zauważyłaś – tylko do formalnych partii politycznych) polega na tym, że technologię można wykorzystać również jako instrument centralizacji władzy. To, co dzieje się z Twitterem po przekształceniu w X, stanowi modelowy przykład stopniowego ograniczania różnorodności głosów i wzmacniania jednej niewielkiej grupy kosztem całej reszty.

W ten sposób przechodzimy do rozwijanej przez was w książce koncepcji cyborgicznego konserwatyzmu, jednego z filarów muskizmu. Tylko co tu jest konserwatywnego?
Chodzi o przekonanie, że technologię można i należy wykorzystać do wzmocnienia tradycyjnych hierarchii społecznych. Co ważne, wyłoniło się ono w odpowiedzi na akty internetowej mobilizacji społecznej, które od 2010 roku obserwujemy na całym świecie, także w Stanach Zjednoczonych. Occupy Wall Street, Black Lives Matter, Me Too... W szerszym sensie chodzi o odrodzenie amerykańskiej lewicy, bardzo nastawionej na kwestie klasowe i społeczne. Pojawiają się charyzmatyczni politycy, jak nowy burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani [pisał o nim Astead W. Herndon, „Pismo" nr 1/2026 – przyp. red.], zyskują na znaczeniu lewicowe organizacje polityczne, jak Democratic Socialists of America. Musk i pozostali liderzy z Doliny Krzemowej z dużym niepokojem obserwują ten rozwój wydarzeń. Cyborgiczny konserwatyzm jest więc z ich strony próbą wykorzystania tych samych technologii, które pomagają w rozkwicie ruchów egalitarnych, do przeciwnych celów – czyli blokad i represji.

To brzmi bardzo ostro, a przecież duża część tych działań zatrzymuje się na poziomie trollingu i memów. Czy na takiej podstawie można budować faktycznie wpływowe grupy?
Musk od dawna pokazuje, że za pomocą internetowych prowokacji, żartów i memów da się wpływać na rynki finansowe i podbijać ceny aktywów. Opanował tę strategię do perfekcji. Jest to jednak część szerszego zjawiska, które dziś można obserwować choćby na przykładzie szybko rozwijających się rynków predykcyjnych.

Elon Musk ma wiele twarzy, a może – masek. Poważny inwestor, wpływowy ideolog i zwiastun przemian politycznych, wreszcie internetowy troll. Czy uświadamia sobie, jak ogromny wpływ mogą mieć jego działania – nie tylko na Twitterze i nie tylko w Stanach Zjednoczonych?

Nie wiemy dokładnie, co myśli w danym momencie. Ale na przykładzie debiutu giełdowego SpaceX widać wyraźnie, że jest zdolny do składania najbardziej fantastycznych obietnic. W dokumentach złożonych przed wejściem SpaceX na giełdę roztaczał wizję przyszłości opartej na orbitalnych centrach danych, fabrykach na Księżycu i oczywiście – w dalszej perspektywie – kolonizacji Marsa, co miałoby umożliwić utrzymanie, a nawet dalszy wzrost wartości spółki.

Myślę, że część osób spoza środowiska finansowego nie do końca rozumie, czemu tylu inwestorów chce stawiać na Muska. Oferta publiczna SpaceX została wielokrotnie nadsubskrybowana – chętnych na zakup było tak wielu, że cena akcji wyraźnie wzrosła jeszcze przed wejściem spółki na giełdę. Jak to możliwe? Ludzie uznali, że gdyby postawili na Muska wcześniej – jakieś 5, 10, 20 lat temu – dziś osiągnęliby ogromne zwroty. Dlatego chcą stawiać na niego w przyszłości. Patrząc na jego dotychczasowe wyniki, faktycznie można zauważyć, że konsekwentnie zarabiał duże pieniądze dla swoich inwestorów. A przecież ostatecznie na tym właśnie ludziom zależy, więc ta skuteczność przekonuje wiele osób również do jego politycznej agendy.

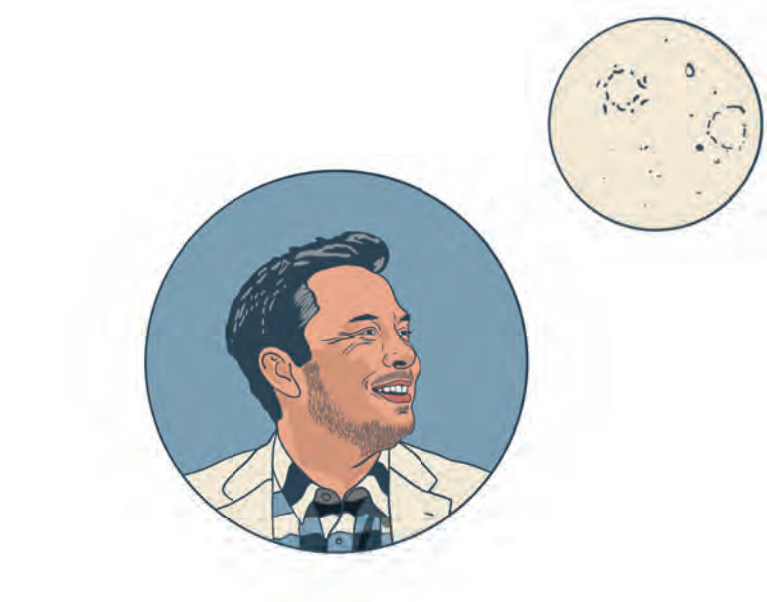
Dlaczego Musk jest tak zainteresowany Europą, jej przyszłością? Jego działania często przybierają formę nacisków politycznych. W Polsce przed ostatnimi wyborami pojawiały się obawy, że jeśli Musk się nimi zainteresuje, jego wpływ na debatę polityczną może stanowić zagrożenie porównywalne z rosyjską dezinformacją.

Pod tym względem jest podobny do innych przedstawicieli amerykańskiej prawicy. Ich zainteresowanie wynika z faktu, że uważają Europę za prastarą kolebkę „białej cywilizacji". Z kolei Unia Europejska to w ich oczach organizm polityczny błądzący pod wpływem liberalnych polityków – zbyt pobłażliwych wobec imigracji, zbyt przychylnych wielokulturowości – którzy to dziedzictwo trwonią. Atrakcyjność partii skrajnie prawicowych i koncepcji takich jak „reemigracja" polega na tym, że obiecują przywrócić Europie jej rzekomą historyczną siłę. To nie jest realne zaangażowanie, tylko wyidealizowana koncepcja, odwołująca się do wyobrażeń o krucjatach, produkująca memy o krzyżowcach i wezwania do nowej rekonkwisty. Nie idzie za tym jakiekolwiek zrozumienie rzeczywistych problemów współczesnej Europy. Ale cała ta narracja pada na podatny grunt. Lokalne ruchy prawicowe, politycy i hiperliderzy widzą w Musku partnera, który jeszcze bardziej podbije im zasięgi.

Czy muskizm rozprzestrzenia się na inne kraje? Czy dostrzegacie jakichś „lokalnych Musków" albo przynajmniej ludzi usiłujących wypracować sobie – nawet jeśli na mniejszą skalę – podobną pozycję?

Myślę, że warto rozszerzyć perspektywę, spojrzeć nie tylko na Muska jako jednostkę, lecz na muskizm jako układ sił. Kiedy mówimy o muskizmie, mamy na myśli tendencję do deglobalizacji, przekonanie, że technologie mogą wzmacniać samowystarczalność państw, a także dążenie do coraz ściślejszego powiązania aparatu państwowego z wielkimi korporacjami. To zjawiska, które obserwujemy dziś na całym świecie, w różnych postaciach i konfiguracjach. Nie chodzi więc o to, czy znajdziemy – na przykład – podobnego do Muska bułgarskiego przedsiębiorcę technologicznego, lecz raczej o dostrzeżenie, jak zmieniają się warunki funkcjonowania gospodarki i jak radzimy sobie z kolejnymi kryzysami. Świat z każdym dniem staje się bardziej „muskistowski", a wojna amerykańsko-izraelska z Iranem wyraźnie ten proces przyspieszyła. Podobnie jak zwrot ku reshoringowi i friendshoringowi, czyli przenoszeniu produkcji z powrotem do własnego kraju albo do państw sojuszniczych. Widać również wyraźną tendencję do inwestowania w odnawialne źródła energii i większy popyt na samochody elektryczne. Sprzedaż Tesli w Europie ponownie rośnie, w dużej mierze właśnie za sprawą wojny z Iranem.

Muskizm – z Muskiem czy bez niego – już tu jest. I zostanie z nami na dłużej.



Przeczytaj esej Sylwii Czubkowskiej *Jak bogacze niszczą światowy ład?* Znajdziesz go na **magazynpismo.pl/czubkowska-sylwia** także w wersji audio.

Dlaczego chodzimy?

tekst MICHAŁ ZABŁOCKI

—

WYRUSZYŁEM W DROGĘ przez zapomniane, sudeckie ścieżki. Ocieram się o nie od lat, lecz nigdy nie przeszedłem wszystkich, choć wyrosłem w cieniu Sudetów i dokładną mapę gór oraz pogranicza mam nakreśloną w głowie od dziecka. Życie w miastach wymaga innych talentów niż orientacja na pustkowiu. Gdzie indziej kieruje też myśli.

Im dłużej chodzę, tym częściej odnoszę wrażenie, że odzyskuję w ten sposób umiejętności oczywiste dla naszych przodków. Wiem, jak stawiać stopy w błocie, żeby się nie poślizgnąć. Gdzie patrzeć, żeby się nie zgubić, nawet kiedy tonę w chmurach. Jak wchodzić na skały, żeby nie spaść w przepaść. Jak dostosowywać tempo marszu, żeby starczyło sił na chodzenie przez cały dzień.

A co ważniejsze, jak iść naprzód pośród coraz lepiej znanych, choć zapomnianych światów. Wiem teraz, nie tylko dzięki zdjęciom, jak wygląda róża kłodzka, czyli pełnik europejski (*Trollius europaeus*) – kulisty, twardy i zbity żółty kwiat, rosnący w kępach na górskich, rozległych polanach. Znalazłem go przecież na najpiękniejszej łące świata całkiem niedawno, na przełomie maja i czerwca w Górach Stołowych. Spośród źdźbeł traw potrafię wyłowić płatki jaskrów, które złocą się właśnie w późnowiosennym słońcu i przeplatają z fioletowymi dzwonkami. Na bagnach, przechowujących przekształcającą się ziemię sprzed tysięcy lat, nauczyłem się nie grzęznąć w torfach. Umiem wychwycić skupiska trzęślic oraz chwiejących się na górskim wietrze postrzępionych białych pióropuszy wełnianek wyglądających równie egzotycznie, jak kępki dziko rosnącej bawełny.

Próbuję odzyskać też inną, oczywistą dla starożytnych, a zaniedbaną przez współczesnych umiejętność: rozpoznawania ptaków po głosie. To niezwykle skomplikowane – sztuka, którą należy wydobyć z archiwów pamięci, bardziej złożona niż poznawanie nowych języków, o wiele trudniejsza niż moja powolna nauka niemieckiego czy węgierskiego, bo oparta na zupełnie nie ludzkiej logice. Ale z każdą wyprawą coraz lepiej radzę sobie z rozszyfrowywaniem po gwizdach i śpiewie sygnałów kosów, rudzików, cierniówek czy zięb. Uczę się też rozpoznawać miejsca, w których mogę się ich spodziewać.

—

WYRUSZYŁEM Z MIĘDZYLESIA. To miasteczko tuż przy samej granicy Polski i Czech, położone w jednej z kotlin w środku Sudetów, pomiędzy Górami Bystrzyckimi, Orlickimi, Hanuszowickimi a Masywem Śnieżnika. Wyróżnia je ogromna stacja kolejowa z czerwonej cegły, dawniej pełniąca ważną funkcję kolejowego przejścia granicznego. Wówczas, żeby przekroczyć granicę, trzeba było wysiąść z jednego pociągu i wsiąść do drugiego, oznaczonego inaczej, a po drodze przebrnąć przez uciążliwą kontrolę paszportową i celną. Procedury te często przedłużały podróż za miedzę co najmniej o kilkadziesiąt minut. Po dawnej strażnicy pozostał długi i posępny, pusty dworcowy hol, nawet w dzień zalany rozedrganym światłem jarzeniówek, z którego asfaltową ulicą schodzi się do rynku i pobliskiego zamku. Ten ma renesansowy wygląd, choć pewnie wybudowano go wcześniej.

Według legend gród na trakcie z Wrocławia na południe wzniósł czeski książę Brzetysław I – ten sam, który najechał państwo Polan, wywiózł z Gniezna do Pragi relikwie Świętego Wojciecha i po raz pierwszy według kronik przyłączył Śląsk do Czech.



zdjęcie T. OLSZEWSKI, ze Szrenicy, 4 VIII 1976 rok, 17:40; Biblioteka Uniwersytecka we Wrocławiu (CC BY 4.0)

MICHAŁ ZABŁOCKI, dziennikarz, autor, wędrowiec, aktywista klimatyczny, były korespondent PAP-u w Moskwie, Pradze i Bratysławie. Autor książki o Czechach *To nie jest raj* (2019 Polska, 2020 Czechy) oraz nominowanego do nagrody na Górską Książkę Roku 2026 reportażu drogi *Znikająca kraina. Wędrówka przez góry Śląska*.

Władca przekazał potem osadę cystersom, ci sprzedali posiadłość rodowi Glaubitzów, wszystko w bliższej i dalszej okolicy ostrzelali i spalili husyci, po czym kasztel zmienił się w siedzibę Tschirnhausów. Po wojnie trzydziestoletniej – paneuropejskiej apokalipsie XVII wieku, która zaangażowała katolików i protestantów w krwawy międzynarodowy konflikt religijny – na kolejne stulecia zamek został przejęty przez ród Althannów, najpewniej chrześcijan oddanych cesarzowi w Wiedniu i papieżowi w Rzymie. Budowlę zbarokizował architekt włoskiego pochodzenia Jakob Carova, a czasy Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej – pogrążyły w rozkładzie. Dzisiaj powoli odzyskuje życie dzięki staraniom nowych właścicieli; boniowanie na ścianach dworu, mające udawać twardy kamień i sugerować, że twierdza jest nie do zdobycia, lśni, chłostane obfitym deszczem.

Idę z miasteczka, którego nazwa, w odróżnieniu od wielu innych miejscowości regionu pomimo zmiany języków zachowała dawne znaczenie, nawiązujące do położenia pośród gór i lasów, a więc Mittelwalde czy też Mezilesí. Niektóre źródła wspominają też o Středolesí, czyli Śródlesiu, co dla mnie brzmi jak nazwa jakiejś mitycznej krainy rządzonej przez zwierzęta. Chociaż prognozy wydawały się względnie dobre, na samym starcie złapał mnie mocny deszcz. Krzyżowe podcienie zamku pozwalają schronić się przed strugami wody, ale nawet gdy przestaje zacinać, zostaje nieprzyjemna i niepozwalająca sięgnąć dalej wzrokiem zimna wilgoć. Cel mojej wyprawy, czyli najwyższy szczyt okolicy, kryje się w chmurach, dlatego nie do końca wiem, dokąd idę, jedynie ulice, drogi i ścieżki pomagają wyznaczyć kierunek.

Ale to tylko zwykły deszcz, a ja mam pelerynę. I sandały. Nie będę wymieniał wszystkich ich zalet, lecz wspomnę tylko, że mają doskonałą właściwość: są praktycznie nieprzemakalne. Albo raczej nienamakalne, bo woda wylatuje z nich równie szybko, jak do nich wlatuje. Krople mnie muskają, stopy i tak są mokre, skóra nasiąka i marszczy się jak w kąpieli, gdy przebiegam między kamieniczkami rozciągniętymi wzdłuż długiego rynku oraz obok barokowej kolumny maryjnej, mającej rzekomo symbolizować wdzięczność za wybawienie od dżumy, ale w rzeczywistości wyznaczającej zasięg świata Habsburgów, bo przecież *Pestsäule* – pokręcone kolumny morowe z wizerunkami Matki Boskiej albo Trójcy Świętej – stawiano tam, gdzie kiedyś sięgały granice podporządkowanego ich władzy państwa.

Przyciągają mnie drewniane stare domy ustawione szczytem do ulicy, z prostymi podcieniami i spadzistym dachem. Białe, zatrzaśnięte okiennice kryją się pod brązowym zadaszeniem, na trójkącie dachu opartym o trzy filary, nad nimi geometrycznie wyróżniają się trzy kolejne białe kwadraty okien. Sudeckie bliźniaki, pozostałości wielu dawnych domów tkackich będących dla regionu źródłem części niegdysiejszej chwały i bogactwa, które gwałtownie przeminęło wraz z nadejściem epoki kominów fabrycznych i dymu parowozów.

Zastanawiam się, jakie kiedyś toczyło się w środku życie, zanim dobrze urządzony dom zaczął zmieniać się w ruinę. Czy mieszkał w nim któryś z chłopaków wymienionych na pomniku ofiar pierwszej wojny światowej?

W takich domach, z biedy i strachu przed nowoczesnością, rodziły się śląskie bunty przeciw nienasyconym bogaczom, których w dramacie Gerharta Hauptmanna *Tkacze* reprezentował fabrykant Dreissiger. A tory, wbrew protestom i przewrotom, i tak dotarły tu w połowie XIX wieku dzięki staraniom Komitetu Budowy Kolei Śląsko-Czeskiej, zabiegającej o połączenie miast Breslau, Strehlen, Münsterberg, Glatz i kolejnych z Wiedniem, mimo że teraz stolica była w Berlinie i nad krainą panował inny cesarz.

Oczywiście budowie kolei towarzyszyły inne trudności – pociągom przeszkadzały nie tylko rebelie i geografia, ale też wojny, w tym prusko-austriacka, *Deutsche Krieg* mająca wykazać, który *Kaiser* – ten wiedeński czy berliński – jest ważniejszy. Konflikt raz mocniej, raz słabiej wzmagał niechęć do budowy przejść granicznych, w szczególności w tak trudno dostępnym terenie, jakim jest ziemia kłodzka, i tak blisko niezdobytych twierdz, jakimi zdawały się Festung Glatz, Festung Silberberg i Festung Schweidnitz.

Inną wojnę, a raczej krew przelaną przez miejscowych *gefallenen Söhnen*, poległych synów, upamiętnia pomnik ofiar pierwszej wojny światowej. Z perspektywy Śląska, Kłodzka i Czech to nic nadzwyczajnego, bo te wielkie wojny toczyły się w okolicy bezustannie, niemal ciągiem od XV wieku – z udziałem Ślązaków, Morawian, Czechów, Węgrów, Austriaków, Prusaków, Francuzów, wreszcie Sowietów i Polaków – a wygasły dopiero gdzieś w 1945 roku, choć tliły się jeszcze i straszyły miejscowych katastrofą przez kolejne kilkadziesiąt lat. Ustawiony na postumencie betonowy sarkofag z zębatą koroną, zdobiony pruskim Żelaznym Krzyżem i nowszą – zapewne wzniesioną już przez polskich mieszkańców – figurą Chrystusa, na każdej ze stron wylicza mężczyzn z międzyleskich gospodarstw. Kilkudziesięciu martwych – od Bartha po Ziegnera – i siedmiu zaginionych: Fritscha, Haucka, Kolbego, Rückera, Sündermanna, Tatzera i Winroithera. Chcę wierzyć, że ci ostatni z okopów znad Sommy czy Tannenbergu uciekli gdzieś do Ameryki i spokojnie dożyli końca swoich dni, w przeciwieństwie do swych rodziców i sąsiadów, którzy najpierw z tęsknotą i nadzieją wypatrywali powrotu dzieci z wojny, a potem sami albo poszli na front kolejnej, albo musieli się wynieść pod naporem jej następstw.

Krok za krokiem przez błoto i kałuże, cieknącą jak miniaturowa rzeka środkiem drogi strugą, idę po asfalcie obok regularnej, kiedyś niemieckiej, kamienicy, z której zostały tylko mury. Tynk jeszcze się trzyma, miejscami tylko odsłania równo ułożone cegły, dach już dawno zapadł się do środka, pociągnął za sobą na dno strych i wszystkie piętra – przez powybijane okna można je dostrzec usypane w kopiec. Drzwi za portalem – szacuję: 100–150-letnim – zostały zabite na głucho, a dół zasłaniają kraty, aby groźnie wyglądająca mieszanina rozkładu, historii i przemijania, złożona z pokruszonej cegły, okruchów pamiątek i zbutwiałych desek, nie wyległa na zewnątrz.

Zaglądając do wnętrza, nabieram przekonania, że ten dom wbrew rozpadowi staje

się nową formą istnienia. W jakiś niewyczuwalny sposób wibruje, przekształca się w naturalny element krajobrazu i chce na przekór okratowaniu i deskom, nieudolnie zasłaniającym drzwi i okna, wciągnąć mnie do swojego świata przeobrażającego zastygłą glinę i drewno w gruz i próchno, które za chwilę, choć pewnie później niż w ciągu jednego ludzkiego życia, całkowicie przenikną do przyrody. Wszystko się zmieniło, nic nie stoi na swoim dawnym miejscu, jak to zaplanował człowiek. Zamiast krzeseł i stołów zieje próżnia. Gdzie były kuchnia i komin – gruzowisko. Zastanawiam się, jakie kiedyś toczyło się w środku życie, zanim dobrze urządzony dom zaczął zmieniać się w ruinę i wtapiać w otoczenie w nieuchwytnym dla ludzkiego oka tempie. Czy mieszkał w nim któryś z chłopaków wymienionych na pomniku ofiar pierwszej wojny światowej? Co się działo z jego domownikami po tej drugiej? Co zabrali? Co oprócz przeszłości musieli jeszcze porzucić? Kto komu był obcy? I wreszcie – kto ich zastąpił i co zastali nowi przybysze?

Od lat gromadzę kolekcję dawnych sudeckich widokówek i zdjęć. Rośnie powoli, proporcjonalnie do mojej wiedzy o regionie. Pocztówki przechowują obrazy innych starych domów, często już nieistniejących, jak dawna Drei Linden Baude z Mniszkowa (Waltersdorf), gdzie mieszkał sudecki rzeźbiarz Hans Brochenberger, albo Gospoda pod Lipami z Przesieki (Hain), która spłonęła w 1986 roku i pozostawiła po sobie tylko mijaną przeze mnie dziesiątki razy maleńką altanę oraz nazwę dla przystanku autobusowego.

—

NAPRZECIW MIĘDZYLESKIEJ ruiny wyrosły za to nowe apartamenty o dumnej nazwie Wakacyjne Historie, jakby historie z domu obok całkiem poddały się współczesności, miały być zapomniane, zakopane w rumowisku, zarośnięte wzdłuż murów samosiejkami i skryte w cieniu po odejściu dawnych mieszkańców.

Za budynkiem zaczynam mozolny marsz pod górę, najpierw w mokre błonia, a potem w las i na wzgórza, skąd coraz lepiej widać niewidzialną, ale bardzo realną granicę. Bo przecież zaraz zaczynają się Czechy, następne pasmo leży już w innym kraju, rzuca się w oczy wieża na Suchým vrchu, gdzieś w południowym krańcu Gór Orlickich. Kiedyś tu były Prusy, tam Austro-Węgry, jeszcze wcześniej Austria w imieniu Świętego Cesarstwa obejmowała swym panowaniem obie strony gór.

Druga wojna światowa granicę pozostawiła w niezmienionym miejscu, nawet słupki graniczne są te same, zmieniły się tylko znaczące je litery i barwy. Dziwnym trafem ziemia kłodzka znalazła się w Polsce, mimo że – jak fabularyzuje Henryk Waniek w *Mieście niebieskich tramwajów* – to Czesi liczyli na jej odzyskanie, właściwie zaczęli ją zajmować od strony Broumova tuż po kapitulacji Rzeszy za pomocą pociągu pancernego Moskva. Przez setki lat niewielka, ale bogata kraina wchodziła w skład Korony



Świętego Wacława, a nigdy *Corona Regni Poloniae*, i jeszcze niedawno miała czeskich mieszkańców. Może ma ich nawet do dziś, bo jak powiedział mi niedawno w czasie innej z moich wędrówek dyrektor skansenu w Pstrążnej (Straußeney, Stroužné), za kłodzkich Czechów wciąż uważają się dwie rodziny z okolic Kudowy-Zdroju (Bad Kudowa, Lázně Chudoba). Drwi zaś z nich i z historii przyśrubowana na zicher pod orłem, pewnie jeszcze niemieckim, kuriozalna tablica z kłodzkiego ratusza, według której „sprawiedliwością dziejową Polska odzyskała Kłodzko" w maju 1945 roku.

Asfalt pod moimi stopami kończy się nagle, przechodzi w mokry żwir. Trawy przy drodze cieszą się z obfitej ulewy, sięgają nieskoszone w stronę niskich chmur. Z drzew kapią mi na głowę ciężkie, głośne krople i swym uderzeniem burzą rytm stawianych na przemian stóp. Pod omszałym dębem klęczy i modli się gliniany putto, który wziął się pod drzewem nie wiadomo skąd. Istotka z zupełnie innego porządku ledwie wystaje zza wilgotnych mleczy, liści poziomek i zwracających się w jego stronę maleńkich żółtych kwiatów, jednakże przez swą obecność z dębiny, oczywistej na tym piętrze gór, czyni miejsce świętym, tworzy mikroskopijną świątynię Jowisza wplecioną w krajobraz *barbaricum*.

Na drodze kałuże, kamienie i błoto, przy drodze łubiny i dzika marchew. Gdy przebije się słońce, łąki odbijają światło jak jaskrawozielony neon, aż oślepiają intensywną świeżością. Niby wciąż Polska, ale w Pisarach (Schreibendorf) wystający zza drzew biały kościół, z kamiennym stuletnim krzyżem i poniemieckim denkmalem, za patrona obrał Świętego Wacława. I w głowie rozbrzmiewa hymn:

Svatý Václave, vévodo české země,
kníže náš, pros za nás Boha, svatého Ducha!
Kriste, eleison.

Wzbudza we mnie tęsknotę za Václavem Havlem, innym wielkim człowiekiem, który nosił to imię – ostatnim prezydentem Czechosłowacji i pierwszym wolnych Czech, który także umiłował Sudety (choć pod inną nazwą, bo ta w jego kraju źle się kojarzyła, przez lata była zakazana – Sudetenland przecież stanowił pretekst do rozbioru Czechosłowacji, więc słowo, które po czesku opisywało więcej niż tylko krainę, po drugiej wojnie na kilkadziesiąt lat zniknęło ze słownika). I zmarł w tych górach, w Hrádečku (Silberstein), niedaleko stąd – jakieś 80 kilometrów dalej, czyli półtorej godziny autem albo dwa–trzy dni piechotą.

W Pisarach w restauracji obok kościoła męczeńsko toną w gorącym oleju kłodzkie pstrągi, a zamiast czeskiego leją polskie piwo. Kilka kroków dalej opuszczony wielobranżowy pawilon z dykty i odpadającej papy przechowuje resztki różnych innych przemian i transformacji, niekoniecznie naturalnych, w tym tej lat 90.; stanowi nikłe wspomnienie krótkiego snu o szybkim bogactwie i półkach w pełni zatowarowanych po dekadach chronicznych niedostatków. Dawnego świata strzeże pokryte rdzą

okratowanie, jedyne linie proste pośród walącej się, gnijącej konstrukcji.

Serce Europy Środkowej. Długie, sudeckie chałupy padają pod ciężarem dziejów. Dachy niebezpiecznie się uginają, oblicówka trzeszczy, mury kruszeją, podpierają je jakieś dziwne struktury. Anteny, te zwykłe i talerzowe, dzielnie trzymają się skosów i starają dostroić do współczesnych sygnałów. Wzdłuż drogi, między kamieniami, blachą, gałęziami i starymi oponami bystro płynie Nysa Kłodzka – ta sama, która z powodu chmur z dalekiej Ligurii katastrofalnie czasem wzbiera. Ledwie dwa lata temu zatopiła dwa dworce w Bystrzycy Kłodzkiej (Habelschwerdt, Bystřice), znów zalała Żelazny Most w Kłodzku (Glatz, Kladsko), przykryła wodą Nysę (Neisse, Nisa) i kilka innych mniejszych lub większych wsi oraz miasteczek. A inna rzeczka, Biała Lądecka, w tym samym czasie w Lądku-Zdroju (Bad Landeck, Landek) pod naporem wody z przerwanej zapory utopiła „Nepomuka" (figurę Świętego Jana Nepomucena), który miał bronić uzdrowiska przed powodzią, tymczasem fala, gdy wpatrywał się w nurt, przewrotnie porwała go z przęsła zabytkowego mostu i nie odnalazł się do dziś. Może znajdzie się za kilkaset lat w wyschniętym po suszach korycie, jeśli wcześniej jego kamienia nie wyżre zrzucana do wód chemia.

Obok mnie bielona wapnem i kryta po okręgu gontem kapliczka przydrożna ma chronić przed inną klęską. W jej wnęce, jak w domu dla lalek, stoi kolekcja barwnych figurek, pstrokaty teatr świętych z wiejskiego jarmarku na tle pełnego powagi portretu Świętego Józefa. Nad nimi zaś góruje krzyż lotaryński – symbol ochrony przed zarazą, pewnie kolejną pandemią, choć może niesie i starszy przekaz. Dwa ramiona mogą przecież oznaczać o wiele więcej: wspomnienie słowiańskiej misji Świętych Cyryla i Metodego, ocierających się o Kłodzko i Śląsk Wielkie Morawy oraz księcia Świętopełka albo efemeryczne panowanie nad tymi ziemiami węgierskiego króla Macieja Korwina, którego kruk w końcu zdobił kiedyś wrocławski ratusz.

—

TUŻ PRZED WEJŚCIEM do Śnieżnickiego Parku Krajobrazowego drogę przebiega mi sarna, skrywa się w drzewach i wskazuje ścieżkę, którą mam odbić od szosy na wzgórze. Gdyby nie zwierzę, pewnie bym pobłądził, co często mi się zdarza, gdy chodzę po bezdrożach. Bywa, że przez błądzenie tracę czas, ale odkrywam nowe rzeczy. Widzę, że zaraz przy szlaku, na łące, wśród wysokiej trawy, ze słomki na słomkę skacze pliszka, jakby brała prysznic w deszczu. Trudno rozpoznać ptaka w ciągłym ruchu, ale z oddali wyróżniają ją jasna brew i brązowawy krawat.

Idę równolegle do granicy państwa, pnę się w górę stromym zboczem, którego nachylenie odczuwam zarówno ślizgającymi się w błocie stopami, jak i narastającym zmęczeniem, potem spływającym po twarzy wraz z deszczówką oraz szybkim, dudniącym biciem serca. Robię pauzy, by uspokoić oddech i dać choć chwilę wytchnienia ciężej pracującym mięśniom. Z 440 metrów nad poziomem morza robi się nagle 740, drzewa liściaste zastępują iglaste i patrzę na Czechy, a konkretniej na Heřmanice (Hermsdorf), z góry zwanej po polsku Opaczem, po czesku – Vyčnělkiem, a jeszcze wcześniej po niemiecku – Appenbergiem. Wypowiadane na głos słowa z różnych języków szum mokrych świerków miesza z deszczem. Spod gruntu coraz częściej sterczą skały, powstałe być może gdzieś na przełomie dewonu i kambru, gdy zderzyły się ze sobą kontynenty Bałtyki, Laurencji i Awalonii na planecie dziś noszącej nazwę Ziemi, Země, Erde, Earth, Föld, Terra, a wtedy bezimiennej, choć może przez kogoś podglądanej w innym czasie z odległych zakątków kosmosu. A las wygląda jak niekończące się nawy drzewnej katedry, minimalnie chroniącej mnie przed spadającą z nieba wodą.

Miejsce znaczy tablica, ustawiona w 2001 roku. Po polsku i niemiecku – rejestruję, że brakuje czeskiego – przypomina, że rzeki wypływające z tych gór na północ, zachód i południe wpadają do trzech różnych mórz: Bałtyckiego, Północnego i Czarnego.

Szczyt Opacza znaczy niewysoki kikut, pewnie wiatrołom, wokół którego bujnie rozrosły się młode buki. Ścieżka biegnie slalomem pomiędzy słupkami granicznymi, te zaś coraz bardziej chowają się za łubinami. Fioletowe, wystające z zieleni kwiaty, przywleczone kiedyś w dobrej wierze z Nowego Świata dla ozdoby tego starego, dziś dziczejące i ekspansywnie rozrastające się pośród łąk, tworzą kwietną granicę o wiele wyraźniejszą niż ta na mapach. Obok tej linii i niewyraźnego śladu drogi, teraz wyróżniającej się na polanie tylko srebrzystym odcieniem wydeptanych źdźbeł, rośnie spadająca w dolinę wraz z nachyleniem wzgórz łąka, pokryta złoto-liliowym morzem jaskrów oraz dzwonków. W deszczu pachnie wilgocią przemokniętych traw. Cicho szurają lecące z igieł krople. Zanim uderzą w ziemię, łapią je i rozpryskują pajęczyny, rozciągnięte nisko wśród łodyg niczym sito.

Odpoczywam i schnę pod dachem wiaty koło starej kapliczki, przypominającej antyczną budowlę z powodu mchu na kamieniu i wyrastających ze spoin pojedynczych słomek. Wyprzedza mnie biegacz pnący się z wysiłkiem pod górę, w oddali miga sylwetka kobiety bawiącej się z psem. Niewidoczną pod trawami drogę szybko i głośno rozjeżdża rolniczy pikap – rodem z amerykańskich filmów, mniej spodziewany w Europie Środkowej, tutaj na czeskich, nie amerykańskich tablicach. W środku dwóch mężczyzn o zaciętych twarzach; znikają wraz z autem za zakolem, pozostawiając za sobą ciągnącą się nad zielenią siwą chmurę spalin.

Żuk, którego czarny pancerz turkusowym odbiciem światła kieruje moją uwagę ku ziemi, na chwilę zatrzymuje się przed koleinami, by sprawdzić, czy nic nie przetnie jego trasy. Może z daleka słyszy odgłos moich kroków, może wystraszył go niknący powoli dźwięk silnika. Gdy się upewnił, że droga wolna i bezpieczna, koślawo stawiając owadzie odnóża, ruszył w płożące się kopce kostrzew, a potem zniknął gdzieś w krzewinkach pełnych niedojrzałych jagód i wśród poduszkowatych, kudłatych mchów coraz gęściej oblepiających wiekowe gnejsy. Zapadlisko w pobliżu Jasienia czy też Jeleniego vrchu – zależy skąd patrząc – niczym krater znaczy nieistniejącą na mapach dawną sztolnię. Dochodzą mnie coraz

wyraźniejsze męskie głosy. Najpierw swobodnie prowadzą dialog, potem jakby w reakcji na moje zbliżanie nagle się urywają.

W gęstwinie, pomimo ciszy, dostrzegam twarz chłopaka, na oko 16-letniego, o bladej twarzy i jasnej blond czuprynie wybijającej się spośród zieleni i brązów. Pozostałe części ciała ukrywa łaciaty mundur zlewający się z barwami otoczenia. Kiedy witam go i macham mu ręką, reaguje autentycznym zdziwieniem; wysokim głosem pyta, jakim cudem dostrzegłem go w tak dobrym maskowaniu. Więc tłumaczę, że uniform, choć ambitny, przegrał ze zbyt równo posadzonym lasem gospodarczym pogranicza i hałasem, jaki poprzedzał nasze spotkanie. Młodzieniec wyraził zawód głośnym komentarzem w stronę ukrytego w pobliżu kompana, ten zaś skwitował skargę wybuchem śmiechu.

Chłopak okazał się uczniem kłodzkiej mundurówki, której niższe klasy widziałem rano na stacjach kolejowych. Młodzi ludzie, wycieńczeni po ćwiczeniach, nerwowo w ukryciu palący papierosa za papierosem tuż przed wejściem do pociągu i zaraz po jego opuszczeniu przeżywali – jak mówił ich starszy kolega – organizowane tego dnia testy sprawnościowe. – Wie pan, jak to jest. Młodzi muszą je zaliczyć, żeby przejść do następnej klasy – wyjaśniał.

Potem rozmowa z chłopakiem zeszła na topografię najbliższej okolicy, którą miejscowi nasiąkali od urodzenia. Znali tu przecież każde drzewo i kamień, spotykali się w dziczy po zajęciach i w weekendy, dokładnie tak jak teraz. Nagle znikąd, jakby zgęstniała z powietrza albo skondensowała się z chmur, dołączyła do nich jeszcze para – chłopak z dziewczyną – z głośnikiem, z którego wydobywał się rytmiczny beat zwiastujący sobotnią potańcówkę. Zapytałem o źródła Nysy Kłodzkiej. Bez wahania wskazali kierunek, wyjaśnili z którego nurtu bezpieczniej zaczerpnąć czystej wody. Było blisko, zaledwie kilkaset kroków, musiałem tylko odbić z leśnego traktu na boczną, wydeptaną wśród młodych drzew ścieżkę, skąd w dół do celu doprowadzić mnie miało szemranie bystrej strugi.

Do rozwidlenia w kierunku Jodłowa (Thanndorf, Jodlov) poszliśmy w piątkę. Rozstaliśmy się, gdy spostrzegłem odejście prowadzące w dół zbocza.



– Z daleka pan idzie? – zapytał na pożegnanie blondyn.

– Z Międzylesia. Jeszcze został kawałek.

– A dokąd, jeśli można spytać?

– Do Schroniska na Śnieżniku.

– Że też się panu chce...

– Przestało padać i jest jakoś łatwiej.

– No to dobrej drogi i dobrej pogody!

– A wam udanej imprezy!

Disco z przenośnego głośnika powoli niknie, a ja zanurzam się w nieznaczoną odnogę w kierunku źródlisk. Stromą ścieżką kluczę między gałęziami, aby odkryć dwa łączące się nurty płytkiej rzeczki bijące spod skał. Zrzucam plecak, ściągam sandały i zagłębiam stopy w uformowanej z piasku misie, gdzie przejrzysta woda może je przykryć i zmrozić górskim chłodem. Obmywa mi zdrożone palce, łagodzi trud kilkugodzinnej pieszej wędrówki. Jak w rytuale moczę też ręce i głowę, które zdążyły w międzyczasie wyschnąć w przerwie od deszczu. Gdy wstrząsa mną lodowaty dreszcz, podchodzę w górę potoku, pod samo źródło. Spomiędzy opłukiwanych przez wodę mlecznych kwarców sprzed co najmniej pół miliona lat, prosto spod rozwijających się po nocy drobnych paproci, może samych paprotnic sudeckich, nabieram do manierki wody z wnętrza góry i piję łyk za łykiem.

Miejsce znaczy tablica, ustawiona w 2001 roku. Po polsku i niemiecku – rejestruję, że brakuje czeskiego – przypomina, że rzeki wypływające z tych gór na północ, zachód

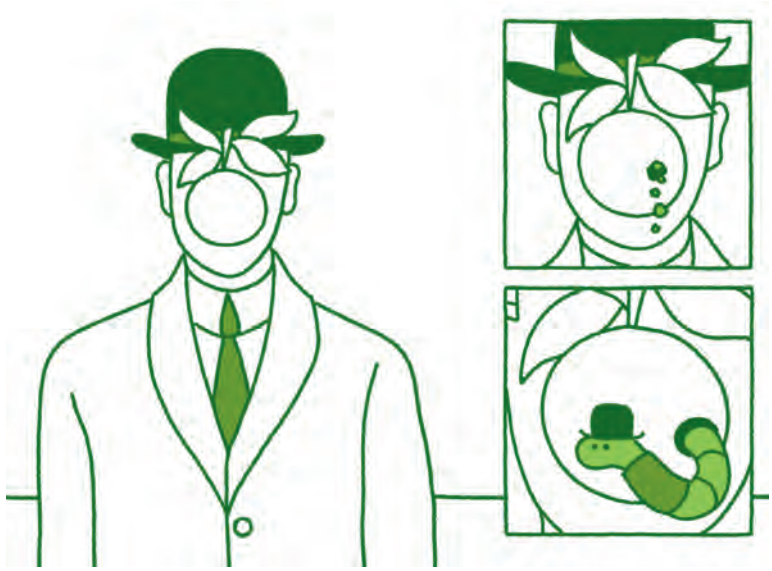
i południe wpadają do trzech różnych mórz – Bałtyckiego, Północnego i Czarnego. Nysa Kłodzka (Glatzer Neisse, Kladská Nisa) wpada do Odry, Orlica (Adler, Orlice) – do Łaby, a Morawa (March, Morava, Morva) – do Dunaju. Splatają żywioły zarówno wody i ziemi, mórz i gór, jak i środkowoeuropejskich kultur oraz języków: germańskich, słowiańskich i tych węgierskich.

Nysa Kłodzka na mapach miała wyznaczać kiedyś jeszcze jedną granicę. Gdy wielka trójka ustalała kształt świata po pokonaniu Hitlera i stawiała podwaliny nowego powojennego porządku, Churchill ze Stalinem rozważali, że Odra przetnie Wrocław na pół, na część polską i niemiecką, zupełnie jak jeszcze 100 lat wcześniej za czasów autora słownika wymierającego dialektu dolnośląskiego Baltazara Działasa, na Deutsche i Polnische Seite, a zachodnia Polska skończy się na Nysie. Politycy mocarstw nie ustalili jednak, która to będzie z Nys, więc fortelem oraz metodą *fait accompli*, gdy Sowieci i Polacy dotarli już do Berlina, Stalin orzekł, że miał na myśli położoną 150 kilometrów dalej Nysę Łużycką, a nie Nysę Kłodzką czy nawet nie Nysę Małą albo bystro płynącą przez Bolków (Bolkenhain) i Jawor (Jauer, Javor) Nysę Szaloną. Tym samym Czesi stracili ziemię kłodzką, Polska – Kresy i Zaolzie, Litwa – Zaniemnie, Niemcy – Śląsk, Sudety, Pomorze i Prusy, Europa zyskała pokój, Zachód z powrotem stał się Wschodem, tym razem pod wschodnim, nie zachodnim butem. Na mapach wszystko wyglądało pięknie i gładko, linie i kreski jakoś się zgadzały, dramaty zaś rozgrywały się w domach, obozach, na cmentarzach, wśród zgliszcz i w wędrówkach. Zupełnie tak samo jak w czasie huńskich najazdów z V wieku i wielkiej wędrówki ludów, gdy płonął Rzym i nikł pod presją ludów Północy, a Śląsk, Kłodzko i Sudety – wówczas jeszcze jako tkwiący gdzieś w głuszy Lasu Hercyńskiego ptolemejski Askiburgion, czyli zaznaczone na starożytnej mapie góry, utożsamiane z Sudetami, czy też znane tylko od nazw plemion ziemie Silingów, Wandalów, Lugiów i innych – kotłowały się od wielokierunkowych migracji.

Nysę Kłodzką, Lipkovský potok, czyli jeden z dopływów Cichej Orlicy, i Morawę dzieli od siebie ledwie kilkaset metrów. Źródła dwóch pierwszych właściwie leżą tuż obok siebie, po obu stronach tego samego granicznego kopca. Więc wysoka góra, na którą teraz powoli się wspinam, dostała po wojnie nazwę Trójmorskiego Wierchu, choć w Czechach przetrwało imię starsze – Klepáč, wcześniej Klappersteine, czyli Klepacz – od głuchych dźwięków, dochodzących z samego wnętrza góry, jakie wydaje położone na szczycie odkryte gnejsowe rumowisko. Kamienie ruszają się, jeśli na nich stanąć, po czym, gdy uderzają lub ocierają się jeden o drugi, wydają głębokie, niskie dźwięki, o czym przekonuję się, chodząc i skacząc po gołoborzu pod znaczącą szczyt wysoką drewnianą wieżą widokową.

Kolega w odpowiedzi na moją obserwację, dotyczącą zapamiętywania myśli w marszu, które nie giną od rana, bo nie konkurują z nimi doznania zewnętrzne, na które w mieście narażone są ciało i umysł, odparł: – My, perypatetycy, już tak mamy.

Po drodze na wierzchołek góry trzech mórz spotykam grupkę czeskich wędrowców. Obładowani jak himalajscy szerpowie ogromnym bagażem, spoceni, wycieńczeni, pną się mozolnie i narzekają na trudy wędrówki. W jednej z przerw, gdy wspólnie pokonując około 200-metrowe przewyższenie, łapiemy oddech, wspominają, że zmierzają aż na szczyt Śnieżnika, gdzie chcą rozbić obóz. Wyjazd zaplanowali na tydzień, pogoda trochę pokrzyżowała im plany, do tego nie są przyzwyczajeni do tak długich marszów, wyruszyli bowiem z Králíków (Grulich), czyli – podobnie jak ja – mieli już w nogach jakieś 13 kilometrów niemal ciągle pod górkę, a czekało ich jeszcze co najmniej siedem. Sam jestem solidnie obciążony, bo oprócz prowiantu i ubrań na wszelką pogodę dźwigam ze sobą komputer i tytuły, które wiozę z opolskiego Festiwalu Książki. A oni jeszcze niosą namioty, karimaty oraz niezwykły, wręcz groteskowy na szlaku zapas piwa, przez co ich obraz nabiera cech przerysowanego stereotypu Czecha. Czesi zaś z porównywalnym zdziwieniem patrzą, jak Polak szaleniec pokonuje błoto i wzniesienia w sandałach, z plecakiem i głową okrytymi nieprzemakalną, rozwiewaną przez wicher peleryną, podczas gdy oni idą w doskonale skrojonych outdoorowych strojach, wysokich traperach i wodoodpornych spodniach.



rysunek GABA PALICKA

Żarty w tym numerze powstały w ramach współpracy promocyjnej z **Braćmi Sadownikami**.

Jeden z Czechów, dość krępy, o pełnej twarzy, wyglądający na najbardziej wyczerpanego i najmniej przyzwyczajonego do chodzenia, na piersi ma dwa pasy. Przypominają bandoliery, co wraz z kryjącym jego głowę kapeluszem kojarzy mi się z wizerunkiem Pancho Villi, XIX-wiecznego przywódcy meksykańskiej rewolucji. Jednakże w odróżnieniu od latynoamerykańskiego bojownika Czechowi powagę odbiera zawartość pasów, bowiem wypchane są nie nabojami, a puszkami piwa, co z jednej strony zwiększa trudy wędrówki, z drugiej – stanowi zapowiedź nagrody za pokonanie dystansu i przewyższeń.

Przegoniłem ich, ale złapali mnie później na Klepaczu, skąd w chwili przejaśnienia podziwiałem krajobraz doliny Nysy Kłodzkiej i raz bardziej, raz mniej wyraźną panoramę leżących po drugiej stronie rzeki Gór Bystrzyckich oraz tysięczników Gór Orlickich. Postanowili się zatrzymać, nie mieli sił iść dalej w górę; uznali, że lepiej rozbić namioty koło wieży. Chyba podjęli dobrą decyzję, bo nie cisnęli naprzód wbrew własnym możliwościom, żeby potem tego żałować i cierpieć z bólu i przemęczenia. Nie ryzykowali też kar za biwakowanie w śnieżnickim rezerwacie, tak jak planowali wcześniej. Więc jeszcze przez chwilę wspólnie słuchaliśmy wiatru oraz klekoczących kamieni poruszających się, kiedy dotknęła ich ludzka stopa.

—

ZASTANAWIALIŚMY SIĘ wspólnie, po co właściwie chodzimy w góry, skoro często nas to przerasta. Dlaczego w ogóle ruszamy się z miejsca i docieramy gdzieś pieszo bez konkretnego celu? Widoki ze szczytów, o czym przekonaliśmy się sami w deszczowy, czerwcowy dzień, nie są w górach gwarantowane, raczej należy liczyć na łut szczęścia, gdy chmury odsłonią barwny widok kryjący się za ich monochromatyczną zasłoną. Marsz każe koncentrować się na tym, co wokół. Wysiłek fizyczny w otoczeniu natury stanowi dobre remedium na przebodźcowanie. Czasem w zmęczeniu brakuje sił, by sięgnąć po telefon, aby zrobić zdjęcie, a co dopiero nagrać rolkę lub napisać składną relację. Poznajemy za to naturalne barwy bez instagramowych filtrów, doświadczamy własnych ograniczeń i limitów, mamy szansę zajrzeć w głąb siebie. Wędrówka sprawia, że natłok myśli, który zbiera się w głowie, znika. Jednak zawsze jest to proces indywidualny, bo podróż – nawet jeśli odbywa się grupie – nabiera ostatecznego kształtu w głowie i w końcu w pamięci.

„Chodzenie, w wersji idealnej, jest stanem, w którym umysł, ciało i świat spotykają się z sobą, jak gdyby były trzema prowadzącymi rozmowę postaciami, trzema



dźwiękami niespodziewanie łączącymi się w akord. Wędrowanie pozwala nam na osadzenie się we własnym ciele i w świecie bez konieczności zajmowania się nimi. Daje swobodę myślenia bez niebezpieczeństwa całkowitego pogrążenia się i zatracenia we własnych myślach" – pisze Rebecca Solnit w *Zewie włóczęgi* (tłum. Anna Dzierzgowska, Sławomir Królak).

A ja w *Znikającej krainie* odnotowałem, że „podczas marszu jest czas, by patrzeć, dotykać, wąchać, smakować, rozmawiać, poznawać. To coś innego niż efemeryczne mignięcia rozmytego krajobrazu zza szyby pociągu, autobusu, samochodu, a nawet roweru, który też przecież wymaga koncentracji. Wędrówka na piechotę oczyszcza i wyostrza zmysły. Pozwala wieczorem spamiętać melodie nakreślonych rano słów". To w jakiś sposób pomaga mi lepiej zrozumieć innych wędrowców, którzy tak jak ja piszą i doświadczają świata za pomocą nóg – moich mistrzów literatury drogi: Patricka Leigha Fermora, Henryka Wańka, Roberta Macfarlane'a, Claudia Magrisa, W.G. Sebalda – i którzy przebytą w marszu gmatwaninę dróg splatają w gęstą opowieść.

Dlatego gdy ruszam na śląskie, kłodzkie, morawskie, czeskie i łużyckie ścieżki pogranicza – może precyzyjniej byłoby powiedzieć: ścieżki pograniczy, w liczbie mnogiej, bo nie mamy do czynienia z jedną granicą, w czasie, przyrodzie oraz historii istniało ich o wiele więcej – wyparowuje ze mnie chaos, a pojawia się spokój. Zwracam wtedy uwagę na detale, które w innych okolicznościach by mi umknęły. Kolega w odpowiedzi na moją obserwację, dotyczącą skutecznego zapamiętywania myśli w marszu, które nie giną od rana przez cały dzień w zalewie innych, ponieważ nie konkurują z nimi inne doznania zewnętrzne, na jakie zwykle, zwłaszcza w mieście, narażone są ciało i umysł, odparł: – My, perypatetycy, już tak mamy.

Najgłębsze myśli nie rodzą się przy biurku, lecz przychodzą z rytmem kroków stawianych pośród tych starych, jednych z najstarszych w świecie, wygładzonych przez czas i niepogodę sudeckich grzbietów oraz pustych górskich ścieżek. Arystoteles chodzący wraz z uczniami wokół Likejonu czy Henry David Thoreau w czasie wędrówek po Appalachach robili przecież to samo co ja teraz: szukali sensu w stawianiu na przemian stóp – i tak jak ja po wielu godzinach marszu odczuwali cały świat przez ból nóg.

Przeczytaj lub wysłuchaj także *Opowieść o dwóch miastach. Ushuaia* na **magazynpismo.pl/nowicki-damian**



FOTOREPORTAŻ

Zamrożone konflikty pod palącym słońcem

zdjęcia i tekst LEA GREUB

W MOIM PROJEKCIE staram się nadać ludzki wymiar podziałowi Cypru, opowiadając historie tych, których życie zostało przez ten rozłam ukształtowane.



Dostępna dla turystów część Warosii, opuszczonej po wybuchu konfliktu na Cyprze dzielnicy miasta Famagusta. Przez dziesięciolecia obowiązywał tam zakazu wstępu, częściowo zniesiony dopiero w 2020 roku



Krzew granatowca we wsi Lurukina. Jego liczne nasiona mieszczące się w jednym owocu symbolizują różnorodne społeczności żyjące obok siebie na wyspie



Flaga Tureckiej Republiki Cypru Północnego namalowana na górze położonej nieopodal podzielonej stolicy, Nikozji

Fotografuję życie na Cyprze Północnym, wyspie podzielonej od ponad 50 lat, czyli od czasu wojny domowej między greckimi a tureckimi Cypryjczykami. Część północna, znana jako Turecka Republika Cypru Północnego, nie jest uznawana na arenie międzynarodowej. Część południowa należy do Republiki Cypryjskiej. Tak zwana zielona linia przecina wyspę, czyniąc Nikozję jedyną na świecie podzieloną stolicą. Strefę buforową, która przebiega przez to miasto i obszary wiejskie, monitorują siły pokojowe ONZ.

Ten podział głęboko dotknął wioski takie jak Lurukina. Niegdyś była zamieszkana przez 5000 tureckich Cypryjczyków, a obecnie, po ustanowieniu granicy, żyje w niej zaledwie 170 osób. Zielona linia zamroziła tu czas, pozostawiając życie w zawieszeniu.

Swoimi zdjęciami dokumentuję warunki życia na okupowanej przez Turcję północy, skupiając się na militaryzacji, propagandzie i zależności regionu od tego kraju. Kultura tamtejszych Cypryjczyków jest niszczona poprzez wymuszoną islamizację i osadnictwo obywateli Turcji – działanie nielegalne w świetle IV Konwencji Genewskiej.

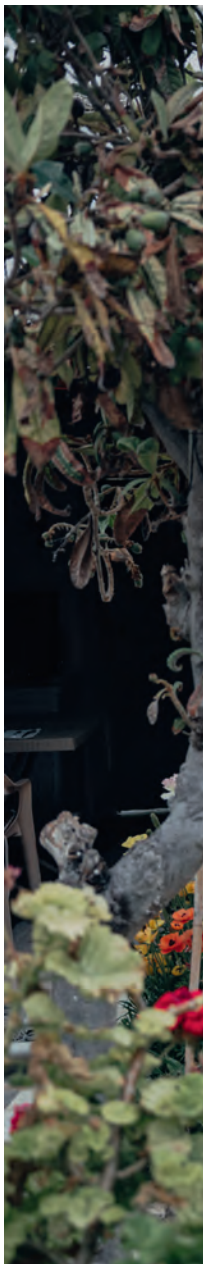
Pomimo wielu prób negocjacji i mediacji Cypr pozostaje głęboko podzielony, będąc ilustracją wyzwań, jakie niosą zamrożone konflikty we wszystkich regionach świata. Długa historia tego politycznego sporu sprawiła, że zarówno on sam, jak i jego ofiary zostali w dużej mierze zapomniani.

Cypr ma bogatą, wielokulturową przeszłość. Przed podziałem wyspy przez cztery stulecia w wielu miastach oraz wsiach greccy i tureccy Cypryjczycy żyli razem. Sąsiedzi utrzymywali ze sobą kontakty, handlowali i razem świętowali. Ich współistnienie nie było idealne, ale obie społeczności funkcjonowały żyły wspólnie przez prawie 400 lat. Mimo trwającej ponad pół wieku rozłąki źródłem nadziei dla Cypryjczyków wciąż pozostają wspólne korzenie.

LEA GREUB, fotografka dokumentalna, mieszka w Berlinie i Tbilisi. Jej projekty eksplorują zagadnienia społeczno-polityczne i queerowo-feministyczne, politykę europejską oraz temat granic poprzez krytyczną analizę kwestii przywilejów i migracji. Studiowała w Szkole Projektowania w Münsterze, a w 2025 roku ukończyła Ostkreuzschule für Fotografie w Berlinie. Przez sześć miesięcy była fotografką-rezydentką w redakcji „DIE ZEIT". Brała udział w międzynarodowych wystawach, m.in. na festiwalach Photo Elysée i Les Rencontres d'Arles. Jest laureatką stypendium studenckiego im. W. Eugene'a Smitha 2024 i została wybrana do FUTURES Photography.

Mete Alp, turecki Cypryjczyk, którego rodzina była zmuszona do porzucenia domu w czasie wojny w 1974 roku. Wychował się w wiosce Lurukina, ale po zakończeniu konfliktu nie mógł wrócić ze względu na panujące tam trudne warunki życia







Sultan Barbaros czeka przy kuchennym oknie na resztki jedzenia dla swoich kur



Sengül pije kawę ze swoimi sąsiadami pod dachem szopy na narzędzia. Zaraz ruszą do pracy w polu





Dzieci bawią się przed domem w Nikozji, obwieszonym polityczną propagandą: widzimy turecką flagę, flagę Tureckiej Republiki Cypru Północnego oraz portret prezydenta Turcji Recepa Tayyipa Erdoğana

Żołnierze sił zbrojnych Tureckiej Republiki Cypru Północnego po paradzie, która odbyła się w północnej części Nikozji, wciąż podzielonej stolicy wyspy



Czołgi na wzgórzu nieopodal Lurukiny. Nawet po 50 latach pozostałości wojny domowej są wciąż widoczne w wielu częściach wyspy



Sengül siedzi na plastikowym fotelu w swojej wiosce, pijąc herbatę i gawędząc z sąsiadami – dzień jak każdy inny





Rzeczy osobiste porzucone w opuszczonym domu w Lurukinie



Plaża w Warosii. Niegdyś magnes na turystów, po tureckiej inwazji w 1974 roku stała się miastem widmem

Wernera Herzoga, złodzieja kamery

tekst ADAM ROBIŃSKI

ABY KINO POZOSTAŁO świeże i żywe, czasem trzeba na nie spojrzeć z dystansu – mówi bawarski reżyser.

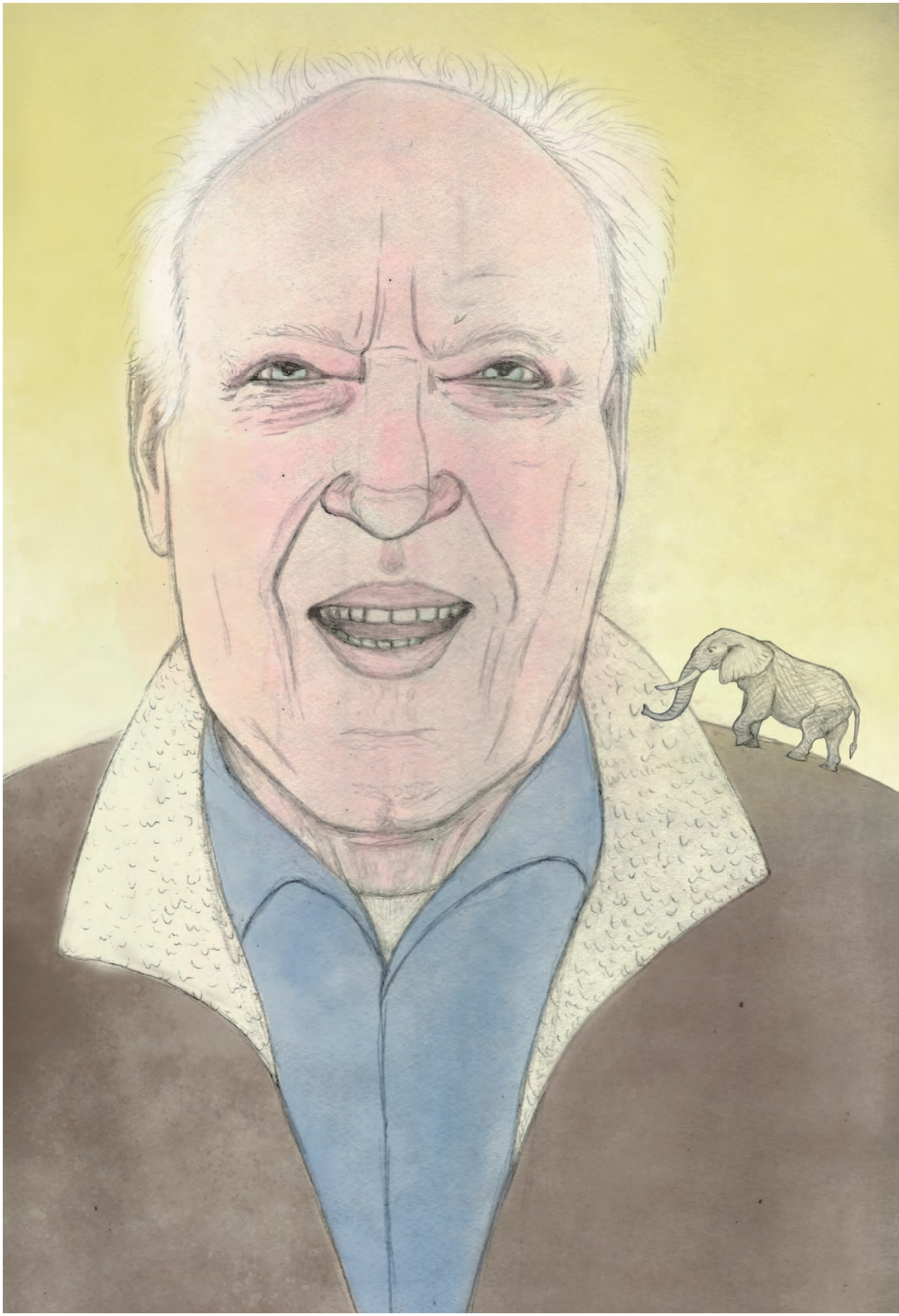
Trzy pluszowe świstaki noszą pseudoludowe stroje w stylu alpejskim. Wchodząc w rolę konferansjera, Werner Herzog nonszalancko opiera się łokciem o półkę. „Kilka lat temu moja żona Lena ofiarowała mi taki prezent na urodziny. Oto moi bawarscy muzykanci, chciałbym, aby zagrali również dla Was" – mówi, a potem uruchamia każdą z zabawek: akordeonistę i dwoje jodłujących tancerzy. Koncert trwa raptem 20 sekund, podczas których operator kamery – być może jest nim wspomniana małżonka – z trudem hamuje wybuch śmiechu. Gdy muzykanci milkną, Herzog dorzuca jeszcze jedno zdanie komentarza: „Wierzcie lub nie, ale bardzo ich lubię".

Dziś instagramowa rolka ma już 134 tysiące polubień i prawie 1200 entuzjastycznych komentarzy – niemało jak na filmik zamieszczony przez kogoś, kto wszedł w świat platform społecznościowych po to, by go obśmiewać. To ostatnie jest jasne dla każdego, kto widział internetowy debiut Herzoga. 25 sierpnia 2025 roku reżyser nadaje z ogrodu. Na ruszcie skwierczy stek, obok paleniska czekają na swoją kolej ziemniaki zawinięte w folię aluminiową. Trzymając ręce w kieszeni, Bawarczyk wygłasza coś na kształt *exposé*: „Nazywam się Werner Herzog. Bywam pytany, dlaczego pozostaję nieobecny w mediach tradycyjnych i społecznościowych. Nie używam telefonu komórkowego i tego typu urządzeń, ale mam przeczucie, że powinienem dzielić się z wami moją pracą i codziennymi sprawami". Filmik spotyka się z jeszcze większym aplauzem niż występ pluszowej orkiestry. W komentarzach przewijają się podziękowania i peany na cześć autora, przeplatane określeniami typu „legenda" oraz „ikona". Choć Instagram zdaje się za jego sprawą płonąć, reżyser nijak się do tego wzmożenia nie odnosi. Nie dowiadujemy się też, czy steki podaje krwiste, czy dobrze wysmażone.

Jest taki wyświechtany frazes, wedle którego lista czyichś osiągnięć mogłaby wypełnić nie jedną, lecz kilka biografii. W przypadku 84-letniego niemieckiego reżysera nie chodzi o sukcesy zawodowe – choć i tych ma na koncie dużo – ale raczej o kreatywność zdumiewającą u kogoś, kto najbardziej produktywny czas w życiu dawno powinien już mieć za sobą. Instagramową twórczość Herzoga można nazwać wygłupami, ale można też na nią spojrzeć jak na zmyślne wykorzystanie nowego medium do podtrzymania wizerunku ekscentryka.

Być może impulsem do wejścia w świat nowych mediów stała się dla reżysera zdumiewająca popularność krótkiej sceny ze *Spotkań na krańcach świata*, nakręconego w całości w Antarktyce dokumentu z 2007 roku. Herzog wraz z operatorem Peterem Zeitlingerem wysiedli wówczas z samolotu na terytorium amerykańskiej stacji naukowo-badawczej McMurdo na Wyspie Rossa, nieopodal największego szelfowego lodowca na świecie. Nie mieli scenariusza, ich plan zakładał wkupienie się w łaski pracujących na miejscu naukowców – między innymi biologów, geologów, wulkanologów,

WERNER HERZOG, właśc. WERNER STIPETIĆ, niemiecki reżyser filmowy, teatralny i operowy, aktor, pisarz i poeta. Twórca filmów fabularnych i dokumentalnych, m.in.: *Fitzcarraldo*, *Operacja świt*, *Spotkania na krańcach świata*, *Jaskinia zapomnianych snów*.



rysunek OLGA NOWOTNIK

ADAM ROBIŃSKI, pisarz, autor książek non-fiction, m.in. *Hajstry. Krajobraz bocznych dróg*, *Kiczery. Podróż przez Bieszczady*, *Pałace na wodzie. Tropem polskich bobrów* oraz *Puszcza domowa. Co kryje Kampinos*. Opublikował również powieść dla dzieci *Wodyseja*. W 2026 roku ukazała się jego książka *Faronauci. Dookoła Bałtyku*.

glacjologów – a następnie opowiedzenie ich słowami o tym, co gna człowieka na sam spód globusa. Choć dokument obfituje w niepowtarzalne ujęcia, kręcone na przykład podczas nurkowania pod lodem, jego wizytówką stała się scena z samotnym pingwinem białookim (zwanym też pingwinem Adeli), który porzuca kolonię i żerowiska na wybrzeżu kontynentu, by wędrować w głąb antarktycznego interioru. Herzog, który jest tu jednocześnie reżyserem i narratorem, nazywa go zza kadru obłąkanym, przekonuje, że ptak idzie na pewną śmierć. Wreszcie zawiesza głos, by po chwili zapytać: *But why?* („Ale dlaczego?"). Zupełnie jakby to była telewizja kryminalna i chodziło o jakąś zbrodnię.

Choć *Spotkania na krańcach świata* pochodzą z czasów przed platformami społecznościowymi, to właśnie te media dały filmowi drugie życie wiralu. Wyrwany z kontekstu klip był wielokrotnie komentowany, przerabiany, cytowany. Pingwina ochrzczono mianem nihilisty, a samozwańczy demaskatorzy nazywali scenę mistyfikacją. Sęk w tym, że skłonność do koloryzowania i dopowiadania to stały element warsztatu reżysera.

Film Herzoga *Rekolekcje na temat mroku* z 1992 roku otwiera zmyślony cytat z francuskiego matematyka Blaise'a Pascala („Upadek wszechświata nastąpi – podobnie jak jego stworzenie – ze spektakularnym rozmachem"); film jest kompilacją zdjęć z płonących szybów naftowych podczas wojny w Zatoce Perskiej, Kuwejt udaje tu obcą, niezdatną do zamieszkania planetę. Z kolei w ostatniej scenie *Jaskini zapomnianych snów* (2010), opowieści o naskalnych malowidłach z paleolitu odkrytych na południu Francji, widzimy albinotyczne krokodyle, niemające żadnego związku z treścią filmu, ale dające mu zaskakującą puentę o apokalipsie. Te i inne dopowiedzenia reżyser nazywa stylizacjami.

—

CAŁE PIĘKNO TAKICH SCEN polega na tym, że każde moje zmyślenie czuć na kilometr. Nie muszę nic tłumaczyć, widz i tak je rozpozna – mówi Herzog „Pismu". Jest druga połowa marca. Ja siedzę przed komputerem w swoim warszawskim mieszkaniu, on – w zapełnionym książkami gabinecie w Los Angeles. To nie są komfortowe warunki do rozmowy, zwłaszcza że lista moich pytań nie ma końca. Ale takich propozycji się nie odrzuca – nawet jeśli mowa o raptem kilkudziesięciu minutach wideokonferencji. W dodatku z zastrzeżeniem, że rozmawiać mamy wyłącznie o jego nowym filmie – dokumencie *Sny o słoniach* (polska premiera miała miejsce półtora miesiąca po naszej rozmowie, podczas festiwalu kina dokumentalnego Millennium Docs Against Gravity, a w czerwcu film wszedł do szerokiej dystrybucji).

Zegar tyka, wiem, że po mnie na wywiad czeka dwoje innych polskich dziennikarzy. Sam Herzog również wydaje się zdyscyplinowany. Jego odpowiedzi są krótkie i konkretne, brzmi jak ktoś, kto wszystkie poruszane kwestie wygłaszał już wielokrotnie. Nie zastanawia się i nie uśmiecha. Być może tak właśnie wygląda zimny hollywoodzki profesjonalizm – sumienne spełnienie obowiązku promocyjnego.

Sny o słoniach to dokument o południowoafrykańskim badaczu nazwiskiem Steve Boyes, którego życiową obsesją stało się odnalezienie największych na świecie słoni na odludnym płaskowyżu Angoli. Jedną z niewielu poszlak jest tu wypchany eksponat ochrzczony imieniem Henry, który wita gości w waszyngtońskim Muzeum Historii Naturalnej. Boyes z pomocą namibijskich tropicieli z ludu San usiłuje przyłapać krewnych Henry'ego na gorącym uczynku istnienia. W *Snach o słoniach* wybrzmiewają echa jednej z głównych artystycznych fascynacji Herzoga: opowiadania o ludziach ogarniętych obsesją, takich, których pozornie nierealizowalny cel zmusza do nadludzkiego wysiłku.

Długą listę podobnych bohaterów otwiera tytułowa postać z filmu *Fitzcarraldo* z 1982 roku – magnat kauczukowy, który postanawia zbudować operę w samym środku Puszczy Amazońskiej. Na liście znajdują się również między innymi: Walter Steiner, niemiecki skoczek narciarski marzący o rekordzie w długości lotu, bohater filmu *Wielka ekstaza snycerza Steinera* z 1974 roku; Timothy Treadwell usiłujący zaprzyjaźnić się z niedźwiedziami grizzly i przez nie zjedzony (Herzog opowiedział o nim w dokumencie *Grizzly Man* z 2005 roku)



rysunek GABA PALICKA

Żarty w tym numerze powstały w ramach współpracy promocyjnej z **Braćmi Sadownikami**.

czy konstruktor Graham Dorrington, który postanowił przelecieć balonem nad gujańską dżunglą, uwieczniony w *Białym diamencie* nakręconym w 2004 roku. Wróćmy jednak do najnowszego filmu.

– Punktem wyjścia dla tej historii było poszukiwanie słoni. Od początku towarzyszyło mi też kluczowe z punktu widzenia filmu pytanie: czy warto za wszelką cenę realizować swoje marzenia? – opowiada Herzog. – A może lepiej, by czasem pozostały niezrealizowane, dzięki czemu ich nie tracimy? Pod koniec filmu, gdy Boyes w końcu zdobywa niezbity dowód na istnienie słonia zjawy, komentuję zza kadru, że teraz będzie musiał żyć z tym sukcesem. Gdy tylko zetknąłem się z materiałem, spotkałem Steve'a i pracujących z nim tropicieli, stało się dla mnie jasne, że to będzie główny temat filmu: pytanie o sens realizacji marzeń. Reszta to już kwestia tego, co dzieje się na planie, w terenie. Kręcąc taki film, musisz wiedzieć, czego szukasz. I musisz być szybki. W ciągłej gotowości do zarejestrowania tego, co się wokół ciebie dzieje. Nawet jeśli czasem te zdarzenia i obrazy nie są oczywiste.

– Czy w *Snach o słoniach* są jakieś stylizacje, o których jest pan gotów mówić? A może woli pan, by widzowie odkrywali je sami? – pytam.

– Przeprowadziliśmy długi casting, z rodzaju tych, które zazwyczaj robi się do filmów fabularnych. Szukaliśmy tropicieli i innych bohaterów, takich jak angolski król. To są procedury stosowane podczas pracy nad fikcyjnymi fabułami, tymczasem tu mamy do czynienia z dokumentem – mówi Herzog. I dodaje: – Poza tym każdy film ma własne potrzeby. One się ujawniają po zarejestrowaniu materiału, bezpośrednio z niego wynikają. Nie jest tak, że narzucam filmowi swoją wolę i kształtuję go według własnych oczekiwań. Wszystko zależy od zrealizowanych zdjęć. To one są punktem wyjścia.

– Można to skwitować parafrazą słów jednego z bohaterów powracających w pana twórczości, pruskiego generała Carla von Clausewitza. W traktacie *O wojnie* napisał on, że czasami wojna śni o sobie, przez co staje się rzeczywistością. Być może i film musi sam się wyśnić?

– Cieszę się, że rozszerza pan znaczenie tego cytatu, choć nie mam pewności, czy Clausewitz kiedykolwiek tak powiedział. Od paru dekad powołuję się na to zdanie, ale nikt nie potrafi znaleźć jego źródła. Więc może sam to w imieniu Clausewitza wymyśliłem? I tak mocno uwierzyłem w prawdziwość cytatu, że z czasem o tym zapomniałem? Dziś to nieważne. Na tym polega piękno poezji. I piękno filmu. To wszystko jest też w *Snach o słoniach*.

– Powiedział pan kiedyś, że powinniśmy wysłać w kosmos poetów, bo tylko oni są w stanie przywieźć nam stamtąd coś nowego. Czy poświęcając się pracy nad filmem takim jak *Sny o słoniach*, liczy pan na znalezienie nowych, wartych pokazania obrazów? A może chodziło po prostu o opowiedzenie fascynującej historii?

– To trudne pytanie, bo przy każdym filmie musiałbym udzielić innej odpowiedzi. W tym przypadku najważniejsza była opowieść. Co nie znaczy, że nie mamy zdjęć, jakich nikt nigdy wcześniej nie pokazał – mówię tu przede wszystkim o ujęciach słonia kroczącego pod wodą, to niezwykle piękne kadry. Zazwyczaj więc chodzi o połączenie wciągającej historii z efektownymi zdjęciami. Jednak przede wszystkim zajmuję się storytellingiem.

Wspomniane ujęcia powstały w dość płytkim jeziorze, dzięki czemu operator był w stanie iść po dnie w wodzie sięgającej ramion, wyposażony w kamerę „trochę bardziej zaawansowaną niż GoPro", jak tłumaczy mi Herzog.

– Musi pan wyobrazić sobie miotłę, na której końcu zamiast szczotki znajduje się kamera – ciągnie reżyser. – Słonie pasą się w takich płytkich jeziorach, szukają w nich różnych roślin, a my możemy to podejrzeć. Nie wykazują agresji, bo nie czują się zagrożone. Reszta to kwestia cierpliwości i pewnie odrobiny odwagi.

Jestem łącznikiem pomiędzy czasami preindustrialnymi a dzisiejszym światem – mówi Herzog.

—

DYSPONOWANIE TĄ odrobiną odwagi, o której mówi Herzog, wydaje się nieodzowne w przypadku kogoś, kto – tak jak on – przyszedł na świat podczas drugiej wojny światowej. Urodził się w Monachium jako Werner Stipetić, w rodzinie Niemca i Austriaczki o chorwackich korzeniach. Gdy aliancka bomba zniszczyła sąsiedni dom, razem z matką i braćmi wyjechali do zapyziałej górskiej wioski Sachrang, by przeczekać niebezpieczeństwo, i zostali tam na 11 lat.

W wywiadzie rzece, którego udzielił Peterowi Croninowi na potrzeby wydanej w 2014 roku książki *Werner Herzog – A Guide for the Perplexed* (*Werner Herzog – przewodnik dla zagubionych*), reżyser odmalował swoje dzieciństwo jako czas dojmującej biedy. W domu nie było bieżącej wody, a spało się na materacach zrobionych z worków wypchanych suchą paprocią. Do 12. roku życia młody Werner nie miał pojęcia, czym jest banan, pierwszą rozmowę telefoniczną odbył jako 17-latek („Do dziś podskakuję na dźwięk dzwonka telefonu"), a o istnieniu kina dowiedział się, gdy w ich jednoklasowej szkole pojawił się obwoźny projektor. Zimą budził się pod kocem zesztywniałym od lodu, a gdy śnieg zasypywał drzwi, wychodził z domu przez okno.

Pod nieobecność ojców wioskowe dzieci cieszyły się niemal nieskrępowaną wolnością. „Nasza wyobraźnia nie znała granic, wciąż wymyślaliśmy i budowaliśmy sobie zabawki. Pamiętam uczucie latania, gdy bujałem się na huśtawce zawieszonej na wielkim drzewie za domem. Karabiny i schowki na broń – pozostałości

po żołnierzach SS – służyły nam do zabawy, któregoś razu wysadziliśmy w powietrze jakąś rurę kanalizacyjną. Byłem członkiem lokalnego gangu, składającego się z około dwanaściorga dzieci, w tym jednej dziewczynki, którą bardzo szanowaliśmy – taka była twarda. Razem jako grupa wymyśliliśmy coś na kształt płaskiej strzały z bukowego drewna. Nie wiedzieliśmy nic o aeronautyce, ale mimo to sprawiliśmy, że to cudo latało na spore dystanse. Rzucałem je ruchem przypominającym uderzenie bicza, a ono żeglowało w powietrzu na ponad 120 metrów. Po obiedzie matka – latem czy zimą – wysyłała mnie i brata na zewnątrz, nieważne, jak było chłodno, i nie pozwalała nam wracać przez kilka godzin. Była przekonana, że to dobre dla naszych organizmów. W dzieciństwie mnóstwo czasu spędzałem sam i wykształciłem w sobie głębokie poczucie samodzielności" (tłum. A.R.).

W innym wywiadzie, udzielonym w 2020 roku dziennikarzowi „New York Timesa", twierdził, że należy do wyjątkowego pokolenia: „Jako dziecko widywałem herolda, który szedł ulicą i wołał: «Ogłoszenie! Ogłoszenie! Jeśli chcecie dostać dofinansowanie do nowego szamba, godziny otwarcia będą wtedy i wtedy». Jestem łącznikiem pomiędzy preindustrialnymi czasami heroldów a dzisiejszym światem".

Podobno od młodości wiedział, że zostanie filmowcem, a wszystkiego, czego potrzebował, by zacząć, dowiedział się z paru stron encyklopedii. Pierwszą kamerę rzekomo ukradł z zasobów Monachijskiej Szkoły Filmowej („Nie nazywam tego kradzieżą. Egzekwowałem prawo do używania kamery zgodnie z jej przeznaczeniem" – podkreślał przy okazji promocji filmu *Aguirre, gniew boży* z 1972 roku).

Przytoczone powyżej anegdoty doskonale obrazują stosunek reżysera do faktów, także tych z własnej biografii. W jego twórczości nie ma bowiem miejsca na tematy przyziemne i pospolite. Herzog opowiada o łamaniu prawa albo o mrożących krew w żyłach zdarzeniach, jakby stanowiły prozę życia. W niektóre trudno byłoby uwierzyć, gdyby nie zarejestrowała ich kamera. W 2006 roku Herzog został postrzelony w brzuch z wiatrówki w trakcie udzielania na ulicy w Los Angeles wywiadu dla BBC. Nie przerwał wtedy rozmowy, a kilkanaście lat później pracownik brytyjskiej telewizji zasugerował, że zdarzenie zostało ukartowane.

Na pewno nikt nie sfabrykował za to wypadku samochodowego z udziałem 31-letniego wówczas Joaquina Phoenixa. Jego auto dachowało, ale aktorowi nic się nie stało, więc – wciąż uwięziony między poduszkami powietrznymi – postanowił zapalić papierosa. Wtedy usłyszał nad sobą głos zabarwiony niemieckim akcentem: „Tylko spokojnie". To był Herzog – mieszkał nieopodal i stał się przypadkowym świadkiem zdarzenia. Nachylił się nad Phoenixem i wyrwał mu zapalniczkę, tym samym najprawdopodobniej ratując aktorowi życie, bo z uszkodzonego auta na jezdnię sączyła się benzyna. „Chciałem mu potem podziękować – relacjonował Phoenix w mediach – ale gdy w końcu wyszedłem z auta, już go nie było".

Ów spokojny „głos zabarwiony niemieckim akcentem" stał się zresztą wizytówką reżysera. Początkowo Herzog był głównie narratorem własnych filmów, z czasem jego talent w tej dziedzinie docenili także inni twórcy. Dubbingował postaci w serialach animowanych, takich jak *Simpsonowie*, *Rick i Morty* czy *Amerykański tata*. Grywał czarne charaktery w produkcjach zupełnie spoza własnej bajki – wystąpił u boku Toma Cruise'a w *Jacku Reacherze* oraz... Baby Yody w *Mandalorianie*, serialu Disneya ze świata *Gwiezdnych wojen*. Pojawił się też w komediowym *Parks and Recreation*.

Przy pracy nad filmami Herzog nie korzysta ze scenariuszy. Zastępują mu je prozatorskie kawałki przypominające powieści.

O DZIAŁALNOŚCI ARTYSTYCZNEJ Herzoga napisano całe tomy. Uwagę opinii publicznej przykuwała między innymi jego wieloletnia współpraca z Klausem Kinskim – patologiczna relacja reżysera z aktorem przemocowcem, której efektem były genialne role tego drugiego we wspomnianych już filmach *Fitzcarraldo* i *Aguirre, gniew boży*, ale też *Nosferatu wampir* (1979), *Woyzeck* (1979) czy *Cobra Verde* (1989). Albo równie symptomatyczne angażowanie do filmów niejakiego Brunona Schleinsteina figurującego na listach płac jako Bruno S.), naturszczyka, który sporą część dzieciństwa spędził w instytucjach dla osób chorych psychicznie (u Herzoga zagrał w *Zagadce Kaspara Hausera* z 1974 roku oraz w zrealizowanym trzy lata później *Stroszku*). Bawarski reżyser znany jest z nietypowych pomysłów, takich jak hipnotyzowanie aktorów podczas kręcenia obyczajowego *Szklanego serca* (1976). Z kolei druga fabuła w jego karierze, wyprodukowany w 1970 roku za 200 tysięcy dolarów film *Nawet karły były kiedyś małe*, opowiada o grupie osób niskorosłych wszczynających rebelię w odciętym od świata tajemniczym ośrodku. Film, w którym występują niemal wyłącznie osoby dotknięte karłowatością, z dzisiejszej perspektywy jawi się jako wyjątkowo obrazoburczy.

Herzog pracował na wszystkich kontynentach, zmuszając ekipy do niemal nadludzkiego wysiłku. A jednak na uwagę, że towarzyszy mu sława reżysera wyjątkowo wymagającego, zwykł odpowiadać, że nie robi rzeczy niemożliwych do zrealizowania: *I do the doable* („Robię to, co jest wykonalne").

Początkowo realizował przede wszystkim filmy fabularne, tylko okazjonalnie zwracając się w stronę dokumentu (można tu wymienić na przykład tytuły *Fata Morgana* z 1971 czy *Wielka ekstaza snycerza Steinera* z 1974 roku). Z czasem proporcje się odwróciły – choć

w fabułach Herzoga pojawiały się najgłośniejsze hollywoodzkie nazwiska, takie jak Nicole Kidman i Robert Pattinson (*Królowa pustyni*, 2015), Nicolas Cage (*Zły porucznik*, 2009) czy Christian Bale (*Operacja Świt*, 2009), to kino dokumentalne stało się główną areną jego samorealizacji. Od początku żonglował gatunkami, wielokrotnie podkreślając, że granica pomiędzy fikcją a dokumentem jest dla niego równie bezsensowna jak linia poprowadzona przez środek pustyni, by oddzielić od siebie dwa państwa.

W *A Guide for the Perplexed* tłumaczy: „Moje dokumenty to zwykle fabuły w przebraniu. Każdy z moich filmów bierze sobie fakty, bohaterów i opowieść, a potem bawi się nimi w podobny sposób. Uważam *Fitzcarraldo* za swój najlepszy dokument, a *Mały Dieter chciałby latać* za najlepszą fabułę. Oba są bardzo wystylowane, to owoce bujnej wyobraźni". Żywą ilustracją tego podejścia może być *Incydent w Loch Ness* Zaka Penna z 2004 roku. Film opowiada o prawdziwym reżyserze – Herzogu – który kręci w Szkocji zmyślony dokument na temat legendarnego potwora z jeziora. Całość jest tak zwanym mockumentem, czyli parodią kina opartego na faktach, i kończy się atakiem bestii na ekipę filmową.

Przy pracy nad swoimi obrazami – zarówno dokumentalnymi, jak i fabularnymi – Herzog nie korzysta ze scenariuszy. Zastępują mu je prozatorskie kawałki przypominające powieści – ich zbiór zatytułowany *Nowele filmowe* w 2024 roku został wydany również w Polsce nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

To zresztą nie jedyna książka reżysera. Przez długi czas za swoje najlepsze dzieło, przewyższające wszystkie filmy, uważał *Conquest of the Useless: Reflections from the Making of Fitzcarraldo* (*Podbój bezużytecznego. Refleksje z realizacji Fitzcarralda*), dziennik z planu tytułowego filmu. („Filmy to moje podróże, pisanie – mój dom" – mówił w 2003 roku dziennikarzowi „Guardiana"). Uznaniem cieszy się także *Of Walking in Ice* (*Spacerując po lodzie*) z 1978 roku, zapis pieszej wędrówki Herzoga z Monachium do Paryża. Pod koniec listopada 1974 roku reżyser dowiedział się o chorobie swojej przyjaciółki Lotte Eisner, nestorki niemieckiej krytyki filmowej. W jednej chwili spakował się do podróżnego worka i wyposażony w kompas ruszył na zachód, mając przed sobą niemal 800 kilometrów drogi. To było coś na kształt świeckiej pielgrzymki – Herzog wierzył, że dopóki będzie szedł, dopóty Eisner pozostanie przy życiu. Był w tej podróży włóczęgą, sypiał w stodołach, karczmach i opuszczonych domach, do których się włamywał. Gdy w połowie grudnia dotarł do Paryża, Lotte nie było już w szpitalu – wyszła z niego w dobrym stanie. Ostatni wpis w książce pochodzi z 14 grudnia. Herzog odwiedza Eisner w jej domu. Jest zawstydzony i skrajnie zmęczony – przyjaciółka podsuwa mu drugie krzesło,

NA SKRAJU

5 BYDGOSKIE DNI PROJEKTOWE b

Kiedy stoimy na skraju, co znajduje się za horyzontem?

Save the date!

9-11.10.2026
Młyny Rothera | Bydgoszcz

MŁYNY ROTHERA

Zajrzyj na stronę
bydgoskiedniprojektowe.pl

by mógł położyć na nim nogi. „Otwórz okno. Od dziś potrafię fruwać" – mówi wreszcie reżyser i tymi słowami kończy relację.

Historia ta ma jednak dalszy ciąg. Osiem lat później Eisner zadzwoniła do Herzoga z prośbą o spotkanie. Tym razem przyjechał pociągiem. Miała 87 lat, była niemal niewidoma, nie mogła czytać ani oglądać filmów, a tym samym czerpać przyjemności z życia. Wyjaśniła, że rzucił na nią zaklęcie i teraz powinien je odwołać, bo ona „czuje się nasycona życiem". Bawarczyk uczynił to bez wahania, osiem dni później kobieta zmarła.

—

EKSTAZA, od starogreckiego *ekstasis*, to stan uniesienia połączony z utratą poczucia rzeczywistości, często wiązany z obrzędami religijnymi. W chwili ekstazy człowiek doświadcza głębszej więzi ze światem, jakby zajrzał za zasłonę i zobaczył niewidzialne na co dzień składowe istnienia. Herzog nigdy nie ukrywał, że cała jego twórczość jest poszukiwaniem takich właśnie momentów. Nazywa je „ekstatyczną prawdą", którą przeciwstawia kurczowemu trzymaniu się nudnych faktów – te z kolei określa mianem „prawdy księgowych".

Swoje *credo* wyłożył w manifeście z 1999 roku. Nazwał go *Deklaracją z Minnesoty*, bo właśnie tam tekst został wygłoszony po raz pierwszy. W 12 punktach reżyser tłumaczy swój artystyczny światopogląd, pastwiąc się między innymi nad zwolennikami cinéma-vérité, nurtu w kinematografii, który zakłada bezwzględną wierność wydarzeniom, przyglądanie się światu takiemu, jaki jest. Wyposażeni w przenośne kamery i mikrofony twórcy cinéma-vérité – należeli do nich między innymi Jean Rouch i Edgar Morin – chcieli przede wszystkim swobodnie rejestrować to, co dzieje się dookoła, w żaden sposób nie ingerując w przebieg zdarzeń. Z Herzogiem łączyła ich rezygnacja ze scenariusza – i nic poza tym.

„Na mocy deklaracji tak zwane cinéma-vérité jest pozbawione prawdy. Dociera jedynie do prawdy powierzchownej, prawdy księgowych" – przekonuje Herzog w pierwszym punkcie deklaracji. W kolejnym porównuje anonimowego reżysera wspomnianego nurtu do stróża nocnego w Sądzie Najwyższym, który utyskuje na skomplikowane przepisy, bo jego zdaniem prawo powinno być tylko jedno: złoczyńca ma iść do więzienia („Niestety, w większości przypadków ma rację" – dodaje Bawarczyk) – „Cinéma-vérité myli fakty z prawdą, a tym samym orze jedynie kamienie"; „Fakt kreuje normy, prawda przynosi iluminację".

Podobnie wywrotowy charakter ma latająca „łotrzykowska" szkoła filmowa Herzoga. Organizuje ją nieregularnie, raz na kilka lat, w różnych miejscach na świecie: od Kalifornii po Azory (z czasem porzucił nazwę Rogue Film School, zapraszając zamiast tego na warsztaty filmowe). Uczestnicy zajęć nie tylko poznają rolę muzyki w filmie czy tajniki narracji, ale również zdobywają praktyczne umiejętności – zdaniem Herzoga niezbędne w pracy filmowca – ucząc się otwierania zamków, podrabiania zezwoleń, walki z biurokracją oraz samowystarczalności. Na liście szkolnych lektur obowiązkowych znalazły się *Georgiki* Wergiliusza (podręcznik rolnictwa w formie poematu), *Sokół* Johna Aleca Bakera, raport komisji Warrena, która zajmowała się zabójstwem prezydenta Kennedy'ego, *Edda starsza*, czyli zabytek literatury islandzkiej oraz *Historia verdadera de la conquista de la Nueva España* – XVI-wieczna relacja konkwistadora Bernala Díaza del Castillo z wypraw do Meksyku.

Jako filmowiec musisz znać swoje fizyczne ograniczenia. Sił na bieganie po pustkowiu wystarczyłoby mi może na godzinę – mówi Herzog.

Formułowane przez lata myśli i spostrzeżenia stały się kanwą eseju *Przyszłość prawdy*, który reżyser opublikował w dziewiątej dekadzie życia. Książka wyszła naprzeciw oczekiwaniom odbiorców jego filmów i mediów – nietrudno zauważyć, że Herzog częściej niż o swoje filmy jest dziś pytany o światopogląd. Dziennikarze wiedzą, że nawet krótka rozmowa z twórcą będzie źródłem soczystych anegdot i błyskotliwych bon motów, choć wiele z nich płynnie wędruje przez jego twórczość, a reżyser od lat uprawia recykling własnych uwag. To chyba właśnie dlatego, zgadzając się na wywiad z dziennikarzem z Polski, nie chciał się powtarzać, lecz przede wszystkim mówić o nowym filmie.

– Jest pan profesjonalnym marzycielem, ale w przypadku *Snów o słoniach* dołączył pan do produkcji w jej trakcie. Łatwo zarazić się cudzym snem?

– Projekt nie był zaawansowany, gdy się do niego przyłączyłem. Owszem, jakiś materiał już został zarejestrowany, ale brakowało pomysłu i konsekwencji. Jednak to, co zobaczyłem, poruszyło we mnie pewną strunę, zrozumiałem, że chcę pomóc, że jestem odpowiednią osobą do tej roboty. Oczywiście to nie tak, że kogoś wysiudałem – wszyscy zaangażowani zgodzili się, że jestem im potrzebny.

– A jak ważne dla pana jako twórcy było to, by Steve Boyes w końcu znalazł tytułowe słonie widma [angielski tytuł filmu to *Ghost Elephants* – przyp. A.R.]? Czy to było kluczowe?

– W żadnym wypadku. Gdyby mu się nie udało, zadowoliłbym się samym poszukiwaniem. Powstałby oczywiście trochę inny film, ale chyba wciąż o tym samym, o pogoni za marzeniem. Nie mógłbym tylko rzucić refleksyjnego pytania o sens realizacji tego dokumentu. Znakiem czasów jest to, że Steve nagrał rekordowo dużego słonia na komórkę – telefony rejestrują każdy aspekt naszego życia, w tym całą masę głupot, a on zarejestrował coś wyjątkowego i niepowtarzalnego. Prawdziwy skarb. To nagranie jest jak dowód sądowy.

– O pańskich planach filmowych krążą legendy, wielokrotnie pracował pan w trudnych warunkach. Tym

razem jednak, z uwagi na wiek i fizyczne ograniczenia, nie pojechał pan z ekipą do Angoli. Czy decyzja o delegowaniu pracy była trudna?

– Ani trochę. Przypomnę panu o irańskim reżyserze [Jafarze Panahim – przyp. A.R.], który realizował swoje filmy, ukrywając się przed władzami albo przebywając w areszcie domowym, a mimo to nagrodzono go między innymi Złotą Palmą. Poza tym brałem udział w zdjęciach w Namibii, byłem na planie w Stanach Zjednoczonych. Pobyt w Angoli oznaczałby dziesięć godzin biegania za słoniami. Mam na myśli bieganie nieustanne, w tę i z powrotem, na zupełnym pustkowiu. Sił wystarczyłoby mi może na godzinę. Jako filmowiec musisz znać swoje fizyczne ograniczenia. Wiedzieć, co jest w twoim zasięgu. Byłem na tę Angolę po prostu za stary. Dlatego delegowałem część prac. Ale przedstawiłem swoim współpracownikom długą listę rzeczy, których potrzebowałem. Byłem też z nimi w nieustannym kontakcie telefonicznym. Wiedziałem, gdzie w danej chwili są i co kręcą. Dałem im precyzyjne instrukcje. Dziś nawet nie mam wrażenia, żebym był nieobecny podczas kręcenia części filmu. Chodzi zresztą o krótki fragment.

Jak przyznaje reżyser, prawdziwym magnesem, tym, co skłoniło go do zaangażowania się w *Sny o słoniach*, była możliwość współpracy z buszmeńskimi tropicielami z Kalahari.

– To najstarsi ludzie, najstarsi przedstawiciele *Homo sapiens*. Gdy nasz gatunek pojawił się na Ziemi, to właśnie w ich osobie. Są naszymi przodkami, przodkami każdego plemienia, każdej etnicznej rasy na tej planecie. Wspaniale jest móc patrzeć na ich codzienne zmagania i jednocześnie widzieć, że są takimi samymi ludźmi jak my. Albo raczej: że my jesteśmy tacy jak oni.

– Jak brzmiało pierwsze pytanie, które im pan zadał?

– Ta scena trafiła do filmu! To była niesamowita sytuacja, mieliśmy spotkać się pierwszy raz, ktoś przedstawił mi jednego z tropicieli, a ja na to: „Natychmiast włączcie kamerę". Powiedziałem mu: „W twoim języku nazywacie się prawdziwymi ludźmi. Czym jestem w takim razie ja? Czy jestem w połowie zwierzęciem? Mam przecież włosy na klatce piersiowej". A on od razu wybuchnął śmiechem. Po 20 sekundach od chwili poznania mogliśmy już razem pracować. Jeśli nie umiesz w jednej chwili nawiązać głębokiej relacji z drugim człowiekiem, nie powinieneś być filmowcem. O wiele łatwiej było mi się porozumieć z tymi ludźmi niż choćby z naukowcami, z którymi pracowałem przy wcześniejszych dokumentach. Cały urok tej interakcji bierze się z mojej ciekawości ich życia i świata oraz ich chęci, by się przede mną otworzyć. Byli na przykład gotowi pokazać mi, jak przygotowują truciznę do swoich strzał. Z człowiekiem, który mnie tego uczył, spędziłem więcej czasu niż z kimkolwiek innym.



W *Snach o słoniach* jest scena, w której starszy przedstawiciel ludu San naprawia instrument muzyczny. Wokół niego drepczą kury, wiele kur. „To jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe – komentuje Herzog-narrator, nieomal wybuchając śmiechem. – Wszędzie widzę kurczaki".

– Śmieję się jak dziecko, bo proszę sobie wyobrazić taką sytuację: nie ma pan nic zaplanowanego na dany dzień, żadnych spotkań czy zadań, siedzi pan w cieniu pod drzewem, naprawia instrument, a dookoła biegają kurczaki. To wspaniała wizja, sam chciałbym prowadzić takie życie.

– Nawet gdyby wyrwać tę scenę z kontekstu, to i tak każdy rozpozna, że to pański film. Nikt inny nie nakręciłby czegoś takiego.

– W filmie jest więcej podobnych obrazów, nawet w materiale, którego nie kręciłem osobiście. Weźmy niektóre kadry z Angoli, na przykład scenę z wielkim pająkiem, na którego grzbiecie roiły się małe pajączki. To są bardzo dziwaczne sytuacje i nie ma znaczenia,

czy w konkretnej chwili jestem fizycznie w danym miejscu, czy zdjęcia realizuje ktoś inny z mojej ekipy.

– Można powiedzieć, że potrafi pan zarażać innych swoimi snami.

– To był od początku sen Steve'a Boyesa, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale aby kino pozostało świeże i żywe, czasem trzeba na nie spojrzeć z dystansu.

—

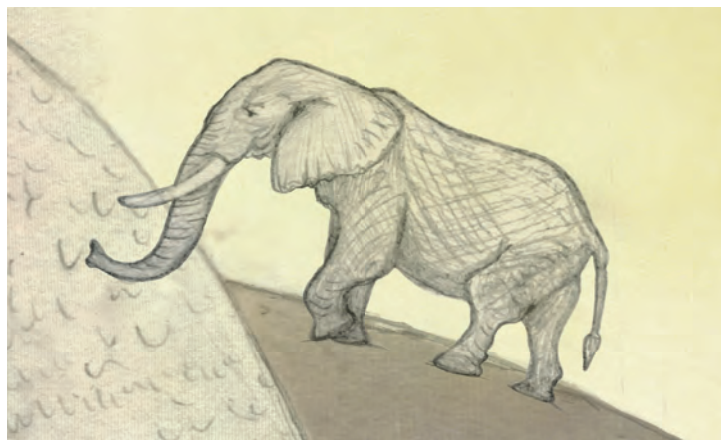
„W MOIM ŻYCIU zawodowym wciąż powracało kluczowe zagadnienie: kwestia prawdy – pisze Herzog w *Przyszłości prawdy* (przeł. Ewa Mikulska-Frindo) – (...) zawsze upierałem się, że tylko przez stylizację, pomysłowość, wyobraźnię i poezję można znaleźć głębszą warstwę prawdy, która wykracza poza przekazywanie samych informacji i pozwala nam dostrzec odległe echo czegoś, co może nas wewnętrznie oświecić". Na przekór tytułowi esej jest raczej zbiorem historycznych anegdot i przykładów, które mogą być ilustracją dla cytowanej przed chwilą tezy reżysera. Herzog bierze na świadka między innymi Williama Szekspira: „Najprawdziwsza poezja to taka, która najbardziej udaje" – pisał w *Jak wam się podoba* (przeł. Stanisław Barańczak), jednak najbardziej wyrazista z historii dotyczy *Piety* Michała Anioła, która zdobi Bazylikę św. Piotra w Rzymie. Rzeźba „przedstawia Jezusa jako 33-letniego mężczyznę, podczas gdy jego matka, Dziewica Maryja, ma 15 lat, co widać w rysach jej twarzy".

„Czy Michał Anioł chciał nas oszukać? – pyta Herzog. – Czy zaserwował fake newsa, zanim to było modne? W żadnym wypadku!" – odpowiada zaraz, bo pytanie jest retoryczne. Artysta chciał nam pokazać sedno tych dwóch osób: „mężczyzny właśnie zdjętego z krzyża i jego matki, dziewicy".

W obliczu tych wszystkich uwag nieco absurdalny wydaje się wymóg, by tekst o twórcy, który tak pieczołowicie zaciera granicę między faktem a zmyśleniem, został poddany – jak każdy inny na łamach „Pisma" – sumiennemu procesowi fact-checkingu. Tak, by zawarte w nim informacje zadowoliły nawet księgowych. Sam bohater byłby zapewne z tego powodu wściekły. Przypuszczam, że wolałby, aby jego sylwetkę zakończyć jakimś efektownym, zmyślonym cytatem z Pascala lub von Clausewitza, bon motem, który wzniósłby puentę na nowy poziom mądrości i przenikliwości, uczyniłby jego dorobek ponadczasową metaforą.

A jednak, z szacunku dla pracy redaktorów, sięgnę zamiast tego po prawdziwą wypowiedź samego Herzoga – fragment audycji radiowej, który opublikował na Instagramie pomiędzy występem bawarskiej orkiestry świstaków a kilkoma innymi zabawnymi filmikami. Tłumaczy w nim, dlaczego pozostaje otwarty na świat nowych mediów. Dlaczego się go nie boi. W obrazowy sposób porównuje sytuację obecną do czasów prehistorycznych – aby przetrwać, łowcy-zbieracze musieli pozostawać nieufni wobec świata natury. Instynkt podpowiadał im, które owoce mogą być trujące, które grzyby przyniosą zgubę. Mimo tylu czyhających pułapek w ich postrzeganiu natury nie było nienawiści. Była za to umiejętność nawigacji, która dziś również jest nam niezbędna, tyle że w kontakcie z technologią. „Musimy trwać w stanie podejrzliwości, nieufności wobec niej – przekonuje reżyser. – Prawda nie jest świetlistym punktem majaczącym gdzieś w oddali, czymś nienamacalnym, do czego nigdy nie zdołamy dotrzeć. To raczej proces poszukiwania, przybliżania się, mierzenia z wątpliwościami, zbaczania ze ścieżki, a potem korygowania kursu. To właśnie robię przez całe życie".

Tekst powstał w ramach współpracy reklamowej z **Millenium Docs Against Gravity**.



Przeczytaj także o twórczości **Roberta Macfarlana**, opowiadacza gór i rzek na **magazynpismo.pl/robert-macfarlane**

LOT KINO LETNIE

W STRONĘ ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA



ORGANIZATOR

KINOTEKA

WSPÓŁORGANIZATORZY

Warszawa

PARTNER TYTULARNY

LOT

PARTNERZY

BYD foodify TK maxx mamyito.pl HORTEX Oxford Bank Polski Bakoma KINLEY NESPRESSO

WSPARCIE

WEALTHON

PATRONI MEDIALNI

FILMWEB STRÖER VIVA! Pismo. SKM melo. chillizet ZET

Zabierz to, zanim stąd wyjedziesz

tekst ALEKSANDER HUDZIK

ZANIM BIELSKO-BIAŁA stało się Polską Stolicą Kultury, było nią dla tych, którzy tak jak ja wychowali się na wystawach w lokalnym BWA, koncertach w RudeBoy Club i na murach Zamku, skąd widać było teatr.

Mały Wiedeń, mówią ci, którzy nigdy w Wiedniu nie byli" – to hasło na murze jednej z kamienic obok Teatru Polskiego w Bielsku-Białej pamiętam najwyraźniej. Nie znałem jeszcze wtedy ani Wiednia, ani Warszawy. Wiedziałem, że z Bielska-Białej do stolicy Austrii da się dojechać koleją szybciej niż pod Pałac Kultury, miałem 15 lat i czułem, że moje miasto to miejsce gdzieś pomiędzy: Krakowem a Katowicami, górami a Górnym Śląskiem, Polską a Czechami. Wiedziałem też, że wszędzie jest stąd blisko.

Wyjechałem z Bielska w 2008 roku. Do Wiednia na kilka dni, do Warszawy – na wiele lat. Do tego czasu zdążyłem dowiedzieć się, że Bielsko jest także małym Manchesterem ze względu na tradycje włókiennicze, albo małym Aspen – ze względu na pobliskie stoki. Wtedy te łatki porządkowały mi myślenie o miejscu, w którym żyłem. Dopiero gdy wyjechałem, zrozumiałem, że raczej zasłaniały coś, co w życiu tego miasta ważne.

Od niemal 20 lat wracam do Bielska regularnie. Rytm powrotów wyznaczają święta. Boże Narodzenie, Wielkanoc, Bielska Jesień i Dzień Dziecka, który po prostu lubię spędzać w miejscu, z którego pochodzę. W czerwcu, jak co roku, wróciłem do Bielska-Białej na kilka dni. Żeby zobaczyć rodzinę, wystawy w galeriach, żeby pójść na koncert i wybrać się na bardzo długi spacer. Ten spacer był mi szczególnie potrzebny. Kilka tygodni wcześniej redakcja magazynu „Pismo" zaproponowała mi napisanie artykułu poświęconego kulturze Bielska. Wydawało mi się, że ten tekst układał mi się w głowie niemal od 20 lat, bo Bielsko-Biała było moją stolicą kultury, gdy w nim dorastałem, i podtrzymywało ten status w późniejszych latach, dzieląc go z kolejnymi miastami. W 2024 roku ówczesna ministra kultury i dziedzictwa narodowego Hanna Wróblewska ogłosiła, że grupa trzech miast, które przegrały z Lublinem walkę o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2029 – Bielsko-Biała, Katowice i Kołobrzeg – będą w kolejnych latach, począwszy od Bielska w 2026 roku, nosić tytuł Polskiej Stolicy Kultury. Przyjechałem z Warszawy do rodzinnego miasta, by zobaczyć, czym gości nas Stolica.

MOJEGO BIELSKA uczyłem się z głośników. Już w latach 90., długo przed tym, zanim świat oszalał na punkcie podcastów, słuchałem ich podczas długich sobotnich zakupów w supersamie. Nie był to wówczas najokazalszy sklep w Bielsku-Białej, większe było MAKRO na rubieżach miasta, ale tam jako dzieciak nie mogłem wejść, najpierw ze względu na wzrost, a gdy podrosłem, zdałem sobie sprawę, że moi rodzice nie posiadali własnego biznesu, a to było wymagane do uzyskania karty wstępu. Supersam był inny – tu mógł wejść każdy, a sam sklep znajdował się na parterze Domu Handlowego Klimczok.



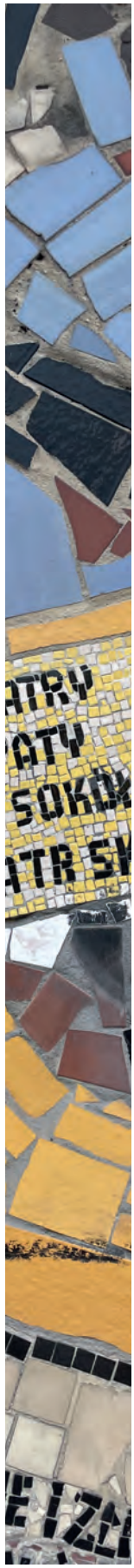
mozaika IGNACY BIENIEK, *fot.* Mikołaj Długosz | Narodowe Centrum Kultury

ALEKSANDER HUDZIK, dziennikarz kulturalny. Przez lata związany z redakcjami: tygodnika „Newsweek Polska", „Vogue Polska", „Notes na 6 Tygodni" „Forbes Women", Dwutygodnik, „K Mag", „Przekrój", „Esquire" i „Aktivist". Współautor tekstów w książkach *My Art Guide, Polski Street Art* i w przewodniku *About Polska*. Redaktor naczelny „Mint Magazine".

Klimczok to jeden z pobliskich szczytów leżący w paśmie Beskidu Śląskiego. Nienajwyższa, ale ważna góra, bo przechodzi przez nią granica administracyjna dzieląca Bielsko-Białą i Szczyrk. Sklep Klimczok wyznaczał inną granicę – miesięczne interwały, w których jako dziecko odwiedzałem Bielsko-Białą. Miasto było stolicą mojego powiatu, ale nigdy w nim nie mieszkałem. Dzieciństwo spędziłem w Dankowicach, wsi odległej od Bielska-Białej o dzień drogi, jak mówił stryj mojego dziadka, który przetarł szlaki wyższej edukacji w mojej rodzinie. Uczęszczał do najstarszego w Bielsku I Liceum Ogólnokształcącego. Podróż była tak długa, że w szkole, wówczas Gimnazjum Polskim, zostawał na stancji, a na wieś wracał kilka razy w roku. Mojej matce droga do tego samego liceum zajmowała już tylko dwie godziny rano i dwie godziny wieczorem. Nie pamiętam dokładnie, ile trwały moje podróże, ale nie były one dłuższe niż przejazd z jednego końca Warszawy na drugi. W 2026 roku otworzono nową nitkę autostrady, która co prawda przecięła moją rodzinną wieś na pół, ale dzięki niej dojazd do Bielska zajmuje dziś niecałe 15 minut. To sprawia, że trudno już uznawać moją, tak odległą 100 lat temu wieś, za coś innego niż przedmieścia miasta, w którym nigdy nie mieszkałem.

W supersamie robiliśmy zakupy, a o tym, co kupić, często decydował głos spikera krążącego po sklepie i opowiadającego o asortymencie, przeplatającego te informacje ciekawostkami o Bielsku. „Sklep Klimczok, w którym «można kupić wszystko», był najnowocześniejszym centrum handlowym w Polsce". Kiedy? Pod koniec lat 80., gdy wreszcie oddano go do użytku. Klimczok powstawał stopniowo, jego budowa rozpoczęła się w 1976 roku i była związana z rozwojem Fabryki Samochodów Małolitrażowych. W tym czasie następowały zmiany w bielskim przemyśle. Burzono fabryki włókiennicze, które jeszcze w latach 50. i 60. dudniły w całym mieście – wspominał mi o tym Bielszczanin z pochodzenia, architekt Edward Lach, brat Natalii LL, artystki odgrywającej w mojej historii Bielska ważną rolę [o włókniarkach i bielskich fabrykach pisała Magdalena Idem, „Pismo" nr 8/2025 – przyp. red.]. Najprawdziwsze centrum handlowe powstało w miejscu dawnej fabryki farbiarskiej Roberta Kergera. Do użytku oddano je 19 grudnia 1988 roku. Kapitalizm do Bielska przyszedł więc przed świętami, podczas gdy reszta Polski musiała czekać kolejne pół roku. To tu pojawiły się pierwsze na Podbeskidziu schody ruchome, później także amerykańska Pizza Hut, a nad nią Restauracja Chińska. A w samie był człowiek, który opowiadał nam o Bielsku-Białej i doradzał, co mamy kupić na niedzielny obiad. Czasem zrywałem się rodzicom i próbowałem go znaleźć między półkami. Bez skutku.

Moje Bielsko nie zaczyna się więc od przyjazdu na dworzec kolejowy, który według projektu Karola Schulza



wybudował tu w latach 1889–1890 Karol Korn, najważniejszy miejski architekt. Oprócz wielu innych budowli Korn zaprojektował słynący w okolicy z luksusów Hotel President, dzięki któremu do miasta przykleiło się określenie „mały Wiedeń".

Moje Bielsko zaczyna się w sklepie, istotnym nie tylko dlatego, że gdy patrzę na niego dziś, widzę wjazd na parking przypominający nowojorskie Muzeum Guggenheima i bryłę, która jeśli przetrwa kolejnych kilka lat, zacznie nosić znamiona szacownego zabytku. To centrum handlowe było ważne, bo znajdowały się w nim sklepy z kasetami i płytami oraz świetnie wyposażona księgarnia, poza literaturą oferująca też prasę. To tu nauczycielka plastyki kupiła egzemplarz magazynu „Arteon", który później potajemnie przyniosła mi do szkoły w szarej teczce. Historia sztuki już wówczas mnie pasjonowała, ale to ten pierwszy „Arteon" sprawił, że pisanie o niej wydało mi się najlepszą rzeczą na świecie.

Potocznie mówi się „Bielsko", ale moja babcia mówiła „jedziemy do Białej", mimo że te dwa miasta połączyły się w roku 1951, co świętowano hucznym przemarszem wzdłuż rzeki Białej (na którą nikt w Bielsku nie mówi inaczej niż Białka). Bielsko było przed wojną kamieniczne, Biała była fabryczna. W Bielsku mieszkali fabrykanci, do Białej dojeżdżały szwaczki. Bielsko nazywano małym Wiedniem, Białą – małym Manchesterem. Bielsko pozostawało głównie niemieckie, Biała była polska. I w Bielsku, i w Białej mieszkali Żydzi. Jako nastolatek nie zastanawiałem się nad wojenną historią miasta. Może dlatego, że z mojego domu bliżej niż do Bielska było tylko do Oświęcimia. A Oświęcim miał... obóz koncentracyjny, na terenie którego Kazimierz Świtoń wbijał w latach 90. krzyże, monopolizując lokalną pamięć o Zagładzie. Pamiętam, jak ważnym przeżyciem (dla mnie i moich kolegów z liceum, których podczas pisania tego tekstu zapytałem o wspomnienia związane z kulturą Bielska) był spektakl *Testament Teodora Sixta* grany 20 lat temu w Teatrze Polskim, w reżyserii jego ówczesnego dyrektora Roberta Talarczyka. Oglądając go, uświadomiłem sobie, że wszystkie te kamienice Sixtów i Rothów miały kiedyś niemieckich właścicieli, a ja co tydzień odwiedzałem budynek stojący na miejscu dawnej synagogi i nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Synagoga w Bielsku stała na rogu dzisiejszych ulic 3 Maja i Mickiewicza – opowiadał mi przed kilkoma laty bielski historyk Jacek Proszyk. Zaprojektował ją Ludwik Schöne w 1881 roku jako kopię synagogi w Szombathely na Węgrzech. Niemieckie wojska spaliły ją, jeszcze zanim Rosjanie weszli do Polski, może 13, może 14 września 1939 roku. Nie wiadomo. Ponad 20 lat później na tym miejscu powstał Pawilon Plastyków, dzisiejsza Galeria Bielska BWA. Najważniejsza instytucja sztuki na Podbeskidziu stoi na fundamentach przedwojennej

fot. Mikołaj Długosz | Narodowe Centrum Kultury

synagogi. Nie musicie o tym wiedzieć, gdy pierwszy raz przyjeżdżacie do Bielska, ja też przez lata nie byłem tego świadomy. I choć w 1991 roku odsłonięto na fasadzie budynku tablicę, która upomina się o pamięć o dawnej bóżnicy, to w mojej szkole, odległej od BWA o niespełna 300 metrów, nigdy o tym nie mówiono.

Chciałem o tym wspomnieć, zanim napiszę więcej o najważniejszym dla mnie ośrodku kultury w Bielsku-Białej. Miejscu, w którym pierwszy raz mogłem zobaczyć prace Pabla Picassa, Henriego Matisse'a i Joana Miró (głównie drugorzędne litografie, z czego nie zdawałem sobie sprawy w 2005 roku, gdy pokazywano je w BWA w ramach wystawy *Picasso, Matisse, Miró – grafika*) oraz absolutnie pierwszorzędny obraz Wilhelma Sasnala *Rower męski* – tą pracą artysta wygrał w 1999 roku 34. Ogólnopolski Konkurs Malarstwa Bielska Jesień. To w tym miejscu zaczyna się najważniejszy rozdział opowieści o bielskiej kulturze. Zainagurowana w 1962 roku Bielska Jesień (od 1995 roku odbywająca się w formule biennale) jest od lat najważniejszym konkursem malarstwa w Polsce, o czym świadczą nazwiska laureatów: Wilhelm Sasnal (1999), Ewa Juszkiewicz (2013), Karol Palczak (2019). I choć krytycy dywagują, czy to malarze bardziej pomagają temu konkursowi, czy konkurs malarzom, nie da się zaprzeczyć, że wydarzenie odkrywa artystów i artystki na bardzo wczesnym etapie kariery.

Bielska Jesień to konkurs starszy od samej galerii BWA, gdzie od lat jest organizowany. W 1970 roku w modernistycznym pawilonie powstała filia katowickiego BWA, która pięć lat później przekształciła się w samodzielną Galerię Bielską BWA. Wówczas w mieście prężnie działali już artyści zrzeszeni w Grupie Beskid. To oni dali impuls pierwszym Bielskim Jesieniom i tworzyli lokalne środowisko sztuki. Do Grupy Beskid należał między innymi Ignacy Bieniek – autor kilku ważnych dla miasta mozaik. Spektakularne, po części abstrakcyjne, układane ze szkła, metalu i ceramiki kompozycje to wspaniałe przykłady współczesnej mozaiki w Polsce. Jedna z nich, przy ulicy Partyzantów, powstała na zamówienie firmy Welux, została kilka lat temu szczęśliwie uratowana. Niestety gorszy los spotkał pracę na ścianie tkalni przy ulicy Leszczyńskiej. Było to dzieło życia Bieńka – monumentalna, opowiedziana w obrazku historia miasta i kraju pod tytułem *Tysiąc lat Państwa Polskiego* – nad którym pracował w latach 1966–1969. Mozaikę skuto pod osłoną nocy 20 listopada 2000 roku. I choć sprawę relacjonowano w atmosferze skandalu, a za tę zbrodnię wytoczono proces inwestorowi, wykonawcy i dwójce robotników, wszystkich uniewinniono. Był to czas, gdy w Bielsku upadały ostatnie szwalnie, a miasto przygotowywało się do budowy nowego centrum handlowego, bo Klimczok dawno już przestał być nowoczesny.

—

GDY MYŚLĘ O TWÓRCACH związanych z Bielskiem, przychodzą mi do głowy głównie ci, w czyich losach odbija się moje własne doświadczenie: ci, dla których Bielsko stanowiło punkt startu, wychowało ich, jak mogło, i wypuściło w dalszą drogę. Tak było w przypadku Igora Mitoraja, którego legendę przypominano nam w szkole. Artysta urodził się w 1944 roku w niemieckim Oederan jako Jerzy Makina, syn polskiej robotnicy przymusowej i francuskiego jeńca wojennego. Dzieciństwo spędził w Grojcu koło Oświęcimia. Do Bielska trafił, gdy przyjęto go do Państwowego Liceum Technik Plastycznych, które wówczas mieściło się na Zamku Sułkowskich. Tam pod okiem Józefa Klimka uczył się rysunku, a po latach został twórcą charakterystycznych przyciężkawych zarówno wagowo, jak i tematycznie, pokrytych obowiązkową patyną rzeźb nawiązujących do mitologii. W bielskiej przestrzeni publicznej próżno szukać rzeźb Mitoraja, ale duch jednego z najpopularniejszych na świecie polskich artystów unosi się nad nią wyraźnie. W końcu na rynku Starego Miasta, obok figury Jana Nepomucena ustawiono posąg Neptuna, jakby ten rzymski bóg mórz miał sprawić, że Bielsko będzie bliżej wielkiej wody.

Bielska Jesień, zainaugurowana w 1962 roku, jest najważniejszym konkursem poświęconym malarstwu w Polsce.

Kolejna wielka twórczyni związana z Bielskiem, Natalia LL, znalazła więcej uznania w swoim rodzinnym mieście. W 2004 roku zorganizowano jej tu wystawę fotografii, a Agata Smalcerz, ustępująca w 2026 roku dyrektorka BWA, przeprowadziła z artystką kilka ważnych rozmów. Autorka słynnej sztuki konsumpcyjnej urodziła się w 1937 roku nieopodal, bo w Żywcu, jako Natalia Lach. Wczesne dzieciństwo spędziła na zamku, który wówczas, czyli przed wojną, należał do spokrewnionego z cesarzem Austrii Karola Olbrachta Habsburga. Ojciec Natalii był na zamku konserwatorem. Po wojnie Habsburgowie musieli wynieść się z Polski (wrócili dopiero po 1989 roku), a rodzina Natalii Lach przeprowadziła się właśnie do Bielska-Białej. Tam przyszła artystka trafiła do Liceum Technik Plastycznych. Zbierając materiały do książki poświęconej Natalii LL, spędziłem nieco czasu w archiwach bielskiego liceum plastycznego. Poza dokumentacją wczesnych prac można tam znaleźć informacje prowadzące do postaci Jana Zippera – jednego z najważniejszych pedagogów, który uczył zarówno Mitoraja, jak i Lach.

Dla licealistki Natalii Lach Bielsko-Biała lat 50. musiało być dobrym miastem, o czym wspominała ona później w rozmowie z Agatą Smalcerz. Po pierwsze dlatego, że jej matka była wówczas pracowniczką domu kultury, a po drugie – jak wspomina brat artystki Edward Lach – w Bielsku było mnóstwo zajęć dodatkowych i ognisk, dzięki którym młodzi twórcy mogli się rozwijać.

A jakim miastem dla spragnionego kultury licealisty jawiło się Bielsko pierwszej dekady XXI wieku?

Najlepszym – podpowiada sentyment, ale czy na pewno tak było? Dwadzieścia lat wystarczy, żeby zmitologizować rzeczywistość. Całe szczęście rodzice archiwiści (ojciec jest dyrektorem oddziału Archiwów Państwowych w Bielsku-Białej) nie wyrzucili jeszcze moich pamiątek z tamtych czasów. Wynika z nich jasno, że w pierwszej dekadzie XXI wieku bielską kulturę definiowały dwa wielkie muzyczne wydarzenia: organizowana od końca lat 90. Bielska Zadymka Jazzowa i działająca od 2003 roku Jazzowa Jesień w Bielsku-Białej. Obie spektakularne, z wielkimi gwiazdami. Podczas Jazzowej Jesieni, poza organizatorem wydarzenia Tomaszem Stańką (którego imię nosi dzisiaj festiwal), można było posłuchać Chicka Corei czy Johna McLaughlina. Bielska Zadymka Jazzowa koncentrowała się na amerykańskiej klasyce, takiej jak muzyka zespołu Youngblood Brass Band, dzięki któremu w bielskim Zespole Państwowych Szkół Muzycznych imienia Stanisława Moniuszki wyrosło pokolenie wspaniałych jazzmanów. Co z tego, skoro z teczek przechowywanych przez moich rodziców wiem, że w pierwszych latach XXI wieku bardziej interesowały mnie koncerty zespołów takich jak The Analogs, Wańka Wstańka czy Akurat – ten ostatni hołubiony w Bielsku nie tylko ze względu na lokalne pochodzenie muzyków, ale też z racji tego, że gitarzysta pracował w sklepie muzycznym na drugim piętrze Klimczoka, gdzie pielgrzymowało się tylko po to, by zapytać go, jak zagrać riff *Hahahaczyka*, ich największego przeboju. Wszystkie te koncerty widziałem w lokalu RudeBoy Club wciśniętym w bramę przy ulicy 1 Maja. To tam co tydzień spotykali się nastolatkowie, których nie interesował snowboard, wówczas najważniejsza ideologia bielskiej młodzieży. Było nas niewielu, ale byliśmy!

Poza wygazowanym piwem i selekcją przeciętnego punk rocka RudeBoy serwował lokalnej scenie coś cennego. Dla powstających w pierwsze licealne wakacje i rozwiązywanych chwilę po maturze zespołów możliwość występu była ważna i niemniej kulturotwórcza niż poważne festiwale jazzowe, a nawet występ Braci Golec, zaledwie 18-letniego Marcina Maseckiego i Tomasza Stańki na jednej scenie. W przeciwieństwie do szacownej jazzowej estrady w klubach pokroju RudeBoya młodzi ludzie z Bielska i okolic mogli zagrać przed publicznością, nawet jeśli był to – jak w przypadku mojej kariery muzycznej – ich pierwszy i ostatni występ.

Mnie jednak zawsze bardziej interesowało słuchanie niż granie, to zaś często wiązało się z wyjazdami z Bielska. Wystarczyła godzina, by wybrać się do Katowic na imprezy techno, do Chorzowa na koncert Red Hot Chili Peppers w 2007 roku, z którego udało mi się wrócić o takiej porze, że w domu nikt nie zdążył się połapać, i na pierwszy OFF Festival w Mysłowicach w 2006 roku (udało mi się wymknąć na tę imprezę, ale niestety wróciłem po trzech dniach, czego nie dało się już zatuszować). Podróż do Krakowa trwała godzinę, a tam można było zobaczyć wystawy w Bunkrze Sztuki i w Muzeum Narodowym. Bo chociaż Bielsko-Biała ma swoją kolekcję sztuki na Zamku Sułkowskich, to jednak poza rodzimą chlubą – Julianem Fałatem (mieszkającym w latach 1910–1929 na obrzeżach miasta w domu nazywanym Fałatówką, w którym dzisiaj funkcjonuje muzeum artysty) – nie zapamiętałem z tego miejsca zbyt wielu prac. Jeszcze bliżej było do Cieszyna, gdzie w pierwszej dekadzie XXI wieku tworzyła się atomowa energia dwóch wielkich wydarzeń: Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Nowe Horyzonty (w latach 2002–2005 łączył polski i czeski Cieszyn, później zaś wyemigrował do Wrocławia) i Festiwalu Nowa Muzyka (od 2007 do 2008 roku przeżywał czas inkubacji pod cieszyńskim zamkiem, żeby później przenieść się do Katowic).

Tadeusz Bajwoluk zaprojektował wnętrza, w których spędziłem młodość. A dziś nikt w Bielsku o tym twórcy nie pamięta.

Wiele wartościowych inicjatyw, które zaczęły się w Bielsku i okolicach, musiało po czasie szukać sobie większej sceny, gdzieś w mieście wojewódzkim. W tym sensie Bielsko-Biała było antystolicą, raczej tym miejscem, które stwarza, oddaje i traci. To poczucie straty nasilało się we mnie za każdym powrotem do rodzinnego miasta. Gdy jesienią zeszłego roku przyjechałem na kilka dni, okazało się, że nie działa już kino przy ulicy Cieszyńskiej – pierwsze, w którym udało mi się zobaczyć eksperymenty filmowe pokroju *Psa andaluzyjskiego* Luisa Buñuela i Salvadora Dalego, co dla licealisty było przeżyciem wymienianym jednym tchem z innymi ważnymi wówczas pierwszymi razami. Kino wyburzono już w 2022 roku, na jego miejscu dwa lata później powstało Interaktywne Centrum Bajki i Animacji OKO [więcej o kinach kameralnych w tekście Sylwii Gutowskiej, „Pismo" nr 8/2026 – przyp. red.]. Podczas gdy ambitny film tracił w Bielsku przestrzenie, miasto wolało pielęgnować pamięć o filmie animowanym. I utrwalać tę pamięć w brązie. Powstały figury Reksia (2009) oraz Bolka i Lolka (2011) – postaci, które wymyślono właśnie tu, w bielskim Studiu Filmów Rysunkowych. Do tego mieszkańcy ufundowali sobie również odlany w brązie pomnik Lechosława Marszałka, twórcy Reksia, na ławeczce. Te posągi znajdują się na szlaku Studia Filmów Rysunkowych i choć nie prowadzą bezpośrednio do samej siedziby, to sygnalizują jej istnienie. Istnienie, o którym niewiele wiedziałem, gdy uczyłem się w Bielsku, bo podobnie jak o dawnej synagodze, o tej przecież chlubnej, powojennej historii Bielska niewiele wówczas mówiono. Centrum OKO doklejono do dawnej willi Rotha, gdzie przed laty działała wytwórnia. To właśnie tu w ramach programu Polskie Stolice Kultury zostanie zorganizowana gala rozdania nagród Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. To tu w październiku odbędzie się

Wędrujący Festiwal, który ma zespolić sztuki teatralne, performans i myślenie o przyrodzie, a zarazem połączyć Bielsko z kolejnymi Polskimi Stolicami Kultury – Katowicami i Kołobrzegiem.

Te otwarcia zazębiały się w ostatnich latach ze znikaniem miejsc, które dla mnie były symbolem bielskiej kultury. Centrum Taniej Książki – księgarnia, w której mitrężyłem czas w oczekiwaniu na transport do domu – pakowało kartony, by wynieść się ze schowanego za przystankiem autobusowym lokalu przy ulicy 3 Maja. Hotel President, chluba bielskiej architektury, stał zamknięty od wielu miesięcy (ponowne otwarcie nastąpiło wiosną 2026 roku). Przyjmując propozycję napisania tekstu dla „Pisma", bałem się, że po przyjeździe do Bielska nie zobaczę Stolicy Kultury, tylko cień jego dawnej chwały, że będzie to raczej powrót do przeszłości, po której zostały jedynie sentymenty. Na szczęście Bielsko – miasto, w którym pada średnio przez 160 dni w roku – nauczyło mnie, że wszystko jest zmienne. Tak miało być i tym razem.

—

GDY W CZERWCU 2026 ROKU przyjechałem do rodzinnego miasta, w galerii BWA trwała właśnie zmiana wystawy, a kuratorka Ada Piekarska zaprosiła mnie do nowej, odziedziczonej po Akademii Techniczno-Humanistycznej siedziby galerii. To Willa Theodora Sixta przy ulicy Mickiewicza, którą dla austriackiego przedsiębiorcy zaprojektował... nikt inny tylko Karol Korn. Nigdy wcześniej nie byłem w Willi Sixta, bo przez dekady budynek popadał w ruinę i dopiero przed kilkunastu laty został gruntownie odrestaurowany. Może to urok czerwcowego, późnego popołudnia, kwitnących właśnie róż albo wielki miłorząb rzucający cień na ganek galerii sprawiły, że znów poczułem, że Bielsko to najpiękniejsze miasto na świecie. W niewielkich salach na dwóch piętrach kamienicy pokazywano wystawę kolekcji galerii. Wystawy choć przyjemne, były na tyle nieangażujące, że po 30 minutach siedziałem już na tarasie Willi Theodora Sixta z kuratorką, Bielszczanką z urodzenia, która opowiedziała mi niezwykłą historię.

Kilka tygodni przed moim przyjazdem do miejskich archiwów zgłosił się historyk sztuki i pasjonat bielskiej architektury Przemysław Czernek, który na śmietniku w Krakowie odnalazł teczkę z projektami podpisaną przez Tadeusza Bajwoluka. Kim był Bajwoluk? Postacią wielką i nieznaną. Z jednej strony to inicjator Grupy Beskid, z drugiej człowiek pominięty nawet przez Aleksandrę Boćkowską, która wydała niedawno ciekawą skądinąd książkę o Bielsku, nie wymieniając go nawet w gronie artystów związanych z formacją. To twórca, który bardziej zasłużył się dla Bielska jako działacz niż jako malarz.

Bajwoluka znano dobrze, choćby dlatego że w latach 1968–1969 był dyrektorem Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Bielsku-Białej. Ale to nie obrazy, nie szkice ani dokumenty wysypały się z teczki, która dzięki spostrzegawczości Czernka nie wylądowała na wysypisku. W teczce znalazły się projekty wnętrz tworzonych przez artystę. W ten sposób dowiedziałem się, że Bajwoluk zaprojektował wnętrza, w których spędziłem młodość. Od Galerii Bielskiej BWA, będącej przecież jedną z głównych bohaterek tego tekstu, przez Książnicę Beskidzką, budynek przyległy do mojego liceum i uważany przez nas za szkolną bibliotekę i kantynę. Oszczędny kształt modernistycznego pawilonu dziś doceniam bardziej niż wtedy, gdy wypożyczałem stąd książki do matury. Bajwoluk razem z kolegami tworzył mozaiki dla Bielskiego Centrum Kultury, miejsca, w którym przez dwa lata, we wtorki i w czwartki, przygotowywałem się do matury z historii sztuki. Sprowadzało się to często do przysypiania z plecami opartymi o twarde kamienie mozaiki – teraz wiem, kto zaprojektował mi to oparcie.

Od pracownic BWA dowiedziałem się, że jeśli historię teczki Bajwoluka uda się obudować dodatkowymi badaniami, to być może za kilka lat możliwe będzie zaprezentowanie jego prac w galerii. Opowieść o tych, którzy tak jak ja wyjeżdżali z tego miasta, kończy się historią człowieka, który w Bielsku został i to miasto tworzył. Tymczasem na koniec długiego dnia znów wybrałem się do Klimczoka, który niestety w ostatnich latach nie radzi sobie z nowym etapem kapitalizmu. Małe sklepy upadają, po stoisku muzycznym czy księgarni nie został ślad. W supersamie nadal jest wszystko, tyle że to „wszystko" można dostać też w kilkunastu innych wielkopowierzchniowych sklepach na obrzeżach miasta. Ale w żadnym z nich nie ma człowieka, który przechadzałby się między półkami, opowiadając ciekawostki. Wchodząc do supersamu, słyszałem jego głos, próbowałem go znaleźć, wierząc, że tym razem się uda, ale głos zamilkł. Spróbuję następnym razem.

Materiał powstał we współpracy płatnej z **Narodowym Centrum Kultury**.

Flagowym wydarzeniem w programie Polskiej Stolicy Kultury 2026 będzie Wędrujący Festiwal, który łączy sztukę, przestrzeń i ideę wędrowania. Jego pierwsza edycja odbędzie się w Bielsku-Białej w dniach 2–4 października 2026 roku. Autorem koncepcji wydarzenia jest Krystian Lada, a w programie znalazła się m.in. immersyjna wystawa Björk pt. *Echolalia*. Więcej informacji na: wedrujacyfestiwal.pl.

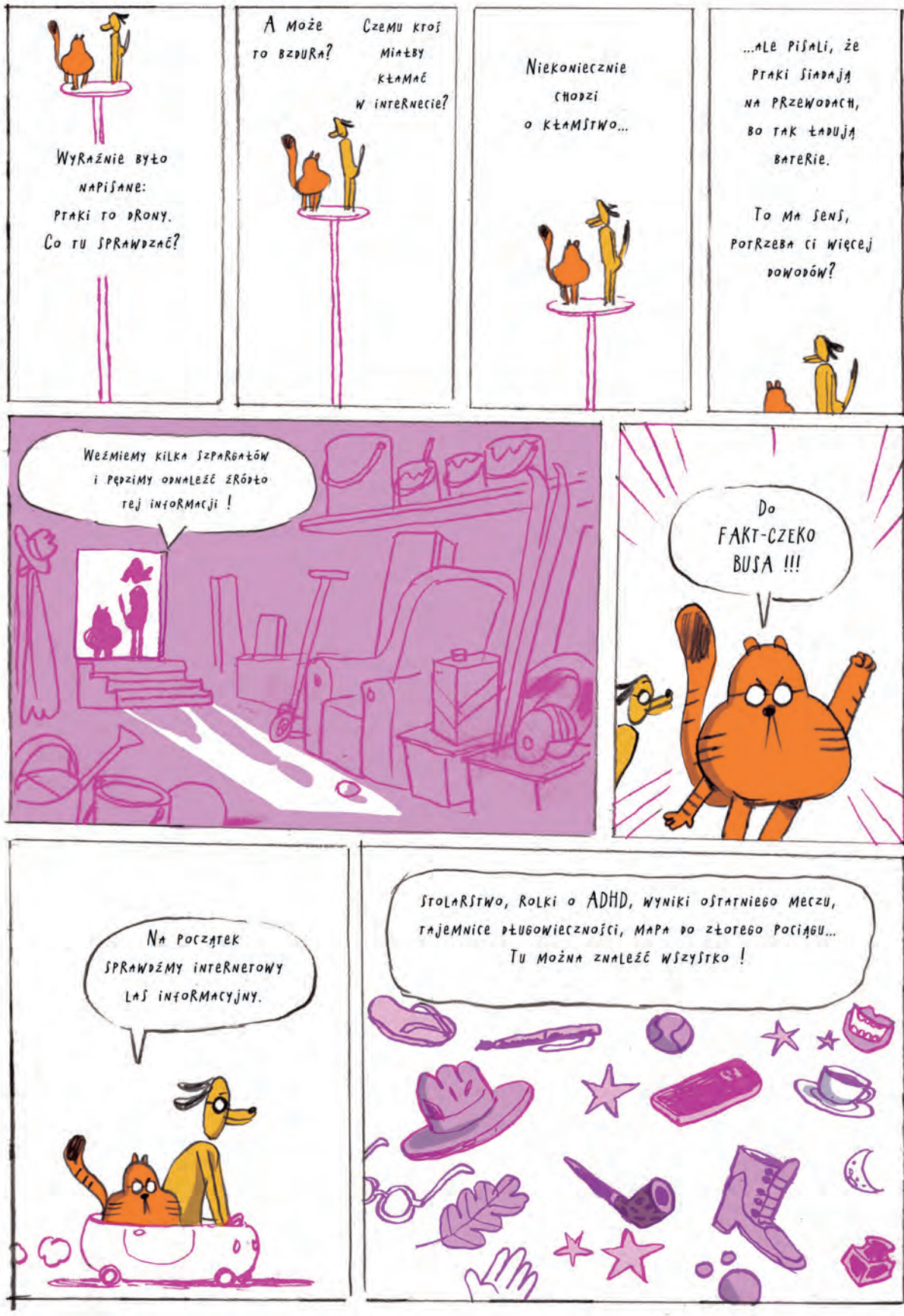


KOMIKS

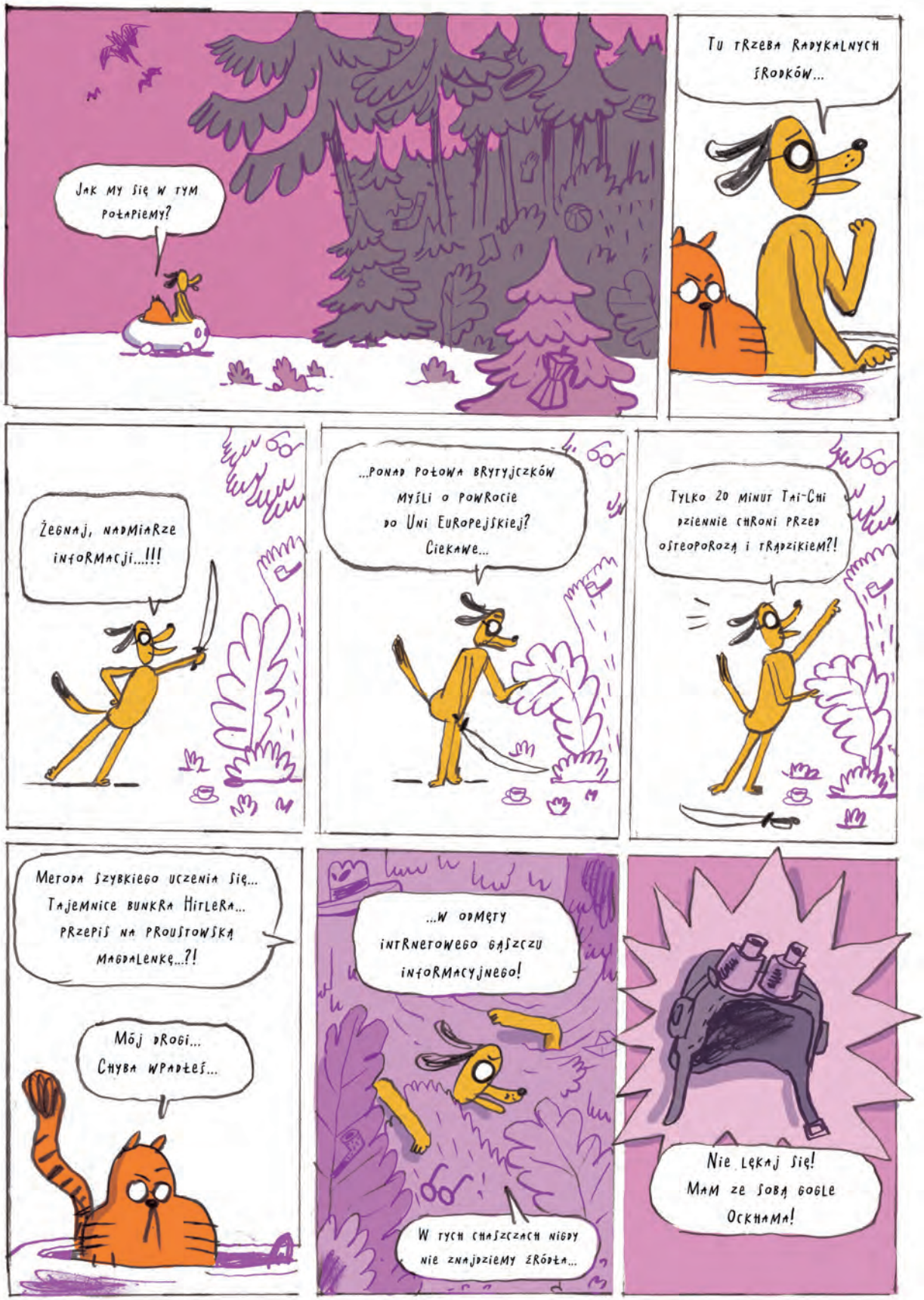
Źródło

tekst i rysunki BARTEK GLAZA „HENRYK”, *scenariusz* BARTEK GLAZA, MARCIN CZAJKOWSKI



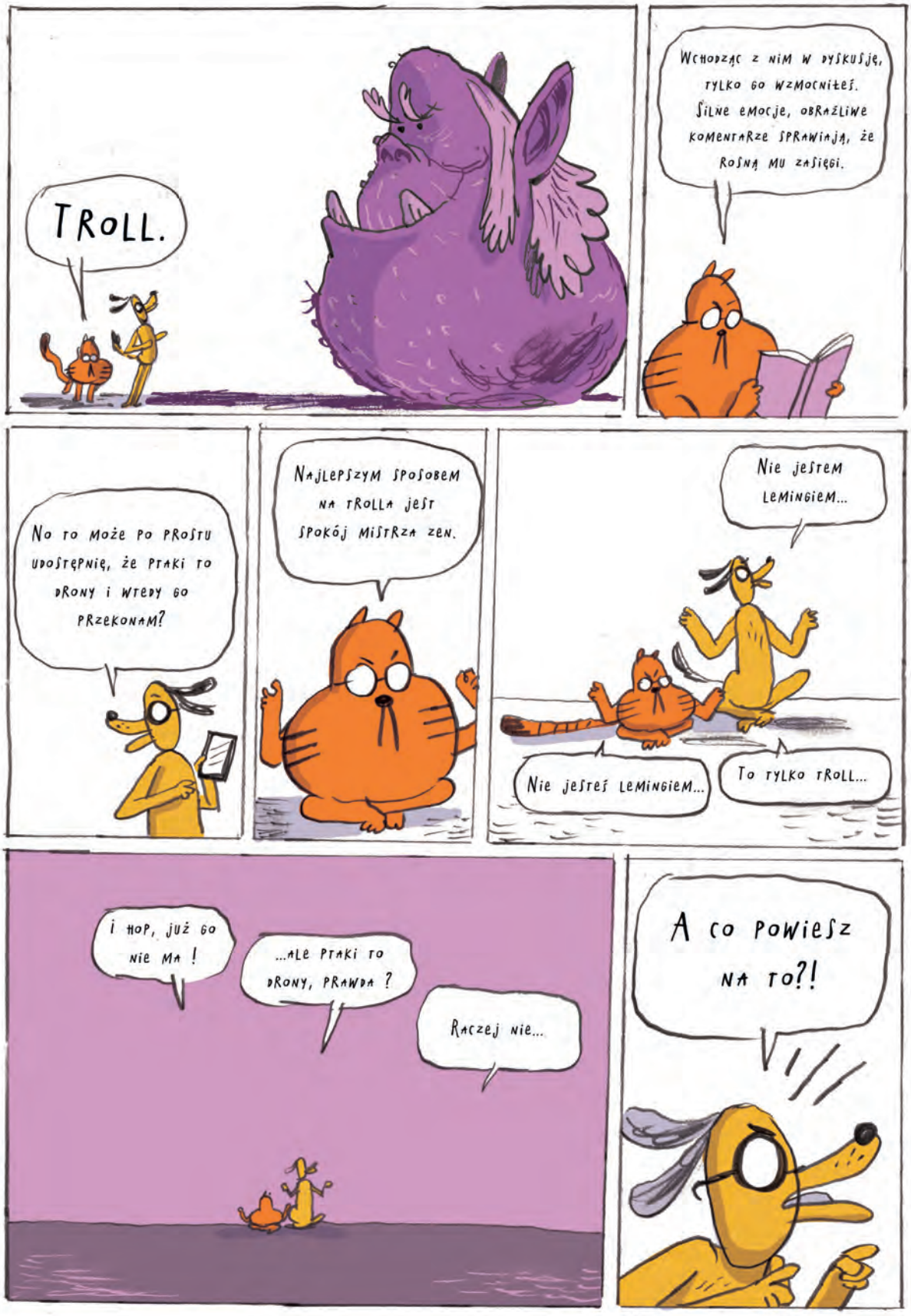

Wyraźnie było napisane: ptaki to drony. Co tu sprawdzać?
A może to bzdura?
Czemu ktoś miałby kłamać w internecie?
Niekoniecznie chodzi o kłamstwo...
...ale pisali, że ptaki siadają na przewodach, bo tak ładują baterie.
To ma sens, potrzeba ci więcej dowodów?
Weźmiemy kilka szpargałów i pędzimy odnaleźć źródło tej informacji!
Do FAKT-CZEKO BUSA !!!
Na początek sprawdźmy internetowy las informacyjny.
stolarstwo, rolki o ADHD, wyniki ostatniego meczu, tajemnice długowieczności, mapa do złotego pociągu... Tu można znaleźć wszystko!

BARTEK GLAZA „HENRYK”, pedagog z wykształcenia, rysownik z zamiłowania, storyboardzista i scenarzysta. Samouk. Autor komiksu *Tylko spokojnie* (2017). Dwukrotny zdobywca Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi oraz dwukrotnie nominowany statuetką dla Rysownika Roku na Festiwalu Komiksów Niezależnych „Złote Kurczaki”. Mieszka w Wejherowie.



MARCIN CZAJKOWSKI, redaktor ds. weryfikacji informacji w „Piśmie”, z wykształcenia historyk i antropolog kultury. Publikował m.in. w „Mówią Wieki”, „Newsweeku”, „Polityce” i „Tygodniku Powszechnym”. Lubi komiksy.

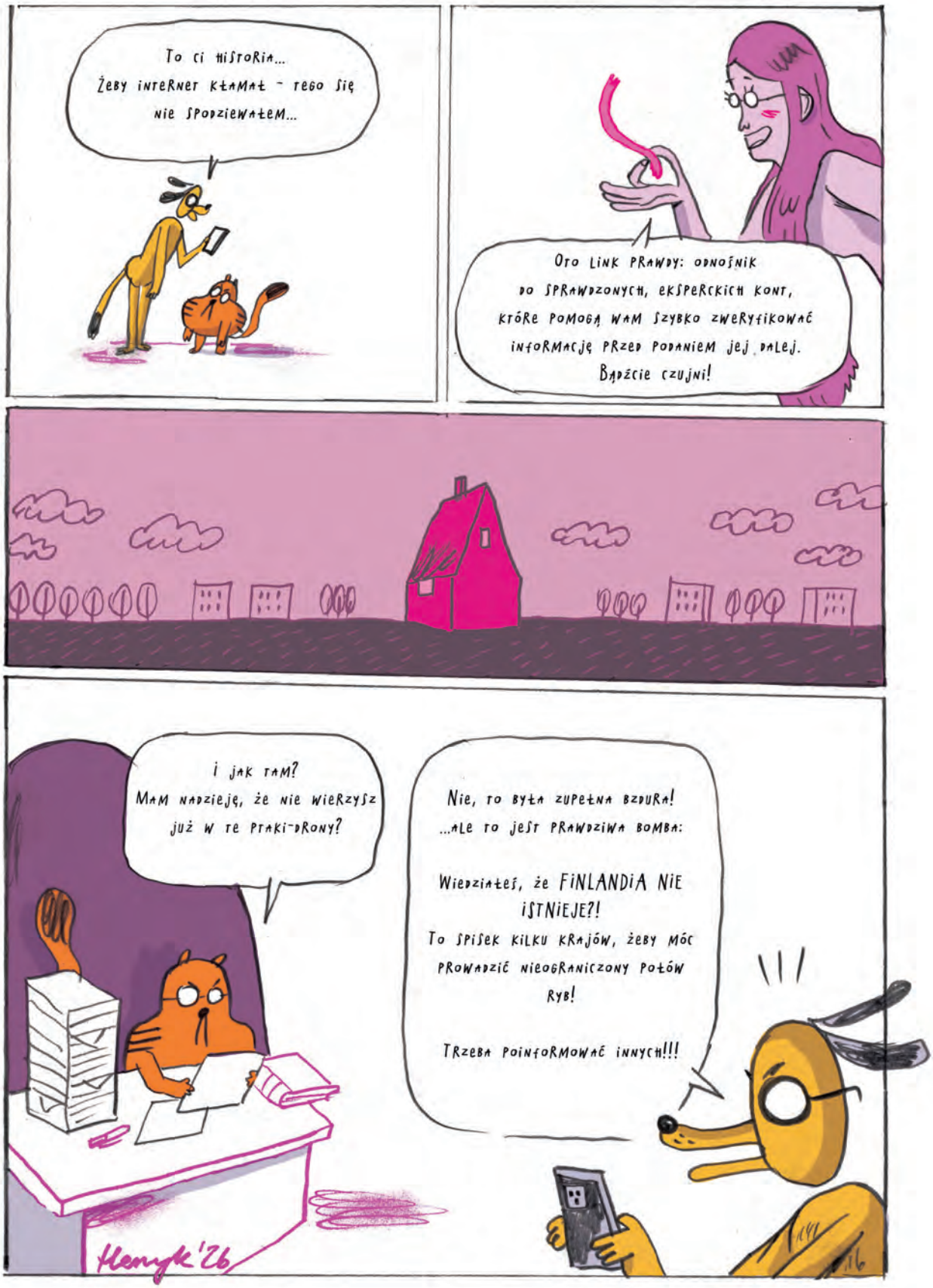



TROLL.
Wchodząc z nim w dyskusję, tylko go wzmocniłeś. Silne emocje, obraźliwe komentarze sprawiają, że rosną mu zasięgi.
No to może po prostu udostępnię, że ptaki to drony i wtedy go przekonam?
Najlepszym sposobem na trolla jest spokój mistrza zen.
Nie jestem lemingiem...
Nie jesteś lemingiem...
To tylko troll...
I hop, już go nie ma!
...ale ptaki to drony, prawda?
Raczej nie...
A co powiesz na to?!


Zdjęcie ptaka-drona! Fotografia to ostateczny dowód!
Już sprawdzam. Zdjęcie gołębia pochodzi z 1965 roku....
KLIK KLIK KLIK
...część silnika to fotografia z katalogu motoryzacyjnego z początku XX wieku, a czerwone oczko to fragment kadru z filmu „Odyseja kosmiczna".
Nie wierzę...
Przecież ptaki muszą być dronami...
Po co ktoś miałby kłamać? Po prostu udostępnię i zobaczymy, co się stanie...
Jesteśmy niedaleko! Oto link, który może nas doprowadzić do źródła informacji, że ptaki to drony!
Znajdując tego, kto pierwszy upublicznił informację o ptakach,
albo weryfikując ją w sprawdzonym źródle, dowiemy się, czy rzeczywiście ptaki to drony.


Daleko jeszcze ?
Oto ona: ŹRÓDŁO !
Piękna!
Witajcie, dzielni poszukiwacze !
Czego szukacie, jak mogę wam pomóc ?
Źródło najdroższe. Chcieliśmy się dowiedzieć, czy PTAKI TO DRONY ?
Informacja o ptakach-dronach narodziła się w 2017 roku w Stanach Zjednoczonych. Jej autorem i pomysłodawcą jest Peter McIndoe, który wpadł na ten pomysł podczas spontanicznego happeningu na wiecu politycznym.

Buduj swoją odporność cyfrową. Zapisz się na bezpłatny kurs newsletterowy prowadzony przez Marcina Czajkowskiego, redaktora ds. weryfikacji informacji w „Piśmie". Więcej na **magazynpismo.pl**





zdjęcie z JERSEY HERITAGE COLLECTIONS

Autoportret bez tytułu

(Cahun z odznaką Luftwaffe w zębach po wyzwoleniu Jersey)

CLAUDE CAHUN (właściwie LUCY SCHWOB)

fotografia, 1945

Dzięki uprzejmości Jersey Heritage Trust

ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA, historyczka sztuki, kuratorka. Autorka audycji *Sztuka mniej obca* o sztuce zagranicznej w Programie 2 Polskiego Radia oraz audioserialu *Wszystko już było*, wyróżnionego w konkursie Podcast Roku 2025. Kuratorka takich wystaw jak *Po co wojny są na świecie. Sztuka współczesnych outsiderów* (MSN) i *Nie jestem już psem* (Muzeum Śląskie w Katowicach).

„Anna proponowała, żebyśmy się wspięły po drabinie i obejrzały zwłoki Maude przez okienko. W oczach każdego innego człowieka byłoby to wstrętne i podejrzane, ale kto by się spodziewał, że dwie starsze panie wlezą na dach?". Tak opisywała perypetie swoich bohaterek malarka i pisarka Leonora Carrington w głośnej powieści *Trąbka do słuchania* (1974). W książce ekscentryczne mieszkanki domu starców (których rodziny uznały je wcześniej za niepotrzebne społeczeństwu) prowadzą własne śledztwo w sprawie otrucia koleżanki, organizują rebelię przeciwko despotycznym normom zakładu, a wreszcie ratują świat podczas globalnej apokalipsy, odnajdując Świętego Graala i przekazując go prawowitej właścicielce – Bogini. Carrington zaprzęga absurd i czarny humor, żeby ośmieszyć patriarchat, mizoginię, militaryzm, hipokryzję Kościoła, normy związane z płcią i wszystko to, co ogranicza wolność jednostki.

Kiedy młoda Carrington zjawiła się w surrealistycznym Paryżu w 1937 roku, inna ważna osoba dla tego nurtu – Claude Cahun – wyruszała w podróż w odwrotnym kierunku. Razem z partnerką przeprowadziła się na brytyjską wyspę Jersey, leżącą w archipelagu Wysp Normandzkich. Cahun była uznaną fotografką, pisarką i działaczką lewicową, która w swojej sztuce – zwłaszcza pozowanych autoportretach – podważała binarny podział płci i podkreślała performatywną naturę wszelkich tożsamości („Męska? Żeńska? To zależy od sytuacji. Nijaka to jedyna płeć, która zawsze mi pasuje").

Neutralny płciowo pseudonim Claude przyjęła już jako nastolatka, razem z żydowskim nazwiskiem swojej babci. Wtedy też poznała późniejszą towarzyszkę życia i współautorkę wielu z jej prac, ilustratorkę modową Marcel Moore (właściwie Suzanne Malherbe). Zostały nawet przybranymi siostrami, kiedy ojciec Cahun ożenił się z matką Moore, co okazało się dla nich bardzo wygodne – przez całe życie oficjalnie mieszkały razem jako siostry.

Wielu czołowych surrealistów, wśród nich Carrington, opuściło Europę na początku drugiej wojny światowej. Cahun i Moore pozostały na Jersey – jedynym brytyjskim terytorium okupowanym przez III Rzeszę – gdzie zawiązały dwuosobowy, artystyczny oddział dywersyjny, który z sukcesem siał defetyzm wśród stacjonujących tam niemieckich żołnierzy. Choć w sztuce z okresu paryskiego Cahun gustowała w maskach, ekstrawaganckich przebraniach i cross-dressingu, na Jersey postawiła na inny kamuflaż.

Mimo że były z Moore dopiero po czterdziestce, przez całą okupację odgrywały rolę statecznych starszych pań. Przez cztery lata, mieszkając tuż obok hotelu, w którym stacjonowało niemieckie dowództwo, z powodzeniem dystrybuowały antynazistowskie ulotki, wieszały transparenty, tworzyły fałszywe gazety czy zostawiały tekturowe krzyże z napisem „Dla nich wojna już się skończyła" na cmentarzu, na którym chowano niemieckich żołnierzy.

Konspiracyjny sukces tych artystek opierał się na posługiwaniu się dwoma, całkowicie nieprzystającymi do siebie personami. Swoje pamflety, ujawniające absurd wojny i sprzeczności w ideologii Hitlera, podpisywały *Der Soldat ohne Namen*, czyli „Żołnierz bez imienia", sugerując, że pochodzą z wewnątrz niemieckiego korpusu. Komunikaty od młodego aryjskiego mężczyzny trafiały w czułe punkty. Jeden z tekstów brzmiał na przykład: „Kiedy wróciłem do domu na przepustkę, moja żona była już w ciąży. «Nie złość się, mój drogi – powiedziała – nasza Ojczyzna potrzebuje żołnierzy!»". Ulotki wkładały do pustych paczek po papierosach zostawianych na chodniku czy do kieszeni mundurów.

Brawura Cahun i Moore sprawiła, że gdy aresztowano je pod koniec 1944 roku, Niemcy nie mogli uwierzyć, że za wszystkie te działania odpowiadały dwie mijane wielokrotnie na ulicy dobrotliwe „staruszki". Uniknęły wykonania wyroku śmierci dzięki wyzwoleniu Jersey przez Brytyjczyków. Autoportret Cahun z orłem Rzeszy w zębach został wykonany w progu jej domu po opuszczeniu więzienia. Niczym protagonistki *Trąbki do słuchania*, przezroczysta w społecznym pejzażu starsza kobieta jest tu superbohaterką, która ratuje świat.

„Nie pamiętam, jak zeszłyśmy po drabinie, nie łamiąc sobie karku. Tak czy inaczej, udało nam się".

MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Prace Claude Cahun i Marcel Moore można zobaczyć w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie na wystawie *Jesteś w sercu zmian. Surrealizm i antyfaszyzm* do 10 stycznia 2027 roku.

Frida w każdym z nas

tekst SYLWIA ZIENTEK

BYŁA MEKSYKAŃSKĄ MALARKĄ, a stała się kimś znacznie więcej niż tylko artystką, bo rozpoznawalną ikoną naszych czasów. Już nie Kahlo, po prostu Frida – ponadczasowa inspiracja, patronka odporności psychicznej, która swoją słabość i ból przekuła w siłę.

Gdy żyła, nic nie zapowiadało tak oszałamiającej kariery. Umierając w 1954 roku, w wieku zaledwie 47 lat, Frida Kahlo była przede wszystkim żoną wielkiego artysty Diega Rivery. Gdy zawierali związek małżeński po raz pierwszy (po dziesięciu latach rozwiedli się, aby po roku pobrać się ponownie), 43-letni Rivera już należał do najważniejszych meksykańskich twórców. Dwudziestodwuletnia Frida była jego trzecią żoną (po jej śmierci malarz znów się ożenił).

Na fali rozwoju kulturalnego kraju po rewolucji meksykańskiej ogromną popularnością cieszyły się wielkie malowidła ścienne, gloryfikujące ludową i rewolucyjną historię kraju murale, które pokrywały ściany najważniejszych instytucji stolicy. Diego stał się jednym z czołowych muralistów, a jego sława dotarła do Stanów Zjednoczonych, gdzie – razem z młodą Fridą u boku – spędził łącznie cztery lata, tworząc w San Francisco, Nowym Jorku i Detroit.

Związek kobiety dopiero próbującej sił w malarstwie z uznanym artystą był dla Kahlo szansą na rozwój artystyczny, ale i przekleństwem. Frida także chciała malować murale, jednak mąż odradził jej tę drogę, za to zachęcał, aby skoncentrowała się na swoim intymnym świecie. Diego doceniał jej talent i wspierał żonę jako artystkę. Wiadomo było jednak, kto w tym związku jest gwiazdą i czyja sztuka zasługuje na aplauz. Prace Kahlo, w tamtych czasach dziwne, odbiegające od trendów i rzadko pokazywane publicznie, nie stanowiły konkurencji dla dzieł Rivery, „wielkiego artysty". Frida nawet nie próbowała wyjść z jego cienia.

Diego przez całe życie był dla niej najważniejszym punktem odniesienia, od którego zależało jej poczucie własnej wartości. Panicznie bała się odrzucenia i rozstania. W listach do męża pisała, że nikt oprócz niego nie docenia jej sztuki i że maluje swoje obrazy tylko po to, aby spodobały się właśnie jemu. Do końca życia Frida nie była w stanie osiągnąć niezależności emocjonalnej, artystycznej i finansowej, nad czym ogromnie bolała jako dojrzała kobieta i artystka.

Kiedy umierała, jej obrazów nie było w muzeach, poza znajomymi zapraszanymi do domu Riverów nikt ich nie oglądał. Za życia miała zaledwie dwie wystawy indywidualne: w 1938 roku w Julien Levy Gallery w Nowym Jorku i rok przed śmiercią – pierwszą i jedyną wystawę w Meksyku w Galería de arte contemporáneo należącej do zaprzyjaźnionej fotografki Loli Álvarez Bravo.

W 1950 roku, zaledwie cztery lata przed śmiercią, Frida udzieliła wywiadu swojej przyjaciółce Oldze Campos, wówczas studentce psychologii. Kahlo miała wtedy powiedzieć:

„Głównym celem mojego życia jest żyć.

Nie wierzę w przeznaczenie.



obraz FRIDA KAHLO, Autoportret w aksamitnej sukni, 1926. Kolekcja prywatna

SYLWIA ZIENTEK, autorka książek biograficznych (*Polki na Montparnassie*, *Lunia i Modigliani, Tylko one. Polska sztuka bez mężczyzn*), powieści historycznych (cykl *Hotel Varsovie, Kolonia Marusia*). Jej najnowsza książka *Mela Muter. Wierna sobie* właśnie się ukazała.

Nie mam ideałów.

Moim celem w życiu jest robienie czegoś pożytecznego dla społeczeństwa, w którym żyję.

Mój główny cel to dobrze malować.

(...)

Nie jestem zadowolona z tego, jaka jestem.

(...)

Nie lubię wpływać na innych. Nie chciałabym stać się sławna.

W swoim życiu nie zrobiłam niczego, co zasługiwałoby na uznanie.

Mam słabe wykształcenie. Byłam przeciętną uczennicą.

Malowanie to moja jedyna umiejętność – i nic więcej".

Trzy lata później musiała poddać się amputacji prawej nogi poniżej kolana. Napisała wtedy w swoim *Dzienniku* w przyszłości często cytowane zdanie: „Po co mi stopy, skoro mam skrzydła do latania?". Niedługo potem zanotowała: „Patrzę sceptycznie na to, co maluję. Chciałabym, żeby moje malarstwo służyło rewolucji, z pożytkiem dla komunistycznego ruchu".

Nawet pod koniec życia, kiedy zbliżała się do pięćdziesiątki, mając 20-letnie doświadczenie artystyczne, nadal nie zdawała sobie sprawy, jakiego przewrotu dokonała w sztuce. Nie podejrzewała, że wiwisekcja jej cierpiącego „ja", straumatyzowanego ciała i okaleczonej psychiki, jej odwaga w dzieleniu się intymnością będą miały wpływ na rzesze ludzi.

Tymczasem po upływie ponad 70 lat od śmierci Frida Kahlo jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych malarek na świecie. W zeszłym roku znalazła się na szczycie rankingu artystek, których dzieła osiągnęły najwyższe ceny na rynku aukcyjnym. Obraz *Sen (Łóżko)* z 1940 roku został sprzedany za 54,7 miliona dolarów.

Dzisiaj Kahlo to świecka święta, pocieszycielka wszystkich cierpiących fizycznie i psychicznie, chorych i osób z niepełnosprawnościami. Stała się symbolem feminizmu, wizytówką Meksyku, źródłem inspiracji dla twórców i świata mody. Jest ważną postacią dla środowiska LGBT+, działaczy ekologicznych i *Chicanas* (Amerykanek pochodzenia meksykańskiego). Punktem odniesienia w kwestiach związanych z ciałem, rasą czy kobiecą fizjologią. Zapewne do tego katalogu można jeszcze wiele dorzucić.

Trwająca nieprzerwanie od kilku dekad fridamania odzwierciedla coraz mocniejszy głos kobiet. Stanowi dowód na to, że nie istnieje jedna Frida. Każde pokolenie tworzy własną ikonę określaną imieniem artystki, korzystając z innych elementów jej dokonań, poglądów, zaszytego w sztuce przekazu. Aktualna ikona Fridy odpowiada czasom, w jakich żyjemy, adresuje nasze lęki i pomaga nam stawić czoła współczesnym wyzwaniom, do których należą nie tylko świadomość rozpadu świata, jaki znamy, czy katastrofa klimatyczna, ale też strach przed bliskością i emocjonalnym przywiązaniem, świadomość ciała, jego ograniczeń, podatności na wykorzystywanie i cierpienie.

Jak to się stało, że XX-wieczna malarka z dalekiego Meksyku, kobieta żyjąca w konkretnych realiach społecznych stała się kultową postacią dla większości świata?

—

ODPOWIEDZI SZUKAM w Londynie, gdzie wyraźnie widać, jak fridamania przybiera na sile. Na wystawę *Frida: The Making of an Icon* (*Frida. Narodziny ikony*), którą od 25 czerwca można zwiedzać w Tate Modern, przychodzą tłumy. Jeszcze przed otwarciem ekspozycji został pobity rekord wszech czasów przedsprzedaży biletów w muzeach w Londynie – 41 tysięcy (wcześniejszym rekordzistą był David Hockney, na którego wystawę w 2017 roku wykupiono 32 tysiące biletów).

Zgodnie z zapowiedziami organizatorów wystawa jest poświęcona fenomenowi przemiany Fridy Kahlo z mało docenianej malarki, znanej jedynie wąskiemu gronu meksykańskich artystów, w globalną ikonę kultury kilka dekad po śmierci. Czy Frida jako symbol nie umniejsza jej artystycznych dokonań i przesłania płynącego z jej twórczości? Sztuka Kahlo, pomimo łatwej w odbiorze estetyki – malarstwa figuralnego w żywej, ciekawej kolorystyce – nie jest wcale łatwa do odczytania w warstwie symbolicznej. Innymi słowy: czy ludzie mówiący „uwielbiam Fridę" mają na myśli artystkę, czy symbol popkultury, z którym łatwo utożsamić się na wielu polach, nie tylko przekazu zakodowanego w sztuce? Na rynku pojawia się coraz więcej książek, które w przystępny, atrakcyjny sposób prezentują Kahlo, w tym także beletryzowanych opowieści o jej życiu (przedstawiających biografię malarki z perspektywy jej siostry czy historię zaginionego obrazu Meksykanki), powstają kolejne filmy dokumentalne o Fridzie dla platform streamingowych. Dużą popularnością cieszą się wystawy immersyjne, gdzie nawet nie pokazuje się obrazów malarki, wystarczy opowieść o jej życiu, twarz znana ze zdjęć i dekoracje w mocnych kolorach. Popularność artystki podtrzymują zapewnienia gwiazd, które wciąż powołują się na Fridę jako swoją wielką inspirację. Jak choćby Madonna. W pokazywanym w mediach społecznościowych w lipcu tego roku materiale dla „Vogue Italia" piosenkarka oprowadza po swoim londyńskim domu i z dumą prezentuje należący do niej *Autoportret z małpami* Kahlo (1943). Podkreśla, że Frida to jej „wieczna inspiracja".

Wielka fala sławy artystki w masowej popkulturze rozpoczęła się wraz z głośną premierą filmu *Frida* w reżyserii Julie Taymor z 2002 roku z hollywoodzką aktorką Salmą Hayek w roli głównej. Media, głównie kobiece magazyny

lifestylowe i modowe, promowały wówczas ubrania, dodatki, biżuterię i uczesanie wzorowane na eklektycznym stylu Kahlo. Wiele pisano o skomplikowanej biografii malarki, opatrując materiały atrakcyjnymi zdjęciami jej samej i należącego do niej niebieskiego domu, Casa Azul. Wydawało się, że to szaleństwo osiągnęło apogeum, ale popularność meksykańskiej artystki sukcesywnie rosła wraz z rozwojem mediów społecznościowych.

W procesie przemiany w ikonę popkultury Frida stała się produktem generującym milionowe zyski, została sprowadzona do graficznego wizerunku kobiecej twarzy z koroną z włosów i kwiatów, którą nieustannie widzimy na internetowych obrazkach, tatuażach mijanych ludzi, muralach naszych miast, na kubkach, torbach, skarpetkach, bluzkach i setkach innych przedmiotów. Malarka sygnuje popularne trampki, plastikowe buty, świece, wachlarze. W rezultacie sama stała się towarem. Ta komercjalizacja wizerunku budzi sprzeciw miłośników i znawców jej sztuki – z uwagi na przekonania artystki, która była zagorzałą komunistką zwalczającą kapitalizm. W 2018 roku na rynku pojawiła się nawet lalka Barbie inspirowana Fridą. Produkt wzbudził kontrowersje z powodu białego koloru skóry, braku monobrwi i jakichkolwiek śladów niepełnosprawności. W Meksyku spadkobiercy malarki zablokowali sprzedaż Barbie z powodu naruszenia wizerunku artystki.

—

IDĄC W PIEKIELNIE GORĄCY dzień do Tate Modern, zastanawiam się, czy kuratorzy pokazali na wystawie jedynie artystyczny, czy także kulturowy i socjologiczny aspekt sławy Kahlo? Czekając na wejście (bileterka skrupulatnie pilnuje godzin, na jakie zostały kupione bilety), wchodzę do sklepiku towarzyszącego ekspozycji. Czego tam nie ma! Pomijam oczywisty asortyment typu torby, koszulki, kubki, wachlarze, skarpetki, świece, magnesy, pocztówki. Kupić można wydzierganą na szydełku papugę (czy ma to być Bonito, ulubiony ptak Fridy?) za jedyne 40 funtów albo rozmaite rodzaje plastikowej i metalowej biżuterii (przez moment kuszą mnie kolczyki w kształcie dłoni, wzorowane na podarowanych Fridzie przez Pabla Picassa, które można dostrzec na niektórych jej portretach) oraz chusty z nadrukami. Twarz malarki powielona na setkach przedmiotów budzi wręcz bolesne doznania. Jest nawet na opakowaniach kawy ziarnistej! Jak widać, i renomowane instytucje, do których należy Tate Modern, nie rezygnują z monetyzacji ekspozycji mającej odnieść finansowy sukces.

Przypomina mi się scena z filmu *Franz* Agnieszki Holland, w której kamera prześlizguje się po rozmaitych produktach opatrzonych nazwiskiem Franza Kafki lub jego podobizną. Zarówno autor introwertycznej prozy, jak i autorka intymnych autoportretów malarskich byliby zapewne przerażeni widokiem wszystkich tych kiczowatych gadżetów oznaczonych ich wizerunkiem albo imieniem czy nazwiskiem. Oboje mieli zresztą takie same inicjały: F.K.

Z ulgą uciekam z miejsca, które samo w sobie stanowi odpowiedź na pytanie, do czego masowa kultura potrafi sprowadzić artystkę. Jeszcze przed wejściem do pierwszej z sal widzę w oddali umieszczony na czerwonej ścianie *Autoportret w aksamitnej sukni*, pierwszy „poważny" obraz Kahlo, który namalowała w wieku 19 lat, unieruchomiona w łóżku po wypadku. Zaczęła tworzyć za namową matki pragnącej nakłonić córkę do aktywności, która pomogłaby jej przetrwać czas rekonwalescencji. Malowała na leżąco, używając specjalnych sztalug. Portret został dedykowany Alejandrowi Gómezowi Ariasowi, pierwszemu ukochanemu artystki, o którego miłość i powrót z europejskiej wyprawy Frida postanowiła zawalczyć, malując siebie w stylu nawiązującym do Sandra Botticellego.

Choćby dla tego jednego obrazu warto przyjechać do Londynu. Autorka zaprezentowała się jako poważna, piękna kobieta o alabastrowej cerze, ubrana w suknię z wyjątkowo głębokim dekoltem. W tle widać wzburzone morze, ale Frida pozostaje taka sama pomimo wypadku, który prawie ją zabił i na zawsze zmasakrował jej ciało. Mężczyzny nie odzyskała, ale zdobyła cel w życiu i wkroczyła na artystyczną drogę.

Pierwsze trzy z dziesięciu rozdziałów tematycznych wystawy w Tate Modern skupiają się na ewolucji Fridy jako malarki. Sztuka Kahlo była nierozerwalnie związana z jej życiem i nie istnieje bez klucza biograficznego. Jak sama mówiła, przydarzyły się jej dwie katastrofy: wypadek autobusu, w którym jechała, i Diego. Pierwszemu uległa w wieku 18 lat, złamała kręgosłup, a jej macica została przebita metalowym prętem. Przeszła ponad 30 operacji i do końca życia cierpiała. Źródłem bólu psychicznego był natomiast skomplikowany, burzliwy związek z Riverą.

Niewielkie prace Fridy najlepiej prezentują się na pomalowanych na czerwono ścianach. Artystka patrzy na oglądających z autoportretów, w tym kilku najsłynniejszych: *Autoportretu w aksamitnej sukni* (1926), *Autoportretu z cierniowym naszyjnikiem i kolibrem* (1940) oraz *Autoportretu z rozpuszczonymi włosami* (1947).

Właśnie w autoportretach malarka tworzy relację psychologiczną z widzem, przekazuje bezpośrednie emocje. Jej cierpienie jest czytelne, nawet jeśli użyta w obrazach symbolika wymaga zastanowienia. Ciało artystki jest komunikatem, który odbieramy niejako samoistnie. Osobista narracja Kahlo o samej sobie wydaje się skierowana wprost do widza. Obrazy mają niewielki, najwyżej średni format, trzeba podejść do nich blisko, skupić się na detalach i precyzyjnej pracy pędzla – wtedy kontakt ze sztuką Fridy nabiera osobistego, intymnego charakteru.

W procesie przemiany w ikonę popkultury Frida stała się produktem generującym milionowe zyski.



obraz FRIDA KAHLO – Martwa natura (Należę do Samuela Fastlicha), 1951. Kolekcja prywatna

Wcale nie marzyła o byciu artystką. „Jako młoda dziewczyna chciałam zostać lekarką, ale zmiażdżył mnie autobus" – wspominała z charakterystycznym dla siebie czarnym humorem. Nikt jej nie uczył malować. Nie uczęszczała do żadnej szkoły sztuki pięknych, nie wzorowała się ani na europejskich, ani na lokalnych malarzach. Wypracowała własną koncepcję twórczą, opartą na ludowej tradycji malarstwa meksykańskiego – *retablos*, niewielkich obrazkach dziękczynnych malowanych najczęściej na metalowych płytkach, ofiarowywanych świętym jako wyraz wdzięczności za ocalenie, uzdrowienie lub pomoc w trudnej sytuacji. Frida wykorzystała tradycyjną formę w nowatorski sposób. Na jej obrazach zamiast umieszczanych tam zwyczajowo figur katolickich świętych jest sama autorka. Podejmowana przez nią tematyka nie miała charakteru dziękczynnego – za taki trudno uznać utratę płodu przedstawioną na obrazie *Szpital Henry'ego Forda* (1932).

Malowany u góry lub u dołu zwój, który służył jako miejsce do zapisania imienia i nazwiska osoby wyrażającej wdzięczność oraz opisu wydarzenia będącego jego przyczyną, Kahlo wykorzystywała do zapisania informacji o sobie, daty i okoliczności powstania dzieła. Na niektórych obrazach zwój pozostaje pusty. Z kolei na innych zawiera tytuł dzieła, tak jak na jednej z najbardziej wstrząsających prac Kahlo *Kilka małych dźgnięć!* przedstawiającej zamordowaną nagą kobietę, która została zadźgana przez mężczyznę tłumaczącego się w prasie, że było to tylko kilka małych ukłuć.

Przez wiele lat, kiedy musiała leżeć w łóżku z powodu swoich dolegliwości, albo kiedy jej mąż całymi dniami malował murale i romansował z innymi kobietami, brała do rąk pędzle dla zabicia czasu. Z czasem jej stosunek do sztuki ewoluował. Trudno uznać, że za życia była postrzegana jako profesjonalna malarka – długo sama nie uważała się nawet za artystkę. Dopiero jako czterdziestokilkuletnia kobieta powiedziała w wywiadzie prasowym: „Malarstwo wypełnia moje życie. Straciłam troje dzieci i wiele innych rzeczy, które stanowiłyby treść mojego okropnego życia. Wszystko to zastąpiłam malowaniem, które okazało się najlepsze".

Kahlo nie wystawiała swoich prac regularnie, dopiero pod koniec życia została uznana przez meksykańskich krytyków za artystkę. Sprzedawała swoje obrazy okazjonalnie, zwykle były to martwe natury albo portrety. Chociaż brak niezależności finansowej stanowił dla niej duże obciążenie, nie dałaby rady utrzymać się z malowania. Próba samodzielnego życia po tym, gdy Rivera zdradził ją z jej młodszą siostrą Cristiną, zakończyła się fiaskiem.

Jako twórczyni Frida funkcjonowała w pewnej izolacji, w specyficznym środowisku artystycznym Meksyku ogarniętym rozkwitem kultury narodowej po rewolucji (1910–1920), która obaliła wieloletnią dyktaturę, zapoczątkowując w kraju reformy społeczne i polityczne. Jako malująca señora Rivera była ciekawostką. W latach 30., kiedy Frida towarzyszyła mężowi w Stanach Zjednoczonych, amerykańska dziennikarka ze zdziwieniem odnotowała fakt, że Kahlo także maluje obrazy, i zatytułowała swój artykuł: *Radosna twórczość żony mistrza*.

Prawdziwy przełom w podejściu Kahlo do sztuki nastąpił po utracie ciąży w 1932 roku. Malarstwo okazało się jedynym sposobem na poradzenie sobie z cierpieniem. Frida stworzyła wtedy obraz *Szpital Henry'ego Forda*, niedługo później litografię *Poronienie*, a następnie *Moje narodziny*. Podczas gdy szczytem odwagi w latach 30. było stworzenie autoportretu nago, w ciąży albo malowanie włosów łonowych, Kahlo pokazała najbardziej intymne doświadczenia związane z rozpadem ciała, utratą ciąży, rozstaniem i odrzuceniem przez ukochanego mężczyznę. Przekształciła prywatne cierpienie w język sztuki, nadając mu szerszy, symboliczny wymiar.

Kobiece cierpienie było często marginalizowane i traktowane jako naturalna część życia. Począwszy od biblijnego nakazu „w bólu będziesz rodziła", po trwające od wieków przyzwolenie na przemoc fizyczną i psychiczną oraz uniemożliwienie podejmowania decyzji dotyczących własnego ciała, kobiece doświadczenia pozostawały niewidzialne. Eksponując własną krew, ból spowodowany ranami psychicznymi zadawanymi przez męża, własne rozdarcie, lęk, niemoc i niespełnione pragnienia, Kahlo pomogła – i wciąż pomaga – kobietom odzyskać poczucie własnej wartości.

Malowała własny, intymny świat. Dopiero po ponad dziesięciu latach pracy twórczej pokazała kilka swoich prac publicznie na zbiorowej wystawie w Meksyku. Nigdy nie podlegała mechanizmom rządzącym światem sztuki na liczących się rynkach w Paryżu czy Nowym Jorku. Choć miała styczność z tamtejszymi przedstawicielami kultury, nie uległa ich wpływom.

Kahlo nie funkcjonowała jednak w próżni, przeciwnie, utrzymywała kontakty, często intymne, z wieloma twórczyniami i twórcami, którzy odegrali ważną rolę na scenie artystycznej Meksyku, Stanów Zjednoczonych i Europy. Przyjaźniła się z aktorką Tiną Modotti, malarką Georgią O'Keeffe i legendarną pieśniarką Chavelą Vargas. Nie były to jednak interakcje artystyczne. Kahlo utrzymywała bliskie relacje z wieloma artystkami, w wywiadzie prasowym w 1951 roku jako jedyną twórczynię, którą ceni, wymieniła surrealistkę Leonorę Carrington.

Riverowie byli wpływową i uprzywilejowaną parą, jedną z najbardziej znanych w liberalnym, lewicowym środowisku Meksyku. W swoim domu gościli między innymi francuskiego pisarza i teoretyka surrealizmu André Bretona i jego żonę Jacqueline Lambę, z którą Frida utrzymywała intymne relacje, a także Lwa Trockiego i olimpijskiego szermierza Nickolasa Muraya (obaj byli kochankami artystki).

Londyńska wystawa przybliża również artystyczne otoczenie Fridy, w tym mniej znanych twórców meksykańskich. Wśród nich znalazła się modernistka María Izquierdo, kilka lat starsza od Fridy, która w latach 30. i 40. cieszyła się w Meksyku dużo większą popularnością niż jej młodsza koleżanka. Ona także, jak wiele lewicowych, nowoczesnych Meksykanek, nosiła ludowe stroje, włosy splatała w warkocze ozdabiane wstążkami i kwiatami oraz wybierała efektowną biżuterię. Początkowo jej prace chwalił sam Diego, ale kiedy María otrzymała zlecenie na mural, Rivera użył swoich kontaktów i przyczynił się do wycofania zamówienia, podkopując tym samym karierę rywalki. Po śmierci Izquierdo w 1955 roku jej twórczość na wiele lat została zapomniana i dopiero od niedawna jest na nowo odkrywana. W 1995 roku w Chicago odbyła się pierwsza międzynarodowa retrospektywa prac tej malarki. W ciągu ostatnich 15 lat Izquierdo jest jedną z najczęściej przywoływanych obok Kahlo artystek meksykańskich. Jej prace nie stały się jednak tak popularne jak sztuka Fridy.

Wystawa w Tate Modern prezentuje również środowisko surrealistów, w którym obracała się Kahlo. W 1938 roku malarstwem Meksykanki zachwycił się Breton, który nazwał jej twórczość „wstążką wokół bomby". Zaprosił Fridę do Paryża, gdzie obiecał zorganizować jej indywidualną wystawę. Kahlo nie lubiła być zaliczana do grona surrealistów i broniła się przed takim zaszufladkowaniem. Podkreślała, że nie maluje snów, ale swoją własną rzeczywistość.

—

„BYŁA OSOBĄ BARDZO skomplikowaną i trudną do zrozumienia, jej życie naznaczone było sprzecznościami, które przezwyciężała dzięki swojej energii intelektualnej i duchowej" – powiedziała o Fridzie artystka Amalia Mesa-Bains w rozmowie z bell hooks, amerykańską filozofką i pisarką, feministką trzeciej fali. Złożoną osobowość i brak spójnego „ja" Kahlo podkreślał również w swoich wspomnieniach Alejandro Gómez Arias: „[była] tak sprzeczna, wieloraka, że można powiedzieć, że osobowość tej kobiety składała się z wielu Frid". Jej „ja" nieustannie się zmieniało. „Wielokrotnie ulegała przemianie, próbując odnaleźć wewnętrzne poczucie pełni. Wierzyła, że z każdą przemianą osiągnie wizerunek, który zwróci uwagę osób, które w danym momencie najbardziej chciała zadowolić – tych, które dawały jej poczucie bezpieczeństwa i istnienia" – zauważył Salomon Grimberg w *Frida Kahlo: Song of Herself* (*Pieśń o samej sobie*).

Wielowymiarowa osobowość Kahlo sprawia, że do dziś wiele osób utożsamia się z jej doświadczeniami. Dla cierpiących na przewlekłe choroby i na co dzień zmagających się z bólem, dla uwikłanych w trudną relację, dla zmagających się z depresją, mających problemy z samooceną, dla tych, których tożsamość i orientacja seksualna nie są łatwe do zdefiniowania, wreszcie dla tych, którzy starają się uporać z ciężarem zaznanych traum – dla nich wszystkich postać Fridy jest źródłem pocieszenia. Jedni odnajdą je w pięknie, które kreowała nie tylko w swoich obrazach, ale też poprzez własny wizerunek i starannie wypracowany styl. Drugich zafascynuje jej niezwykły stosunek do zwierząt – w Casa Azul mieszkały małpy, udomowione orły, pawie, psy, koty, kaczki i gołębie – a także bliska więź z naturą, wiara w jedność wszystkich żywych istot. Jeszcze innych pociągać będzie jej umiejętność przetrwania, zmagania się z licznymi dolegliwościami, wytrwałość, radość życia, a także otwartość w kwestii własnej seksualności. Część osób dostrzeże natomiast jej bardziej skomplikowane, niejednoznaczne oblicze – choleryczny temperament, kryzysy psychiczne (cierpiała na depresję, co najmniej dwukrotnie podejmowała próby samobójcze), emocjonalne uzależnienie od Diega, a nawet zaborczość czy narcyzm.

Eksponując własną krew, ból, rozdarcie, lęk, niemoc i niespełnione pragnienia, Kahlo pomogła i pomaga kobietom.

Wizerunek zewnętrzny Fridy – jej stroje wzorowane były głównie na stylu kobiet Tehuana, mieszkanek regionu Tehuantepec w meksykańskim stanie Oaxaca, znanych z barwnych, oryginalnych strojów oraz silnej pozycji społecznej w lokalnej kulturze. Ubiór, makijaż, biżuteria i sposób upięcia włosów zapewniały Fridzie atrakcyjny, spójny wizerunek, stanowiły rodzaj zbroi chroniącej przed zewnętrznym światem, dzięki czemu jej sztuka mogła stać się przestrzenią wolności, eksplorowania siebie jako tajemniczej, niekiedy mrocznej krainy. Za pomocą stroju, starannego makijażu, specjalnego obuwia (jeden but był wyższy, aby zamaskować krótszą nogę) tuszowała wszelkie defekty chorego ciała. Na swoich obrazach obnażała się i pokazywała to, co na co dzień było zakamuflowane: rany, blizny, wypływającą z ciała krew, połamany kręgosłup, a także ból psychiczny.

Na wielu autoportretach jej twarz pozostaje nieruchoma jak maska, z godnością i spokojem znosi cierpienie, które symbolizują różne elementy, w tym szczególnie mocne w wyrazie, duszące artystkę pasma włosów, wstążki, naszyjniki z cierniami wbijającymi się w szyję.

Frida cierpiała z powodu Diega przez ponad 25 lat. Rivera nigdy nie ukrywał, że uważa wierność za burżuazyjny przeżytek. Jego spojrzenie na skostniałą moralność nie dotyczyło jednak żony. On swobodnie nawiązywał relacje ze swoimi modelkami, asystentkami, nauczycielami angielskiego, aktorkami, które portretował. Twierdził, że stosunek seksualny jest dla niego tym, czym oddawanie moczu. Nie tolerował jednak kontaktów Fridy z innymi mężczyznami. Akceptował przygody homoseksualne, wręcz zachęcał żonę do nich.

Mimo lęku przed rozpadem małżeństwa Frida miała wiele przelotnych i kilka dłuższych relacji z mężczyznami, które ukrywała przed Riverą. W końcu romans z Lwem Trockim doprowadził do rozwodu. Nigdy jednak nie zdecydowała się odejść od męża. Mówiła, że jego liczne zdrady nic dla niej nie znaczą, mimo to była zazdrosna, co sama przyznała w wywiadzie z Olgą Campos. Niektóre związki Diega były bardziej bolesne od innych, a największym ciosem okazał się jego romans z młodszą siostrą Fridy. Rivera, jak wielu „wielkich artystów", stawiał na pierwszym miejscu sztukę, krzywdząc przy tym kochające go kobiety. Jak sam wyznał w swojej autobiografii napisanej już po śmierci Kahlo: „Jeśli kochałem kobietę, to im bardziej była mi droga, tym okrutniej pragnąłem ją zranić. Frida jest jedynie najbardziej oczywistym przykładem tej odrażającej cechy mojego charakteru".

Walczyła o zainteresowanie innych, kokietując i uwodząc. Było w niej coś elektryzującego, co widać nawet na krótkich filmach, jakie zachowały się do naszych czasów. Na jednym z nich Frida zalotnie pali papierosa i mówi coś z uśmiechem, na innym przechadza się po swoim ogrodzie w Casa Azul razem z Diegiem, okazuje mężowi czułość, przytula policzek do jego dłoni, a nawet ją całuje (ten kilkudziesięciosekundowy materiał jest pokazywany na wystawie w Tate Modern). Meksykański pisarz Carlos Fuentes we wstępie do *Dziennika* Kahlo pisał, że kiedy pojawiła się na premierze spektaklu w teatrze, miał wrażenie, że widzi przed sobą aztecką księżniczkę. W książce *Kłirówy* Sylwia Chutnik, dla której Frida pozostaje ważną inspiracją, podkreśla: „czasami hiperkobieca w strojnych sukniach, czasami niczym dandys, poza regułami i binarnym podziałem. Jej tożsamość nie musiała być definiowana, jej samej nie były potrzebne kategorie".

Niejednoznaczna tożsamość seksualna i wyeksponowanie androgynicznych cech urody sprawiły, że stała się ważną figurą dla osób queerowych.

—

PO ŚMIERCI ARTYSTKA szybko została zapomniana. Rivera zmarł trzy lata później, ale w Meksyku pamięć o jego dokonaniach przez długi czas pozostawała żywa. Pół wieku później sytuacja się zmieniła i to Frida stała się wizytówką kraju, a Rivera poza ojczyzną jest dziś kojarzony przede wszystkim jako mąż słynnej żony. Żadne z nich za swojego życia nie mogło przewidzieć takiego obrotu spraw.

W Meksyku przypomniano sobie o malarstwie i Kahlo w latach 70. Wtedy po raz pierwszy zaprezentowano retrospektywę jej prac, a zainteresowanie artystką podsycały publikacje książkowe i pierwsze teksty biograficzne. Przełomowy esej Lindy Nochlin *Dlaczego nie było wielkich artystek* z 1971 roku stał się kamieniem milowym w rozwoju feministycznej historii sztuki. Autorka wykazała w nim, że nieobecność twórczyń w publikacjach na temat sztuki i w muzeach nie wynika z braku ich talentu i wartościowych dokonań, ale ma źródła instytucjonalne i historyczne. Kobiety miały ograniczony dostęp do edukacji artystycznej i rynku sztuki, a mimo to tworzyły i funkcjonowały na marginesie świata sztuki.

Esej Nochlin w połączeniu z działaniami feministycznych historyczek sztuki zapoczątkował procesy odkrywania dawnych artystek i włączania ich do kanonu. W ich gronie znalazła się Frida Kahlo – Judy Chicago umieściła ją w swojej słynnej instalacji *The Dinner Party* (*Przyjęcie*) prezentującej ważne, inspirujące i niedocenione kobiety mające niezwykłe osiągnięcia. Nazwisko Kahlo znalazło się wśród 999 kobiet wymienionych na tak zwanej Heritage Floor (Posadzka Dziedzictwa).

Jednym z ważnych momentów w procesie odkrywania Fridy na nowo była wystawa w Galería de la Raza w San Francisco zorganizowana w 1978 roku. Artystki meksykańskiego i azjatyckiego pochodzenia poprzez swoje prace oddały hołd malarce, co było ważnym momentem popularyzacji jej twórczości poza Meksykiem. W Europie za punkt zwrotny w recepcji sztuki Kahlo uznaje się wystawę *Frida Kahlo and Tina Modotti* w londyńskiej Whitechapel Gallery (1982). Rok później ukazała się głośna, do dzisiaj kanoniczna biografia artystki napisana przez Hayden Herrerę. Książka stała się światowym bestsellerem i odegrała ogromną rolę w popularyzacji życia i twórczości meksykańskiej malarki. W Polsce ukazała się 20 lat po premierze.

Na fali ruchu feministycznego w latach 70. i 80. Kahlo zaczęła być postrzegana jako emblematyczna postać uosabiająca kobiecą siłę i sprawczość. Osobista i odważna twórczość, wizerunek artystki, poruszane przez nią tematy (ciało, płodność, niepełnosprawność, ból, obsesyjna miłość) stały się czytelnym punktem odniesienia w progresywnym podejściu do tego, co oznacza bycie kobietą. Feministki tamtego okresu skupiły się jednak na określonych aspektach życia i dzieł Kahlo, ignorując polityczny aktywizm i jej radykalne, komunistyczne poglądy.

Malarka wstąpiła do Meksykańskiej Partii Komunistycznej jeszcze przed ślubem z Riverą, z którym dzieliła podobne przekonania. Przez resztę życia pozostawała aktywna w walce o prawa robotników i przeciwko nierównościom społecznym. Uczestniczyła w marszach protestacyjnych i wiecach. Ostatnim publicznym wystąpieniem artystki był udział w demonstracji w Meksyku przeciwko interwencji Stanów Zjednoczonych w Gwatemali, w której wzięła udział 11 dni przed śmiercią. Nie ma natomiast świadectw jej zaangażowania w działalność na rzecz praw kobiet, choćby w walce o przyznanie Meksykankom pełnych praw wyborczych (uprawnienia te uzyskały zresztą późno, dopiero w 1953 roku).

W opowieści o życiu Fridy często pomija się jej fascynację Stalinem wyrażoną w *Dzienniku* i kilku obrazach. „Nadszedł już czas, aby sympatycy Rewolucji zrozumieli. Żeby czytali Lenina, Stalina. Żeby mieli świadomość, że jesteśmy zaledwie «początkującymi uczniami», miniaturową cząstką rewolucyjnego ruchu (...) Deklaruję, że nie zgadzam się z kontrrewolucją – z imperializmem, faszyzmem, religiami, głupotą, kapitalizmem – i całą gamą konserwatywnych trików, którymi posługuje się burżuazja. Chcę wspomagać Rewolucję, by przekształcić świat w miejsce pozbawione klas społecznych, pulsujące nowym, lepszym rytmem, bez ucisku i wyzysku społecznego" – pisała około 1952 roku. Ocena rządów radzieckiego dyktatora jest jednoznaczna, z dzisiejszej perspektywy niełatwo więc zaakceptować deklarowaną przez Kahlo miłość do komunistycznego zbrodniarza. Bell hooks, dla której artystka była wielką inspiracją, mówiła: „Frida była naśladowana przez białe feministki, które ją wykorzeniały i odpolityczniały. Stworzyły ikonę feminizmu, nie rozumiejąc nacjonalistycznej roli, jaką odegrała w Meksyku i w ruchu rewolucyjnym".

Londyńska wystawa w Tate Modern pomija polityczne zaangażowanie meksykańskiej malarki. Jedyne nawiązanie do tego stanowi gipsowy gorset z wymalowanym na przodzie przez Fridę sierpem i młotem.

Podejście Kahlo do niejednoznacznej tożsamości seksualnej oraz eksponowanie androgenicznych cech urody (wąsik nad górną wargą czy zrośnięte, grube brwi) sprawiły, że stała się ważną figurą dla osób queerowych. W Londynie poświęcono temu osobną sekcję ekspozycji. Zaakcentowano też wpływ stylu i wizerunku Fridy na modę.

Kahlo została odkryta przez świat mody pod koniec lat 90. W 1997 roku francuski projektant Jean-Paul Gaultier zaprezentował na wybiegu skórzany gorset nawiązujący do tego, który Frida ma na sobie na obrazie *Strzaskana kolumna* (1944). Od tamtej pory wizerunek malarki regularnie powraca w kreacjach projektantów, sesjach modowych i wzorach dodatków.

—

EKSPOZYCJA W TATE MODERN w dużej mierze koncentruje się na wpływie, jaki sztuka i postać Kahlo wywierały i wciąż wywierają na artystki i artystów różnych ras, narodowości i orientacji. Od lat 70. XX wieku twórczość Fridy stała się istotnym punktem odniesienia dla wielu kobiet, które deklarowały, że sztuka meksykańskiej malarki była dla niech niezwykle ważną inspiracją. Na wystawie można zobaczyć prace twórczyń podejmujących tematy ciała i identyfikacji, między innymi Any Mendiety, Kiki Smith czy członkiń grupy Guerrilla Girls, nawiązujące do wątków wprowadzanych przez Kahlo. Niektóre z nich poprzez swoje dzieła oddają hołd Fridzie, na przykład Tracey Emin, która na jednej ze swoich fotografii leży w łóżku, stylizowana na Kahlo. Niestety poza tą pracą na wystawie zabrakło dzieł innych europejskich artystek.

Frida: The Making of an Icon prezentuje dzieła szerokiego grona twórców podejmujących dialog ze sztuką Kahlo albo reinterpretujących jej prace. Do tych ostatnich należy Japończyk Yasumasa Morimura tworzący fotograficzne autoportrety inspirowane kompozycjami Fridy.



obraz YASUMASA MORIMURA – Wewnętrzny dialog z Fridą Kahlo (Kolczyki w kształcie dłoni)

2001© Yasumasa Morimura; Courtesy of the artist, Luhring Augustine, New York and Yoshiko Isshiki Office, Tokyo.

Ta część ekspozycji dominuje i jednocześnie przytłacza. Obrazów, rysunków (w tym fragmentów komiksów), rzeźb i instalacji – na przykład odwołujących się do meksykańskiej tradycji Día de los Muertos (Dzień Zmarłych) – zaprezentowano na wystawie zdecydowanie więcej niż dzieł samej Fridy. Dysproporcja jest ogromna: ponad 30 oryginalnych obrazów i prac graficznych (między innymi *Dziennik* oraz litografia) malarki i ponad 200 obiektów innych twórców, w tym projekty modowe inspirowane stylem Kahlo.

Zgromadzenie tak dużej liczby obrazów Fridy na jednej wystawie było niezwykle trudnym przedsięwzięciem, ponieważ większość jej prac jest rozproszona po całym świecie i znajduje się w rękach prywatnych. Tym większe znaczenie miała londyńska ekspozycja z 2005 roku, na której wystawiono aż 80 prac artystki. Teraz nawet Madonna nie zdecydowała się wypożyczyć obrazów. W kolekcji piosenkarki znajduje się jedna z najsłynniejszych i najważniejszych prac Kahlo, *Moje narodziny* (1932).

Stosunkowo niewiele dzieł samej Fridy Kahlo, w ich liczbie zaledwie kilka najbardziej znanych obrazów, stało się źródłem rozczarowania dla wielu odwiedzających wystawę w Tate Modern, co znajduje odzwierciedlenie w relacjach i postach zamieszczanych w mediach społecznościowych.

Członkowie zespołu kuratorskiego wystaw w Londynie i Houston podkreślają jednak, że ich celem nie było przygotowanie kolejnej retrospektywy prac Kahlo, bo tego typu ekspozycji było już wiele. Skupili się natomiast na eksplorowaniu artystycznego, kulturalnego, komercyjnego fenomenu fridamanii.

Ostatnia sala ekspozycji uzmysławia skalę komercjalizacji, jakiej uległ wizerunek Kahlo. Sięgające od podłogi do sufitu gabloty wypełniają lalki (w tym także „wybielona" Frida jako Barbie) oraz rozmaite przedmioty z podobizną malarki. Widniejąca na etykietach kosmetyków, termosach czy koszulkach twarz jest rozpoznawalna nawet bez monobrwi i wąsika – cech wyglądu, które na trwałe zapisały się w zbiorowej pamięci dzięki autoportretom artystki oraz reprodukowanym na całym świecie fotografiom, szczególnie tym autorstwa Nickolasa Muraya, między innymi *Fridzie Kahlo w różowym rebozo* z 1939 roku. Niepotrzebne są już nawet oczy czy usta – wystarczają mocne, egzotyczne kolory i kwiaty w upiętych włosach.

Frida jako postać żyje już własnym życiem. Jej wizerunek wykorzystywany jest w dziedzinach niemających z nią wiele wspólnego. Kahlo mówiła, że nie lubi jeść. Z powodu dużej ilości zażywanych leków nie miała apetytu. Tymczasem jej wizerunek widnieje na okładkach rozmaitych książek kucharskich promujących potrawy meksykańskie, w tym rzekome przepisy samej Fridy.

W mediach społecznościowych zdjęcia autentycznych obrazów albo fotografie malarki zastępują wygenerowane przez AI wizualizacje.

W mediach społecznościowych zdjęcia autentycznych obrazów albo fotografie malarki zastępują wygenerowane przez AI wizualizacje, które trywializują, a często zniekształcają sztukę i prawdziwe oblicze Kahlo. Coraz więcej jest treści upraszczających albo wręcz fałszujących jej biografię poprzez wyrwane z kontekstu, często zmyślone cytaty z jej listów czy *Dziennika*, niemające oparcia w dokumentach interpretacje jej życia.

Na szczęście nie brakuje osób, które nadal traktują twórczość i życie Fridy Kahlo jako źródło artystycznej inspiracji. Iwona Demko, jedna z najbardziej znanych polskich twórczyń wizualnych, mówi mi:

– Frida Kahlo jest dla mnie ważna przede wszystkim ze względu na swoją odwagę w pokazywaniu kobiecej cielesności. Jako jedna z pierwszych wprowadziła do sztuki doświadczenia dotąd marginalizowane lub uznawane za tabu: ból, chorobę, poronienie, niepełnosprawność i fizyczne cierpienie. Jej malarstwo nie szukało poklasku ani męskiego spojrzenia, było niezwykle szczerym, autonomicznym zapisem własnego doświadczenia i tożsamości.

I dodaje: – Ta bezkompromisowość w rzucaniu wyzwania tradycyjnemu kanonowi piękna pozostaje cały czas inspirująca. Frida to też buntowniczka: artystka, która w skrajnie patriarchalnym Meksyku, w cieniu wielkiego męża, miała swój własny głos. Głos, który z biegiem lat wcale nie słabnie, wręcz przeciwnie, nabiera coraz większej siły.

Po opuszczeniu wystawy trzeba przejść przez muzealny sklepik. Kupuję katalog (ładnie wydany, choć ubogi w merytoryczne treści), kilka notesików z reprodukcjami obrazów Kahlo dla przyjaciółek i opuszczam to królestwo kiczu z poczuciem niesmaku. Szybko wychodzę z ogromnego gmachu na rozpalone nabrzeże Tamizy. Chciałabym jak najdłużej zachować w pamięci widziane z bliska detale obrazów, precyzyjnie namalowane ręką artystki: zachwycające miniaturowe pisklę, niepokojące kwiaty opuncji, lśniące od soku arbuzy, różową sukienkę indiańskiej dziewczynki, oczy Kahlo, które wpatrywały się prosto we mnie, jakby chciały mi przekazać jakieś sekretne wyznania.

Minęło niemal 80 lat od momentu, w którym Kahlo namalowała siebie jako jelonka cierpiącego (niczym Święty Sebastian) od ran zadanych przez wbite w jego ciało strzały. Przekaz artystki wyrażony wizualnym językiem symboli pozostaje niejednoznaczny, podobnie jak ona sama.

Londyńska wystawa została przygotowana w ramach współpracy z The Museum of Fine Arts w Houston w Teksasie i tam była pokazywana na początku 2026 roku. W Londynie pozostanie do 3 stycznia 2027 roku.



APTECZKA Kulturalny niezbędnik złożony z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów, filmów i płyt, ale też wspomnień o miejscach, formujących doświadczeń. Moich rozmówców i rozmówczynie pytam o to, co przynosi im spokój, napędza do działania i ratuje w momentach kryzysu. Z czego składa się kulturalna apteczka szkockiej wokalistki, liderki zespołu Garbage, SHIRLEY MANSON?

Nie sądziłam, że będę jeszcze śpiewać o miłości

SHIRLEY MANSON, szkocka wokalistka, autorka tekstów piosenek i aktorka. Od 1994 roku członkini amerykańskiego zespołu Garbage, który sprzedał dotąd ponad 17 milionów płyt na całym świecie i był siedmiokrotnie nominowany do nagrody Grammy. Ich ostatni studyjny album *Let All That We Imagine Be the Light* ukazał się wiosną 2025 roku.

Po swoją apteczkę sięgam, gdy potrzebuję dodać sobie odwagi. Moja bezkompromisowość dużo mnie kosztuje. Media nieraz obwieszczały, że zwariowałam. Ale bycie buntowniczką jest częścią mojej natury. Dlatego cieszy mnie, że jest tyle artystów i artystek młodego pokolenia, którzy nie boją się zabierać głosu w słusznej sprawie. W muzycznym świecie idealnym przykładem tego są dla mnie Fever Ray, Fontaines D.C. i Kneecap. Ich występy nie służą jedynie rozrywce – mają też wydźwięk polityczny. A sami muzycy, choć zdają sobie sprawę z tego, jak działają mechanizmy władzy, z pełną determinacją sprzeciwiają się systemowi.

Podobną odwagą w literaturze wykazuje się Ocean Vuong. Imponuje mi jego podejście do tekstu – gdy eksperymentuje, nie robi tego, żeby rozsadzić formę, ale by wzmocnić odczucia. Mogłabym godzinami słuchać, jak opowiada o języku.

Apteczka przydaje mi się również, gdy wchodzę do studia nagraniowego. Wszyscy w zespole uwielbiamy kino. Od samego początku zależało nam na tym, by kawałki Garbage działały na wyobraźnię, przywoływały na myśl konkretne obrazy. Już podczas pierwszych wspólnych sesji nagraniowych puszczaliśmy sobie różne filmy w tle, by odpowiednio nastroić się do pracy. Warunek był jeden: im dziwniej, tym lepiej. Oglądaliśmy wtedy dużo Davida Lyncha. W latach 90. był niemal piątym członkiem naszej grupy.

Teraz więcej inspiracji czerpiemy z rzeczywistości. Najbardziej porąbane rzeczy dzieją się przecież na naszych oczach. Album *No Gods No Masters* powstawał pod koniec pierwszej kadencji prezydenckiej Trumpa. Byliśmy zaniepokojeni sytuacją polityczną w kraju, który z dnia na dzień coraz bardziej zaczynał przypominać autorytarny reżim. Wszystkie nasze frustracje i lęki znalazły wtedy ujście w muzyce. Poskutkowało to tym, że album był naładowany gniewem, za to pozbawiony krzty nadziei. Może dlatego momentalnie trafił w próżnię. Zarzucano mi wtedy, że straciłam właściwą perspektywę. Bo jaki można mieć cel w opłakiwaniu zniszczenia?

Gdy zaczynaliśmy pracę nad kolejnym krążkiem, *Let All That We Imagine Be the Light*, byłam już w zupełnie innym miejscu. Na nowo uczyłam się chodzić po dwóch operacjach wymiany stawów biodrowych. Właśnie w takich momentach upada mit o byciu niezniszczalną gwiazdą rocka. Nic tak nie uczy pokory jak kolejna nieudana próba podniesienia się z łóżka. Żeby wyzdrowieć, potrzeba nie tylko determinacji – niezbędna jest nadzieja.

W ten sposób zaczęłam też myśleć o muzyce, którą chcę tworzyć. Nie musiałam przekonywać do tego pozostałych członków zespołu. Bo choć sytuacja na świecie w ciągu kilku lat od wydania *No Gods No Master*s wcale się nie poprawiła (jest właściwie znacznie gorzej, niż było), to konstruktywne myślenie – wzmocnione nawet niewielką dozą optymizmu – jest pierwszym krokiem do zmiany. *Let All That We Imagine Be the Light* w porównaniu z poprzednim krążkiem nie jest już tylko opowieścią o rozpaczy. Gdzieś na końcu tunelu widać światło. I nawet jeśli może się okazać, że zwiastuje ono nadjeżdżający pociąg, to i tak warto iść w jego stronę.

To za sprawą tej płyty zmieniłam swoje podejście do życia – w mojej apteczce pojawiła się miłość, z której uczyniłam codzienną praktykę. Podobnie jak w przypadku każdej innej aktywności, odnoszę zarówno sukcesy, jak i porażki w kochaniu. Zawsze z pobłażaniem traktowałam hasła typu: „Peace & Love", więc to, co za chwilę powiem, może zabrzmieć jak totalny banał. Za każdym razem jednak, gdy przytłacza mnie wiadomość o kolejnej tragedii, która wydarza się na świecie, przypominam sobie, że przecież mam wybór – mogę zdecydować, z jaką emocją zostanę i co przekażę dalej. Jeszcze do niedawna nie wyobrażałam sobie, że w piosence Garbage znowu padnie słowo „miłość". Tymczasem teraz mam w głowie przynajmniej jedną.

Rozmawiał i przełożył Mateusz Roesler



MATEUSZ ROESLER, kulturoznawca, dziennikarz, badacz komunikacji. Absolwent Gender Studies IBL PAN. W „Piśmie" odpowiada za koordynację projektów i współprace strategiczne. Autor podcastu *Trzaski i szmery*. Nawiązał długofalowe partnerstwo z żółwiem Herbertem. Instagram: @mm_roesler.

rysunki ANNA GŁĄBICKA

Yesteryear

tekst CARO CLAIRE BURKE
przełożyła ELŻBIETA JANOTA

To ostatni dzień życia, które dla siebie wymyśliłam.

Obudziłam się jak zwykle dwie minuty przed budzikiem. Piąta pięćdziesiąt osiem i pyk: oczy szeroko otwarte, jestem gotowa powitać nowy dzień. Nigdy nie miałam problemu z wczesnym wstawaniem. Nigdy, ani razu, nie wcisnęłam też drzemki. Abstynencja pomaga. Nie pijam alkoholu. Pomaga również dyscyplina. Urodziłam się z nieprzebranymi ilościami dyscypliny, praktycznie nią ociekam – chyba właśnie dlatego nic nigdy nie sprawiało mi większego kłopotu. Ani macierzyństwo, ani małżeństwo, ani rozwijanie biznesu, ani służba Najwyższemu. Wszystko jawiło mi się jako seria zadań, które należy wykonać każdego dnia we właściwym momencie i odpowiednim porządku chronologicznym. Wiem, że innym ludziom nie przychodzi to łatwo, ale mnie tak.

To dlatego ci wszyscy nieznajomi tak bardzo mnie lubili.

A, no i pieniądze. Pieniądze też z całą pewnością pomagały.

Była zima. Styczeń. Przez przełęcz przeszedł właśnie zimny front. Przy oknie mojej sypialni kaloryfer wydmuchiwał gorące powietrze. Niebo na zewnątrz powlekło się czernią głęboką jak śmierć i miało takie pozostać jeszcze przez kilka godzin. Nasza farma przycupnęła wśród pofałdowanych niecek między dwoma pasmami górskimi w Idaho, co znaczyło, że w zimowych miesiącach nie oglądaliśmy słońca mniej więcej do dziewiątej. Do naszego domu prowadziła długa, kręta żwirowa wiejska droga. Nawet samoloty nie latały nam nad głowami.

W ciemności nasłuchiwałam odległego muczenia Sasafras, naszej ukochanej mlecznej krowy. Na podstawie wysokości i rejestru jej jęków byłam w stanie stwierdzić, że mój mąż, Caleb, właśnie ją doi. W samą porę. Dobry z niego człowiek.

Zanim się poznaliśmy, mój mąż nie był zdyscyplinowany. Urodził się jako najmłodszy z pięciu chłopców, najsłabszy w miocie pewnej amerykańskiej dynastii. Jego ojciec był ostatnim z długiej linii senatorów i obecnie toczył zaciekłą walkę o fotel prezydenta (do trzech razy sztuka!); matka męża zajmowała się domem i przez większość życia tonęła w chardonnay. Wspólnymi siłami, na skutek niemal zabójczego połączenia ojcowskiego zaniedbania z matczynym współczuciem, wychowali Caleba na miękkiego, rozpieszczonego i słodkiego młodzieńca. Jednak od człowieka o zaletach danych przez Boga cenniejszy jest tylko człowiek gotowy się uczyć, a ten człowiek, mój mąż, taką gotowość w sobie miał.

Kim byłam ja?

Nienaganną chrześcijanką. Radosną, szaloną dziewczyną rodem z amerykańskiego snu zamieszkującą najgłębiej skrywane, najmroczniejsze fantazje naszej nacji. Matką, jaką chciała być każda kobieta, żoną, do której chciał po pracy wracać każdy mężczyzna. Jak zakonnica w pornosie – nie miało to sensu, ale, na Boga, jakimś cudem działało.

Nazywam się Natalie Heller Mills i byłam doskonała w życiu pełnią życia.

W ciszy pomiędzy niemal ludzkimi pomrukami rozkoszy wydawanymi przez Sasafras (czasem żartowałam w sieci, że mój mąż ma krowią kochankę, ha, ha!) słyszałam odległe trajkotanie dochodzące z kurnika, to medytacyjne gdakgdakgdakgdakgdak, które na farmie służyło nam za generator białego szumu. Kochałam nasze kury. Były udomowione jak psy, niegroźne niczym kilkuletnie brzdące. Czasem szłam do kurnika tylko po to, by z nimi posiedzieć. Lubiłam głaskać je po jedwabistych szyjach, pozwalałam, by delikatnie wydziobywały karmę z moich złączonych dłoni.

Wkrótce je zabijemy. W ciemności ślinka napłynęła mi do ust. Marzył mi się ostatnio świeży rosół na kości. Kiedy raz zrobi się go samodzielnie, kupny nabiera zjełczałego posmaku.

Przez uchylone drzwi sypialni napłynęła fala chłopięcego śmiechu. Dzieci jadły śniadanie w położonym kawałek dalej pomieszczeniu. Zamknęłam oczy, wczuwając się w rytmy domu przypominające bicie serca.



rysunek SIMON MOULIJN, Rijksmuseum, domena publiczna

CARO CLAIRE BURKE, pisarka, współprowadząca podcast *Diabolical Lies*, poświęcony kulturze i polityce. *Yesteryear* to jej debiut literacki.

Niania Louise – dar niebios dla naszej rodziny – stała przy piecu i smażyła pankejki. Producentka Shannon – moja prawa ręka – gdzieś w okolicach zlewu szykowała sprzęt wideo na długi dzień pracy. Stetson i Samuel – moi ukochani mali mężczyźni – siedzieli przy stole jednakowo zaspani, szarpiąc się i szturchając. Clementine – moja najstarsza, dziewczynka, która uczyniła mnie matką – zajęła miejsce u szczytu stołu i ignorując braci, czytała książkę. Niania Aimee – zastępczyni głównodowodzącej – poruszała się w odległych zakamarkach domu, budząc maluchy, całowała senne powieki i delikatnie wprowadzała moje dwa szkraby w nowy dzień. Później przyprowadzi jedną z córek do kuchni, przekaże ją niani Louise i wróci po drugą.

Z zamkniętymi oczami wyszeptałam modlitwę, jak co dzień dziękując Panu za wszystko, co mi dał.

Dziękuję Ci, Ojcze, za Caleba. Dziękuję za Spadek. Dziękuję za Clementine, Samuela, Stetsona, Jessę, Junebug i małego aniołka, któremu nie nadaliśmy jeszcze imienia.

Moja dłoń instynktownie powędrowała do brzucha i spoczęła na szczycie wypukłości. Miałam trzydzieści dwa lata. Byłam w szóstym miesiącu ciąży z naszym szóstym dzieckiem. Znosiłam ją najłatwiej z dotychczasowych ciąż – choć wszystkie przebiegały stosunkowo gładko. Urodziłam się, by być matką. Nigdy nie czułam się bardziej z Nim związana niż wtedy, gdy powierzał mi noszenie pod sercem jednego ze swoich stworzeń.

(Rozumiecie, o czym mówię? Doskonałość).

Czułam, jak moja mała dziewczynka przekręca się na bok. Moja morska istotka. Tak bardzo ją kochałam.

Dziękuję Ci, Panie, że czuwasz nad zwierzętami i że pomogłeś nam w tym tygodniu przekroczyć pięć milionów na Instagramie. Tylko kilka dusz dzieli nas, Panie, od miliona na YouTubie. Twoja wola i tylko Twoja wola sprawia, że udało mi się dotrzeć do tylu serc i umysłów. W Twoje imię głoszę Twoją prawdę.

Przetoczyła się przeze mnie fala mdłości, którą przecierpiałam w mroku. Czasem naprawdę robiło mi się niedobrze na myśl o tym, jak doskonałe jest moje życie i jaka świetna jestem w jego przeżywaniu.

Na szafce nocnej mój telefon hałaśliwie zbudził się do życia. Wyciągnęłam rękę, by go wyciszyć, a potem odrzuciłam kołdrę i wstałam.

Nie zawsze mieliśmy tyle pomocy. Przez kilka pierwszych lat byliśmy tylko my, dzieci i farma. Gdy po raz czwarty zaszłam w ciążę, zatrudniliśmy nianię Louise. Kiedy zdarzyło się to po raz piąty, zatrudniłam nianię Aimee, a wkrótce potem wspólnie zaangażowaliśmy producentkę Shannon. W tej chwili mieliśmy aż za dużo wsparcia. Dzięki temu mogłam przez cały długi dzień być obecna zarówno przy dzieciach, jak i obserwatorach, kiedy tylko chciałam i na wszelkie możliwe sposoby. Tak to wygląda, gdy jest się jednocześnie matką, żoną i influencerką: trochę jakbyś karmiła piersią troje dzieci naraz. Jakbyś uwodziła trzech kochanków.

Dlaczego nigdy nie pokazuje pani, ile pomocy macie za kulisami?

„Kochamy nasze pracowniczki jak rodzinę, dlatego robimy co w naszej mocy, by tak jak sobie życzą, chronić ich prywatność. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby moje konto w mediach społecznościowych w jakikolwiek sposób naraziło je na szwank".

Kiedy weszłam do kuchni, producentka Shannon stała w rogu i majstrowała przy statywie, a czworo starszych dzieci jadło śniadanie przy stole, każde ubrane w gruby wełniany sweter. Niania Louise pomagała Jessie, naszej trzyipółlatce, nalewającej sobie soku pomarańczowego do szklanki.

– Umiem sama! – marudziła Jessa.

Niania Louise, która pracowała też jako nauczycielka edukacji domowej, pokiwała głową i odparła:

– Oczywiście, że umiesz. Zobacz. Właśnie to robisz. Całkiem sama. Duża dziewczynka.

Jessa uśmiechnęła się szeroko – werbalne zapewnienie o autonomii wystarczyło, by zapomniała o dłoniach niani Louise, które nie rozstawały się z naczyniem.

– Duża dziewczynka – zawtórowała.

Niania Louise przechyliła szklankę, a moja maluszka zaczęła łapczywie pić. Z aprobatą przyglądałam się, jak miąższ ścieka jej po brodzie. Był to sok pomarańczowy domowej roboty. Tutorial miał pojawić się w sieci jeszcze w tym tygodniu.

– Dzień dobry! – przywitałam wszystkich obecnych.

Pięć głów obróciło się w moim kierunku. W odpowiedzi rozległo się chóralne i radosne: „Bry, mamusiu!".

Obeszłam stół, całując każdy doskonały policzek, mierzwiąc czuprynę na każdej doskonałej główce. Wszystkie moje dzieci, nawet chłopcy, nosiły długie włosy. Dziewczynki wyglądały całkiem jak ja: wąskie piegowate twarze, ciemne jak gleba włosy, rysy łatwo układające się w wyraz przenikliwej powagi. Przyłapcie którąś z nas z nadąsaną miną, a z miejsca wybaczę wam skojarzenie z szesnastowieczną męczennicą urządzającą strajk głodowy. Chłopcy natomiast przypominali Caleba: rumiane policzki i szerokie uśmiechy z mnóstwem zębów. Kiedy szli gdzieś razem (co zdarzało się często; chłopcy uwielbiali Caleba), przywodzili mi na myśl trio maszerujących równym krokiem polityków, przeczesujących okolicę w poszukiwaniu niemowląt, które można by ucałować.

Rzadko zwracałam uwagę na różnice między dziećmi. Zarówno dziewczynki, jak i chłopcy w podobny sposób mówili, w podobny sposób się śmiali. Ich ubrania tworzyły tęczę neutralnych barw. Identyczne sterty oliwkowego, beżu i ochry od ponad dekady zsuwały się w dół naszego rozrastającego się drzewa genealogicznego.

Niesamowite, jak długo może wytrzymać bawełna dobrej jakości.

Podeszłam do chłopców, Stetsona i Samuela. Stetson miał osiem lat, był o cały rok młodszy od Samuela, ale zeszłego lata zrównali się pod względem wzrostu i wagi. Z powodu włosów sięgających ramion i ponieważ wszystko – od biegania, przez zabawę i wykonywanie obowiązków domowych, po szuflowanie jedzenia do ust – robili w niezdarnym, szarpanym synchronicznym rytmie, przypominali mi parę tresowanych kucyków.

Położyłam im ręce na głowach, podczas gdy z apetytem typowym dla małych chłopców pochłaniali płatki śniadaniowe, i poczułam, jak ich czaszki ruszają się pod moimi dłońmi niczym opętane manetki buldożera.

– Co dziś w planach, chłopcy?

– Trza zbudować nową zagrodę dla Sasafras – odparł Stetson z pełnymi ustami.

– Mmm – przytaknęłam. – Ważna sprawa. Papa będzie wdzięczny za pomoc.

– Papa powiedział, że da mi użyć gwoździarki.

Samuel pchnął Stetsona, wytrącając mu z ręki łyżkę płatków, tak że z brzękiem wylądowała na podłodze.

– Teraz moja kolej na używanie gwoździarki!

– Obaj będziecie używać gwoździarki – zapewniłam. – Nianiu Louise...?

Skinęła głową, otarła brodę i policzki Jessy z gęstego od miąższu soku, po czym wstała, by posprzątać bałagan.

Ludzie nie chcieli wierzyć, że moje maleństwa są takie posłuszne, jak wydają się w sieci. Nie ma szans, że tak wygląda ich prawdziwe życie!!!! – wypisywały Wściekłe Kobiety. (Tak je z Calebem nazywaliśmy. Wściekłymi Kobietami). Na co odpowiadałam: nijak, oczywiście. Najważniejszym zadaniem matki jest ochrona dzieci przed światem. Nie było potrzeby, żeby jakaś nienawistna jędza z Manhattanu oglądała, jak Samuel wdaje się w bójki z bratem (a czasem nawet z siostrami), nie musiały świadkować codziennym atakom szału Stetsona z powodu arytmetyki (kochałam tego chłopca, ale nie przypadła mu w udziale standardowa porcja intelektu). Gdyby Wściekłe Kobiety dowiedziały się o którymś z niedociągnięć moich dzieci, zapałałyby szaleńczą żądzą krwi. Poza tym byłyby zdruzgotane. Rzecz jasna żadna z nich nie zdawała sobie z tego sprawy, lecz potrzebowały mnie tak samo jak ja ich. Tkwiłyśmy w symbiotycznej relacji. Ja byłam rekinem, a one pięcioma milionami maleńkich rybek podskubujących substancje odżywcze przywarte do mojego brzucha.

Idiotki jedne. Tak strasznie chciały mnie zjeść. Nie miały pojęcia, że to ja utrzymuję je przy życiu.

Jakie to uczucie wiedzieć, że miliony ludzi na całym świecie znają intymne szczegóły z życia pani dzieci?

„Pokazuję tylko nieliczne, wybrane momenty z życia moich dzieci. Poza tym żadne z nich nie ma dostępu do jakichkolwiek urządzeń – tak na marginesie, widzieliście wyniki badań? Na temat tego, co ekrany robią z dziecięcymi mózgami? Jeśli chcecie wiedzieć, moje dzieci dużo lepiej mają się w tym domu, gdzie od czasu do czasu pojawią się w filmikach na moim koncie, niż byłoby im w innym, gdzie przez cały wieczór gapiłyby się w iPady. No bo naprawdę". Pełne współczucia cmoknięcie. „To epidemia. Smutna sprawa. Temu powinniście się przyjrzeć".

– Wcześnie wstałaś – zwróciłam się do producentki Shannon i nalałam sobie kawy.

– Nie mogłam spać – wyjaśniła.

Ze zmarszczonym czołem i naburmuszoną miną obracała jakimś pokrętłem przy kamerze to w jedną, to w drugą stronę. Gdy Shannon zjawiła się na ranczu, miała



dziewiętnaście lat, różowe włosy i kolczyk w nosie, właśnie odpadła ze studiów w Barnard College i była gotowa wykonywać profesjonalną robotę za studencką stawkę. Teraz skończyła dwadzieścia jeden lat. Kolczyk w nosie został; z różowych włosów zrezygnowała na rzecz naturalnie brązowych. Nie byłam pewna, czy wynikało to z jakiejś przemiany osobowościowej, czy z praktycznej akceptacji realiów związanych z mieszkaniem godzinę drogi od najbliższego miasta. W pobliżu naszej dwustuhektarowej farmy nie było zbyt wielu opcji, jeśli chodzi o wykwalifikowane fryzjerki.

Zawahałam się, po czym delikatnie spytałam:

– Znów masz te sny?

Spojrzała na mnie.

– Kto ci powiedział?

W snach Shannon stała na zboczu nieodległego wzgórza i patrzyła, jak farma spala się do gołej ziemi. Dom, kurnik, ogrody: wszystko stało w płomieniach. Z ciemnofioletowych niebios spadały kule ognia wielkości samochodów. Kiedy pożar rozprzestrzeniał się na pola, dziewczyna rzucała się do ucieczki – lub przynajmniej próbowała – a tymczasem waliła się stodoła, spod gruzów dochodził ryk zwierząt. Czasem dostrzegała w oddali, jak do niej machamy. A czasem – jeśli sen trwał wystarczająco długo – widziała wystrzeliwujące z nieba snopy światła opromieniające łaską dzieci, Caleba i mnie. Ratujące wszystkich poza nią.

– Niania Louise się o ciebie martwi – oznajmiłam w przekonaniu, że to bardziej dyplomatyczna odpowiedź niż: „Niania Louise ma dość krzyków budzących ją w środku nocy". Wszystkie osoby zatrudnione na farmie mieszkały w pokojach nad stajniami, obok klasy szkolnej do edukacji domowej.

– Nic mi nie będzie – oświadczyła Shannon. – To nic takiego.

Schyliła się, by podłączyć do prądu ładowarkę akumulatorową. Przez chwilę milczałyśmy, stojąc ramię w ramię w ciasnym kącie domu, gdzie razem spędzałyśmy prawie cały czas na jawie.

Jest pani właścicielką chyba najbardziej uwielbianej kuchni w Ameryce. Może nam pani trochę o niej opowiedzieć?

„Ojejku – od czego by tu zacząć?"

Przestrzeń do gotowania, przefiltrowana przez wybiórcze oko kamery, sprawiała wrażenie doskonale zagraconej: tu na wpół wypełniony słoik z wodą, tam odrobina rozsypanej mąki, kilka zapomnianych ciętych kwiatów rozrzuconych na wysłużonej desce do krojenia. Wyglądało to jak miejsce, w którym pracuje matka; jak kuchnia w prawdziwym świecie, tylko oczywiście lepsza niż wszystko, co prawdziwy świat ma do zaoferowania. Ludziom wydaje się, że chcą minimalizmu, wydaje im się, że chcą mieszkać bez przedmiotów, podczas gdy w rzeczywistości doskonale niezagracony dom przyprawia ich o myśli samobójcze. Przestrzeń zawsze musi wyglądać na zamieszkaną, żeby ktoś miał ochotę w niej mieszkać. To oczywista oczywistość, wystarczy chwilę się nad tym zastanowić, tyle że większość ludzi nie

poświęca ani chwili, by zastanawiać się nad czymkolwiek. Większość ludzi to kretyni.

Kolejnym plusem tej części kuchni było to, że znajdowała się tuż obok długiego rzędu okien, dzięki czemu po wschodzie słońca światło bez względu na porę wydawało się idealnie miękkojasne. Samo stanie w tym kącie sprawiało, że czułam się i wyglądałam o dobrych sześć lat młodziej. Zesłana przez Boga chirurgia plastyczna – tak to nazywałam na własny użytek, choć przez myśl by mi nie przeszło, żeby powiedzieć coś takiego online. Wściekłe Kobiety zeżarłyby mnie żywcem.

Czy cokolwiek sobie pani poprawiała?

Śmiech, śmiech, śmiech.

„Boże, nie. Przepraszam, bez obrazy dla tych, które to robią, ale ja? Szczerze? Ja bym nie mogła".

Shannon tępo wpatrywała się w okna, które we wczesne zimowe poranki zdawały się portalem do spowitego czernią świata. Wiedziałam, że rozmyśla o swoich snach. Widać było, że nie ma bladego pojęcia, co mogą oznaczać. Jak mogła być taka głupia? Bóg wyraźnie próbował do niej dotrzeć, już bardziej wprost się nie dało, wysyłał jej sygnały dymne i gołębie pocztowe, pisał wiadomości na niebie, a ona to wszystko ignorowała. Prędzej pewnie umówiłaby się na rozmowę z jakąś naciągaczką tłumaczącą sny, niż choćby wzięła pod uwagę możliwość, że mózg podsuwa jej zupełnie niemetaforyczną przestrogę. Przykro było patrzeć, jak totalnie przegapia objawienie, ale wcale mnie to nie zdziwiło. Jej mózg, częściowo wyedukowany w Barnard, był jak tępe narzędzie, świeckie i gładkie; do bezpośrednich rozmów z Bogiem nadawał się mniej więcej tak, jak dwie gumowe szpatułki do operacji na otwartym sercu.

A dlaczego Pan tak rozpaczliwie pragnął dotrzeć do Shannon?

Cóż. Dziewczyna zeszła na manowce.

—

SHANNON podniosła wzrok i nasze spojrzenia się spotkały. Zarumieniłam się, bo przyłapała mnie na wpatrywaniu się w nią z miną wyrażającą nieskrywany osąd.

– Przy okazji – zagaiła – dziś przyszedł mój nowy telefon. Jeszcze raz dzięki, że pozwoliłaś mi wykupić ekspresową dostawę.

– No jasne.

Podobno w zeszłym tygodniu jedno z dzieci upuściło jej komórkę do kałuży. A ponieważ byłam taką świetną szefową, natychmiast temu zaradziłam, wręczając dziewczynie firmową kartę płatniczą, by zamówiła sobie nowy aparat, przy czym rzuciłam nawet beztroski żarcik: „Nie chciałabym, żebyś utknęła na tym odludziu bez dostępu do prawdziwego świata!".

– Nie miałaś dziś włożyć fioletowego fartucha?

– Ach! – zawołałam ze śmiechem. – Ups! Ciążowy mózg. – Nienawidziłam tego wyrażonka, ale dzięki niemu łatwiej się było ze mną utożsamić. Przez zapomnienie



włożyłam granatowy fartuch. Tymczasem dzisiejsze nagrania miałyśmy wykorzystać jako zajawkę nowych odcieni fartuchów w naszym sklepie internetowym (trzydzieści pięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów, sto procent bawełny, guziki z recyklingowanego plastiku, wyprodukowano w Hiszpanii). – Już po niego idę.

Gdy opuszczałam kuchnię, do środka weszła niania Aimee z moją małą Junebug. Jessa, opróżniwszy szklankę, wstała od stołu i ruszyła za mną slalomem niczym puszek dmuchawca. Po drodze chwyciła Junebug za rękę i razem zaczęły wspinać się za mną po schodach, ignorując pełne skargi wołania niań.

– Nic nie szkodzi! – krzyknęłam przez ramię. – Mogą iść ze mną.

To, że Stwórca pobłogosławił nas trzema dziewczynkami pod rząd, uważałam za wyjątkowy dar. Oczywiście wszystkie dzieci są darem od Boga, ale grupki dziewcząt, niewielkie, dwu- lub trzyelementowe zestawy błyskotek – z tym nic nie może się równać. Jedna dziewczynka jest urocza, jeden chłopiec milutki, ale dziewczynki w liczbie mnogiej to uosobienie tęczy i słodyczy. Świetliste kłębuszki rozkoszności. Takie społeczne z nich istoty! W miarę jak nasza trzódka młodych dam się powiększała, powolutku zaczynały trzymać się coraz prościej, promienieć nieco jaśniej. Nosiły się nawzajem jak lalki. Zaplatały sobie włosy. Upiększały się, stroiły i obsesyjnie, jak matki dzieciom, dawały sobie szturchańce.

Lubiłam powtarzać, że gdy będziemy starzy i zniedołężniali, chłopcy zadbają, byśmy nie głodowali, ale dziewczynki? Dziewczynki będą tańczyć wokół naszych wózków inwalidzkich, rzucać płatki róż na nasze groby. Poza tym przyznaję: łatwiej je było wytresować. Chłopcy od czasu do czasu stawiali opór, frustrowali się albo nudzili, ale one – nigdy. Potrafiły występować przed kamerą godzinami, bez słowa skargi, zupełnie jak mamusia.

– Mamo.

Wzdrygnęłam się odruchowo, po czym znów przybrałam łagodny wyraz twarzy.

– Tak, skarbie?

Stałam przed lustrem w sypialni, wiążąc nowy fartuch, gdy w drzwiach zjawiła się moja najstarsza córka, Clementine. Latem skończyła dwanaście lat i parę dni później przestała nazywać mnie mamusią. Powieka drgała mi za każdym razem, gdy zwracała się do mnie per „mamo"; nienawidziłam tego słowa. Miało brzydkie brzmienie, krótkie i męskie, znacznie mniej dźwięczne niż preferowane przeze mnie określenie. Nie walczyłam z tym jednak. Clementine wchodziła w wiek nastoletni, co znaczyło, że testowała moje granice. Najgorsze, co mogłam zrobić, to dać jej odpór.

W lustrze obserwowałam, jak przecina pokój, by usiąść obok dziewczynek na moim łóżku.

– Co to znaczy tradwife?

Jak igłą po winylu.

– Gdzie usłyszałaś to słowo?

– A co? Jest brzydkie?

– Tradwife – zagruchała Jessa i zachichotała. Odrzuciła głowę w tył i powtórzyła:

– Traaaaadwife!

Prawie miałam wrażenie, że Clementine słyszy mechaniczne szczękanie mojego mózgu, który zaczął pracować na najwyższych obrotach, kiedy próbowałam wybrać jedną z pięciuset możliwych odpowiedzi na to pytanie. Najstarsza córka przypominała mnie nie tylko z wyglądu, ale też z usposobienia: intelekt trzymała niczym nóż za plecami. Teraz, gdy małymi kroczkami zmierzała w stronę kobiecości, podobieństwa między nami zaczęły mi się wydawać odrobinę niepokojące. Jakbym obserwowała swojego klona powoli zbliżającego się z odległego punktu na horyzoncie: co się stanie, gdy dotrze na miejsce?

Zdaję sobie sprawę, że nie takie uczucia powinno się żywić do córki. Ale macierzyństwo też jest swego rodzaju przedstawieniem. Chcę przez to powiedzieć, że zanim sama zostałam matką, wszystkie znajome okłamywały mnie, jak to będzie.

(...)

—

W TEMACIE ZGODY: *czy uważa pani, że dzieci są w stanie...*

„Och, błagam".

Pauza.

Mogę dokończyć pytanie?

Dłuższa pauza.

„Tak. Oczywiście".

W temacie zgody i wykorzystywania wizerunku dzieci na publicznych profilach w mediach społecznościowych...

„Właściwie to potrzebuję krótkiej przerwy na toaletę. Nie ma pan nic przeciwko?"

Tego samego wieczoru Caleb wszedł do naszej sypialni i oznajmił:

– Znów rozmawiałem dziś z tatą.

– Och?

Czytałam maile, masowo usuwając cały spam, a tymczasem nianie szykowały dzieci do spania. Dokładnie w tym momencie w mojej skrzynce z brzdąknięciem wylądowała nowa wiadomość. Od Shannon. Temat głosił: oficjalna rezygnacja

Znieruchomiałam. Przez chwilę wpatrywałam się w nagłówek. Potem go kliknęłam.

Natalie,

piszę, by dać Ci znać, że nie będę już dla Ciebie pracować. Biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się latem, a także moje koszmary, uważam, że ta praca stała się szkodliwa dla mojego zdrowia psychicznego. Mam bilet na autobus odjeżdżający dzisiaj wieczorem. Nie potrzebuję podwózki; niania Aimee podrzuci mnie na stację.

Jakby co: nie sądzę, żebyś była złą osobą. Jesteś po prostu pogubiona.

Przekaż, proszę, dzieciom, że je kocham.

Shannon

P.S. Przepraszam, że rozwalam Ci plan contentu.

– Natalie? Haloooo, jest tam kto?

– Wybacz – wymamrotałam. – Muszę... Muszę tylko szybko na coś zerknąć. Daj mi sekundkę.

Przeczytałam mejla po raz drugi i trzeci. Potem spojrzałam na Caleba.

– Co mówiłeś?

– Wszystko w porządku?

Zaśmiałam się trochę zbyt radośnie.

– To tylko głupie oferty reklamowe. A teraz, proszę, zamieniam się w słuch: opowiedz mi o swoim ojcu.

– No więc – zaczął. Zrobił dramatyczną pauzę. Werble, proszę. – Uważa, że już czas.

Niecierpliwie pokiwałam głową – wiedziałam, co zaraz powie – ale w porę przypomniałam sobie, że ma to być wielka niespodzianka. Przyłącz się do gry, Natalie. Wygłoś swoją kwestię.

– Czas na co, kochanie?



Dziel się treściami z „Pisma" jeszcze prościej.

Zachwycił Cię esej, wzruszyło opowiadanie, zainspirował reportaż? Nie zostawiaj ich tylko dla siebie, podziel się z bliskimi!

Więcej na magazynpismo.pl/podzielsie

Doskonale wiedziałam, na co się zanosi. Prawdę mówiąc, przewidziałam wszystko – że teść będzie popychał Caleba w stronę polityki, że Shannon złoży wypowiedzenie – można by nawet stwierdzić, że sama wszystko ukartowałam, a jednak z jakiegoś niepojętego względu byłam zszokowana, że to się wreszcie dzieje. Zaczyna się. Runęły pierwsze kostki domina. A mimo to: jak ona śmiała! Bardziej rozdrażnił mnie chyba ton jej wiadomości niż sama treść. Cóż za fałszywa dojrzałość. Słowa ociekające pobłażliwością, do której nijak nie miała prawa. Dokładnie takiego pisma należy się spodziewać po dwudziestojednolatce. Dokładnie takiego pisma spodziewałabym się zwłaszcza po Shannon, tej zbłąkanej owieczce, tej głupiej małej suce.

Przepraszam, Panie. Wybacz, wybacz, wybacz.

– Czas zacząć się ubiegać – wyjaśnił Caleb. – O fotel.

– O rety. Jejciu.

Ojciec Caleba był nie tylko senatorem. Był prawdziwą ikoną polityczną. Sprawował urząd już od czterech dekad, co sześć lat startował w wyborach i nikt go nigdy nie prześcignął. Był weteranem wojennym, tradycjonalistą wyznającym wartości rodzinne, typem faceta śmiertelnie poważnie nazywanym przez ludzi „Johnem Wayne'em, który zszedł z ekranu". Nie mylili się. Doug Mills miał szerokie bary i pewność siebie. Był wcieleniem patriarchy. Niemal każdej uwadze, z którą zwracał się do innego mężczyzny, towarzyszyło serdeczne poklepywanie po ramieniu. Jeśli sondaże choć w przybliżeniu mówiły prawdę, wkrótce miał zostać kolejnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Służył mi także za najbliższego sprzymierzeńca. Mój teść i ja wiedzieliśmy jedno: nie było innej drogi. Istniał tylko ten plan, bardzo delikatny, zgodnie z którym obiema zmiennymi – moją producentką, moim mężem – należało się zająć za jednym zamachem.

Ostatnie pytanie, pani Heller Mills: czy chciałaby pani skomentować potworne zarzuty o napaść, do której doszło podobno na Ranczu Yesteryear?

„Niestety nie mogę nic na ten temat powiedzieć, ponieważ śledztwo nadal jest w toku".

Chciałabym zatrzymać się w tym miejscu, by powiedzieć: inna kobieta pękłaby już lata temu.

Nie sądzę, żebyś była złą osobą.

Śmiałe słowa, jeśli kierujesz je do żony mężczyzny, którego posuwałaś. Właśnie tego określenia szukałam: śmiałe. Cały mejl był tak śmiały, że włosy stawały dęba, i mógłby doprowadzić kogoś innego, kobietę mniejszego formatu, do kompletnego załamania nerwowego; może cisnęłaby telefonem przez cały pokój, a do swojego durnego, bezużytecznego męża, który nie potrafi utrzymać fiuta w gaciach, syknęłaby: Patrz, co narobiłeś. Ale nie ja. Wpatrywałam się w tego uganiającego się za spódniczkami kretyna i mentalnie poklepałam się po plecach w uznaniu za lata pracy, podczas których wyhodowałam sobie grubą skórę dla ochrony przed światem. Patrzyliśmy prosto w lufę naszej pierwszej piarowej katastrofy. Już widziałam te nagłówki: Zarzuty wstrząsają życiem rodziny sławnej na Instagramie. Albo gorzej: Czy Natalie Heller Mills jest przywódczynią sekty? Była producentka zabiera głos.

Czy tego rodzaju tytuł zniszczyłby rodzącą się karierę polityczną? Z pewnością nie. Ameryce moralność była obojętna, o ile chodziło o polityków. Jeśli już, oczekiwaliśmy, że będą trochę szemrani. W centralnych regionach kraju taka afera mogłaby wręcz zwiększyć szanse mojego rozpieszczonego męża. Ja mogłabym nawet liczyć na przypływ obserwatorów. Ta biedna ciężarna kobieta robiąca co w jej mocy, by zapobiec rozpadowi rodziny! Serio, jeśli dobrze się nad tym zastanowić, cała ta sytuacja nadałaby się na cholernie dobry post na Instagramie.

Ale za bardzo wybiegałam do przodu. Nie było potrzeby teraz o tym myśleć. Ani nawet mówić Calebowi o mejlu. Mój mąż nie radził sobie z takimi rzeczami. Mimo najlepszych chęci wciąż nosił swoją męskość w sposób szorstki i nienaturalny, niczym za ciasny sweter, który siłą wciągnęłam mu przez głowę; nie potrafiłby tego naprawić. Gdyby wiedział, tylko pogorszyłby sprawę. Zrobiłby coś kompletnie idiotycznego, na przykład pojechał na stację, by na oczach tłumu gapiów błagać Shannon o wybaczenie.

– Uważam, że to świetny pomysł – oznajmiłam, tak jak wcześniej ćwiczyłam. – Założę się, że któregoś dnia zostaniesz prezydentem. Jak twój tata.

Oblicze Caleba rozjaśniła ulga. Nigdy by się do tego nie przyznał – pół życia spędził na ucieczce przed takim losem – ale tak naprawdę od zawsze pragnął tylko tego: być jak kochany, stary tata.

– No dobrze – odezwałam się. – Omódlmy to.

Uklękliśmy razem obok kanapy. Przycisnęłam czoło do złączonych dłoni i z każdym wydechem próbowałam pozbyć się gniewu, ale jakoś się nie udawało. Był niczym mikrob. Mnożył mi się w żołądku. Zwykle z łatwością przychodziło mi wybaczanie mężowi porażek, dziś jednak miałam ochotę go zabić. Niemal widziałam jego miałkie modlitwy przepływające obok w dymkach wypełnionych Comic Sansem. *Proszę, Panie, chroń od niebezpieczeństw moje dzieci, a także kury. Pomóż mojej żonie nadal mnie kochać. Nie pogardziłbym obciągankiem, Panie, i jeśli nie proszę o zbyt wiele, przydałaby mi się siła, by stać się kimś godnym zapamiętania. Chciałbym zostać legendą.*

Wszyscy mężczyźni chcieli zostać legendami. Żenujące.

A czego chciałam ja? Prosta sprawa. Więcej tego, co już miałam. Chciałam, by cały świat spojrzał na siebie moimi oczami. Nowy level influencerstwa. Ale o takie rzeczy nie prosi się wprost, więc zadowoliłam się czymś prostszym.

Proszę, Panie, niech ten plan zadziała. Proszę, nie pozwól jej wygrać. I błagam, ześlij mojemu mężowi kręgosłup. Męczy mnie, że wciąż musi pożyczać mój.

Amen.

Fragment pochodzi z powieści *Yesteryear*, która ukaże się w przekładzie Elżbiety Janoty 28 października nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

Śledzimy nowości wydawnicze i wybieramy te najciekawsze. Więcej fragmentów książek udostępniamy bezpłatnie na **magazynpismo.pl/czytaj**

POEZJA

Przygodzice

ADRIAN SINKOWSKI

—

Kto ma, ten straci. Nie ma od tego ucieczki,
sęk w tym, że czaple, jedna z przestrzeloną szyją,
niechętne wszystkiemu i wszystkim, co się dziwić,
odkąd wiedzą, że ludzkie wzorce im nie służą,
uciekają w popłochu. Że nie ma to sensu,
nie rozumieją, bo skąd? Poeta gubi się
w zeznaniach, dwa razy to samo: grzbiet Drygasa

pręży się w trawach, zaraz kłącza, topinambur

i dębina, zrzucone z leśnego duktu w piach,
na bok, do wyłożonej igliwiem szczeliny,
lądują w stawie. Ciało wody z ciałem ziemi,
nie było tego wiele. Poeta plącze się
w zeznaniach po raz drugi: coś wie, czegoś nie wie,
wystarczy, by usta mu się nie zamykały
stąd do Antonina, o losie. Straci słowa,
w to miejsce wejdą ludzie i nie wie, co gorsze.

ADRIAN SINKOWSKI

autor książek poetyckich *Raptularz* (2016) i *Atropina* (2018). W latach 2007–2017 redaktor naczelny i współpracownik kwartalnika literackiego „Wyspa". Laureat projektu *Połów* (2011), nominowany do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy (2017), Nagrody Poetyckiej. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Orfeusz" (2019), Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza (2019), Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida (2019) oraz Nagrody Identitas (2023).



FELIETON // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

O języku nieobliczalnym i ludzioslopach

tekst MAGDALENA BIGAJ

MAGDALENA BIGAJ, twórczyni i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książki *Wychowanie przy ekranie*. Medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Pomysłodawczyni i współautorka Ogólnopolskiego Badania Higieny Cyfrowej. Laureatka Nagrody Korczaka za działania na rzecz praw dziecka w przestrzeni cyfrowej.

Tamto lato z młodym literatem z Kaszub wydawało mi się niezwykle krótkie. Wystarczyło jednak, by jesienią po powrocie na studia moi przyjaciele ze zdumieniem pytali: „Dlaczego tak dziwnie zaciągasz?". Szkopuł polegał na tym, że akurat starałam się o kartę mikrofonową w Polskim Radiu, więc wokalna pamiątka po uroczym Kaszëbie stanowiła pewien problem. Po tamtej wakacyjnej przygodzie została mi do dzisiaj nie tylko słabość do kaszubskiego „jo", ale też przekonanie, że muszę zwracać uwagę na to, z jakim językiem się kontaktuję.

Od początku historii ludzkości sprawne komunikowanie się z innymi zawsze zwiększało szanse na przeżycie. Dlatego mamy naturalną skłonność do przejmowania różnych cech komunikacji werbalnej i niewerbalnej z otoczenia. Na poziomie ludzkiej mowy analizowaniem tej plastyczności zajmują się między innymi psycholingwistyka i psychologia społeczna.

Badacze Martin Pickering i Simon Garrod w artykule *The interactive-alignment model: Developments and refinements* opisują model interaktywnego dostrajania (ang. *interactive alignment model*), które polega na wzajemnym dopasowywaniu sposobu mówienia pomiędzy uczestnikami dialogu. Ludzie automatycznie przejmują od siebie słownictwo, składnię czy wymowę. Dlaczego jednak to ja przejęłam kaszubski zaśpiew, a nie młody Kaszëba moje małopolskie naleciałości, których w tamtych czasach miałam mnóstwo? Dość powiedzieć, że na zajęciach z językoznawstwa profesor kierował do mnie prośby w stylu: „A teraz pani Magdalena powie nam «Chinka na parkingu», żeby mogli państwo usłyszeć, jak w Małopolsce wymawia się tylnojęzykowe «n»".

Odpowiedzi udziela między innymi teoria akomodacji komunikacji (*communication accommodation theory*, CAT) Howarda Gilesa. Mówi ona o tym, że to, w jaki sposób zmienia się nasz język w kontakcie z innymi, nie wynika wyłącznie z ekspozycji, lecz także z relacji, która nas z nimi łączy. *Ecco*! Mój towarzysz tamtego lata mówił barwnie i dużo. Cytował mi literackie dzieła, rozmaite piosenki, własne wiersze i co lepsze historie o wujkach z Kaszub. Mimo upływu lat pamiętam dobrze, że jego słownictwo, osobliwa składnia i urocza wymowa były dla mnie pociągającymi cechami. W takiej relacji byłam bez szans. Ani się obejrzałam, jak mój mózg dostroił się do otoczenia. Przez kolejne 20 lat nabrałam przekonania, iż niezależnie od faktu, że ta fascynująca lingwistyczna plastyczność cechuje każdy ludzki umysł, mój osobisty dostraja się niebezpiecznie szybko.

Dotychczas miałam na to prostą strategię. Jeśli akurat byłam w trakcie pisania felietonu czy książki, nie sięgałam po teksty, w których autor stosuje eksperymentalne zabiegi stylistyczne. Podobnie rzecz się miała ze słuchaniem podcastów – unikałam tych, których autorzy mówili z manierą językową. Każdy rzemieślnik chroni swoje narzędzia pracy, a moim jest język. Szlifując swój własny warsztat pisarski oraz umiejętności retoryczne, sięgałam więc po klasyczną literaturę, słuchałam audiobooków czytanych przez żywych lektorów, a język ostrzyłam sobie na esejach Margaret Atwood. Po upowszechnieniu się dużych modeli językowych (ang. *large language models*, LLM) uznałam, że wystarczy unikać ich odtwórczości. Używając zaś jednego z nich jako wygodniejszej wersji wyszukiwarki, stanowczo na wstępie zapromptowałam, by maszyna nie formułowała żadnych zdań

rysunek ANNA GŁĄBICKA

Cykl *Listy z cyfrowego roju* sponsoruje **Orange**.

A gdyby tak w centrum rozwoju technologii postawić człowieka? Magdalena Bigaj, medioznawczyni i twórczyni Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, pyta o społeczne koszty postępu technologicznego. Ile za niego płaci *homo sapiens digitalis*? I jak higiena cyfrowa może nam pomóc zachować zdrowie fizyczne, psychiczne i społeczne? Więcej na **magazynpismo.pl/listy-z-cyfrowego-roju**

złożonych, nie próbowała udawać konwersacji, wnioskowania, a najlepiej, żeby posługiwała się równoważnikami zdań i punktorami. To jednak nie wystarczyło na długo.

Na początku stycznia tego roku ogłosiłam wygaszanie swoich profili na platformach algorytmicznych (mam je na Facebooku, Instagramie i LinkedInie). Przestałam publikować posty, komentować, klikać i czytać. Media te zalewała już wówczas fala postów generowanych za pomocą sztucznej inteligencji lub w ogóle przez boty. Zaczęło się mówić o AI slopie, czyli niskiej jakości treściach masowo produkowanych przez modele językowe. Wchodząc co kilka tygodni na swoje konta – by sprawdzić pojedyncze prywatne wiadomości – ze zdumieniem odnotowywałam, że kolejni znajomi, których uważałam dotychczas za osoby elokwentne i niemające problemów z formułowaniem myśli na piśmie, posługują się bezwstydnie „ejajem". Ich posty pełne były zabiegów stylistycznych, których używa sztuczna inteligencja: anafor („mamy to, mamy tamto, mamy siamto"), triad retorycznych („to kwestia tego, siamtego i owego"), paralelizmów składniowych (trzy kolejne zdania zbudowane w ten sam sposób) i negatywnych („to nie jest kwestia tego, to kwestia owego").

Czyżby ludzkie sobowtóry hodowane w algomediach dotknęła apokalipsa zombi? Borze zielony! Moi znajomi zamieniali się w ludzioslopy! Ich armia powiększała się niczym Biali Wędrowcy zza Muru w *Grze o tron* i wyłaziła z internetu na ulice. Któregoś razu usłyszałam, jak ktoś komuś coś tłumaczy słowami: „To nie jest kwestia X, to kwestia Y". Potem mówili tak ludzie na konferencji. I podczas konsultacji w sejmie. I na zakończeniu roku w szkole. Wyobraziłam sobie siebie w tragikomedii, w której pan woźny w przedszkolu, gdy zdyszana wpadam tam z J., mówi do nas: „To nie jest kwestia spóźnienia, to kwestia szacunku".

W końcu zrozumiałam, że odmowa suplementacji AI, o której pisałam w pierwszym *Liście z cyfrowego roju* [„Pismo" nr 3/2024 – przyp. red.], nie jest właściwą metaforą w przypadku ochrony żywego języka. Język AI przypomina cząsteczki smogu, który – jeśli tylko znajdziesz się w jego zasięgu – czy tego chcesz, czy nie, wniknie w ciebie wszystkimi porami skóry. Oto jest właśnie kwintesencja technomorfizacji: najpierw LLM-y trenowały na ludzkiej mowie, teraz ludzie ćwiczą na języku AI, która z kolei trenuje coraz częściej na sobie samej, bo ludzie używają sztucznej inteligencji, zamiast formułować myśli samodzielnie. Jest to trudne do uniknięcia w sytuacji, w której miliony, a za chwilę pewnie miliardy użytkowników LLM-ów piszą za jej pomocą posty w algomediach, pisma urzędowe, maile, prace zaliczeniowe, a nawet, niestety, książki. O ile jednak jestem w stanie zrozumieć, że zlecamy maszynie zastąpienie nas w ping-pongu na dokumenty z ubezpieczycielem, o tyle zastanawiam się, jaki sens przyświeca ludzioslopowi, który z własnej woli używa narzędzia do zabierania głosu i jednocześnie sam się go pozbawia, publikując treść przygotowaną przez AI.

W dłuższej perspektywie sprawa jest jednak znacznie bardziej skomplikowana. Nikt z nas nie wie, co się wydarzy, jeśli w komunikacji interpersonalnej żywy język ludzki zastąpimy na dobre językiem AI, który nawet trudno nazwać martwym, bo żeby coś umarło, najpierw musi żyć.

Tymczasem treści AI są po prostu matematyką. Nie jest to żaden zarzut, tylko stwierdzenie faktu – bądź co bądź matematyka jest królową nauk. Kolejne zdania powstają w efekcie pracy modelu językowego na dostępnym zasobie tekstów. Ogromnym, ale już istniejącym. Coraz doskonalsze algorytmy z tego zbioru układają dla nas odpowiedzi trafniejsze w stosunku do naszego polecenia (prompta), ale stoi za nimi zwykła, choć niezwykle skomplikowana, wyliczanka.

Za ludzkim językiem stoi zaś coś, co można zamknąć w jednym słowie – oddającym Świętego Graala branży sztucznej inteligencji – odczuwanie.

Tylko człowiek formułuje słowa w efekcie rozumowania pracującego na zbiorze niedających się ująć w matematycznych ramach doświadczeń osobistych i własnej logiki – nawet jeśli niedoskonałej, to zawsze niepowtarzalnej. Świetnie rozumieją to ci, którzy tłumaczą literaturę obcą. Krzysztof Środa w książce *Rzeczy zdarzające się w podróży* tak opisuje swoje zmagania z tłumaczeniem literatury bułgarskiej pisarki Kapki Kassabovej: „Pomyślałem, że jeśli mam kompetentnie przekładać opisy tego, co ona widzi po drugiej stronie jeziora (…) powinienem tam pojechać". Wszystko to jednak wiąże się z trudem, a ten w czasach „produktywności, efektywności i wydajności" – ulubionych słów technosolucjonistów i piewców AI – nie wydaje się pożądany.

A jednak jest w ludzkiej mowie coś absolutnie wymykającego się jakiejkolwiek matematyce, co sprawia, że warto się nad nią trudzić. Nieobliczalność żywego języka uwrażliwia nas, wzbogaca i uodparnia na nieprzewidywalność życia. Jest jak haust rześkiego górskiego powietrza po wynurzeniu się ze smogowej doliny. Trud samodzielnego formułowania wniosków i opisywania świata pozwala lepiej go rozumieć. W tym sensie izolowanie się od języka maszyn jest chronieniem swojego spojrzenia na świat i autonomii w pisaniu historii własnego życia.



AGATA ROMANIUK, doktorka nauk społecznych, reporterka i bajkopisarka. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Inicjatorka projektu reportersko-badawczego Światła Małego Miasta.

Jesienny bukiet

tekst AGATA ROMANIUK

Drobne historie o wielkich rzeczach. Felietony o ludzkich sprawach widzianych przez pryzmat przedmiotów codziennego użytku.

Więcej na **magazynpismo.pl/cos-na-rzeczy**

Co roku przyglądam im się z czułością. Opalone kolana i białe podkolanówki. Piegi. Jasne kosmyki od słońca. Plisowane spódniczki roztańczone przy każdym kroku. Przykrótkie nogawki spodni, bo przecież wiadomo, że latem rośnie się najszybciej. Galowe koszule zapięte byle jak, jakby się chciało poudawać, że jeszcze nie czas na lekcje, że można zatrzymać wakacje, odsunąć szkołę. Przecież poczekają: pracownie biologiczne, kartkówki z chemii, zastępstwa z nielubianą panią od angielskiego. Nie ma co się spieszyć. Jeszcze przyjdzie listopad, słota, szaruga, widmo końca semestru i poprawki z matmy.

Ale nie dziś. Dziś po prostu stoją, ci nastoletni chłopcy i dziewczyny, we wrześniowym blasku, we wczesnojesiennym, miękkim świetle. Czekają na autobus. Roześmiani, nie mogą się nagadać, bo nie widzieli się dwa miesiące, a w tym wieku to całe życie. Tego im zazdroszczę. Tego poczucia, że lato jest długie i niewinne, że wszystko się może zdarzyć, że to czas na bezkarne nicnierobienie. Zazdroszczę im tego niespokojnego, ale pełnego nadziei czekania na nie wiadomo co. Tego dojrzewania niespiesznie i w słońcu.

Na początku września, choć nie chodzę do szkoły już od 30 lat, łapię się na tym, że ciągnie mnie do sklepów papierniczych. Kupowałabym zeszyty w linie i kratkę, bloki do rysowania, temperówki, krepinę i koniecznie nowy ołówek. Ten ostatni jest dla mnie szczególnie ważny, bo wciąż używam ołówków do notowania. Cenię sobie ich szarografitową dyskrecję i to, że każdą linijkę mogę zetrzeć. Ołówek nie krzyczy kolorem ani się nie upiera. Wiele nam wybacza, a wszyscy potrzebujemy małych przebaczeń, niezależnie od wieku. Cichaczem marzy mi się więc jesienny bukiet z pięknie zaostrzonych ołówków.

Zamiast niego na początku każdego września czeka mnie radość obserwowania uczniów pobliskiego liceum, bo mieszkam koło szkoły. Wolę początek roku niż jego koniec. Nie ma świadectw, lodów za czerwony pasek, zmęczonych nauczycielskich oczu, pożegnań. Jest za to szansa na nowe i na to, że wszystko, co złe – niesnaski, urazy, przykrości – zostało zapomniane. Wyobrażam sobie, że ten nieśmiały blondyn z IIIa ma jednak szansę u wygadanej dziewczyny z różową kitką, bo rozgrywka zaczyna się od nowa i nie wszystkie karty zostały rozdane.

Może przyjdzie też nowa polonistka i ta dziewczyna, taka sama okularnica, jaką ja byłam, rozkwitnie i uwierzy, że umie pisać. Może na przerwie ktoś komuś rzuci przez ramię: „Ale mega są te twoje rysunki". Ktoś inny stanie w obronie kolegi, którego wyśmiewają z powodu akcentu. I zrobi to pierwszy raz w życiu, bo w końcu zbierze się na odwagę. Naiwne? Może. Wielu ludzi nie wierzy w nowe początki. Ich prawo. Parafrazując Wisławę Szymborską, powiem więc: niech ludzie, którzy sami nie zaznali magii nowego początku, twierdzą, że nie ma nowych początków. Z tą wiarą lżej im będzie i żyć, i umierać.

rysunek ANNA GŁĄBICKA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego** pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.



01 ISO 100 FILM 01

ZACHĘTA – NARODOWA GALERIA SZTUKI
WRAZ Z FUNDACJĄ BANKU MILLENNIUM ZAPRASZAJĄ NA AUTORSKI
CYKL POKAZÓW FILMOWYCH W KAMERALNYM KINIE ZACHĘTY

SEANS SZTUKI

ZAPISZ SIĘ PRZEZ STRONĘ INTERNETOWĄ ZACHĘTY
I ODKRYJ SZTUKĘ Z NOWEJ PERSPEKTYWY

ZACHĘTA

FUNDACJA BANKU Millennium

Mecenas kultury
od blisko 40 lat

01 01A 01



259 zł
/rok

Czytaj i słuchaj treści z „Pisma", by lepiej zrozumieć rzeczywistość, w której żyjesz.

Zamów roczną prenumeratę z dostępem online, a otrzymasz:

- najnowsze wydanie specjalne „Wokół miłości" w prezencie,
- dwanaście numerów miesięcznika w wersji papierowej i na czytniki,
- wydania audio czytane przez lektorów i lektorki z Radia 357.

Darmowa dostawa na terenie Polski. Teraz także do paczkomatów InPost.

Kupując prenumeratę „Pisma" oszczędzasz 40 zł rocznie.
Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/prenumerata
i skorzystaj z oferty.